ANALIZA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA

Czy Bruksela wreszcie zrezygnuje z nękania Warszawy?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 09/465 28 LUTEGO–6 MARCA 2022

Arcybiskup Gądecki przestrzega niemiecki Kościół

JAK BRONIMY RODZINY PRZED NIENAWIŚCIĄ LGBT

Epopeja żołnierza wyklętego Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca”

AGRESOR

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFECTA

MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo RACING | ORLEN

TITLE SPONSOR

eprasa.pl 4e28c29d7b

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wobec rosyjskiej inwazji

Dlaczego Rosja zaatakowała Ukrainę? Nie jest wcale łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Prosty rachunek zysków i strat wskazuje na to, że jest to ruch skrajnie ryzykowny. Przypomina raczej rzut kostką w ruletce niż posunięcie szachowe. Nic zatem dziwnego, że tak często można usłyszeć komentatorów mówiących o szaleństwie Putina. Rzeczywiście, ta hipoteza – Putin dokonał inwazji dlatego, że mu się tak podobało, i dlatego, że chciał, a chciał, bo oszalał – tłumaczyłaby wszystko. Psychopatów nie da się do końca zrozumieć. Działają, jak działają, bo tak chcą. Jednak przeciw tezie wskazującej na obłęd przywódcy Rosji przemawia kilka faktów.

Po pierwsze, czas. Zanim Rosja zdecydowała się na napaść, zabezpieczyła sobie wcześniej tyły. Podpisane przed miesiącami umowy z Chinami sprawiają, że ewentualne sankcje nałożone na rosyjskie surowce – gaz, węgiel czy ropę – wcale nie muszą być dla Moskwy tak dotkliwe. To, że Rosja bierze pod uwagę zdanie Pekinu, było widoczne w chwili, gdy Chiny poprosiły o przesunięcie terminu inwazji, co zresztą się stało. Doszło do niej przecież dokładnie wtedy, kiedy zakończyły się pekińskie igrzyska. Kolejny ważny fakt: rzeczniczka chińskiego MSZ oświadczyła, że „Rosja to niepodległy kraj i może sama podejmować decyzje na podstawie własnych interesów". Więcej: Pekin nie nazywa rosyjskich działań na Ukrainie „inwazją". Przeciwnie, chińskie media powielają propagandowe tezy Moskwy. Jeśli ktoś podsyca napięcia, to według Chińczyków są to Stany Zjednoczone, które przeciwstawiają się „specjalnej operacji" Rosji na Ukrainie.

Po drugie, Putin wcześniej zabezpieczył gigantyczne środki finansowe. Tak samo zręcznie uzależnił od Rosji państwa Unii. Absurdalna polityka ekologiczna Berlina sprawiła choćby, że sankcje, które zapowiadają państwa zachodnie, uderzą nie tylko w Rosję, lecz także w samą Unię. Jak długo bez rosyjskiego gazu wytrzymają choćby Niemcy czy Włochy? Trudno powiedzieć. W oczach Putina kolejni przywódcy Unii najwyraźniej nie budzili respektu. Dyktator liczy się z tymi, których się boi. Takich uczuć nie wzbudza w rosyjskim „carze" zapewne ani Emmanuel Macron, ani Olaf Scholz, ani inni. Niestety, niektóre wypowiedzi polityków Unii, jak choćby Ursuli von der Leyen (jakby nie było, niegdyś minister obrony Niemiec!), która pytała, jak Putin wyjaśni inwazję obywatelom Rosji, robią wrażenie groteskowe.

Po trzecie, Putin musiał dostrzec osłabienie najważniejszego gracza na Zachodzie, czyli Stanów Zjednoczonych. Od chwili objęcia władzy w Białym Domu Joe Biden robił wrażenie prezydenta niepewnego, chwiejnego, naiwnego. W kluczowym momencie, gdy ważyły się losy sankcji za Nord Stream 2, dał Niemcom zielone światło. Ewakuacja z Afganistanu, kiedy to amerykańscy żołnierze w panice opuszczali bazy, pozostawiając w nich arsenały broni, była prawdziwym blamażem. Wreszcie nieustanne majstrowanie ideologów przy armii, czego najbardziej dziwacznym elementem były doniesienia o tęczowych helikopterach w US Army, wyglądało, jakby Waszyngton sam demontował własną siłę bojową.

W tych warunkach decyzja Putina o ataku na Ukrainę nie musi być tak szalona, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. W gruncie rzeczy wszystko zależy od przebiegu inwazji. Jeśli Rosji uda się szybko opanować najważniejsze obiekty i złamać opór Ukraińców, to Putin będzie mógł ogłosić sukces. Moskwa wyraźnie pokazała, czego oczekuje: chce akceptacji wcześniejszych zdobyczy, czyli Krymu, i całkowitej neutralizacji militarnej Ukrainy. W wersji maksymalnej Putin może próbować zainstalować w Kijowie podległy sobie rząd.

Jednak może się okazać, że Moskwa się przeliczyła, a blitzkrieg, jakim miała być inwazja na Ukrainę, się nie uda. Historia podaje liczne tego przykłady. Wówczas zamiast szybkiego i miażdżącego uderzenia Rosjanie ugrzęźliby na Ukrainie, tracąc żołnierzy, finanse i wolę. Wówczas Ukraina stałaby się dla Moskwy tym, czym Afganistan był dla Związku Sowieckiego.

Trudno dziś powiedzieć, który scenariusz jest bardziej prawdopodobny. Czy mają rację ci, którzy mówią, że dokonując ataku, Putin w istocie już przegrał, bo wpakował się w sytuację bez wyjścia? Czy przeciwnie – wygrał, bo w sposób skrajnie cyniczny wykorzystał słabość Ukrainy i rozkład Zachodu? Dużo będzie zależało nie tylko od woli oporu Ukraińców, lecz także od konkretnych posunięć państw zachodnich.

Polska w tym konflikcie stanęła po stronie Ukrainy – co jest oczywiste. Każde podważenie zasady suwerenności i łamanie reguł międzynarodowych musi się spotkać z potępieniem.

W sytuacji, w której się znajdujemy, niezależnie od różnych form poparcia dla Ukrainy, najważniejsze jest jednak jak najszybsze wzmocnienie polskiej armii, przede wszystkim jej dozbrojenie. Inwazja na Ukrainę zmieniła radykalnie poziom bezpieczeństwa w Europie i trzeba z tego jak najszybciej wyciągnąć wnioski. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

TEMAT TYGODNIA

12 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAINA W OGNIU
Szaleństwo agresora

18 JACEK PRZYBYLSKI
„SIŁOWIK POKOJU"

22 PIOTR SEMKA
WŁADIMIR OSWOBODITIEL, CZYLI HISTORIOZOFIA AGRESJI

26 ROZMOWA Z AMBASADOR USA PRZY NATO
POLACY MOGĄ CZUĆ SIĘ BEZPIECZNIE

28 WITOLD REPETOWICZ
PUTIN MA JUŻ MIEJSCE W PIEKLE

KRAJ

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OD ZACHODU – BEZ ZMIAN
Unia oczekuje od Polski bezwarunkowej kapitulacji

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZAS POWROTÓW

34 JAKUB WOZINSKI
ŚMIERĆ PRZEZ PROCEDURY

36 TOMASZ ROWIŃSKI
UPOMNIENIE Z POLSKI

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZIEMNIACZKI Z CZYTELNI

KULTURA

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TWARDOCH W WORKU POKUTNYM
Nagroda i głosy sprzeciwu

44 PIOTR GOCIEK
KOSZMAR BIUROWY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

55 PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT
WALKA Z NIENAWIŚCIĄ CZY WALKA Z RODZINĄ

OPINIE

72 ROZMOWA Z PÄIVI RÄSÄNEN
JESTEM DUMNA, ŻE MOGĘ BRONIĆ WIARY
Cancel culture wymierzona w chrześcijan

HISTORIA

74 TOMASZ LENCZEWSKI
„WARSZYC" I JEGO LEGENDA
Stanisław Sojczyński (1910–1947)

ŚWIAT

80 ROZMOWA Z PROF. PAULEM KENGOREM
BIDEN STAŁ SIĘ KULTUROWYM RADYKAŁEM
Donald Trump już wystartował

EKONOMIA

84 ŁUKASZ WARZECHA
NAJPIERW FRANKOWICZE, TERAZ ZŁOTÓWKOWICZE
Problemy kredytobiorców

O ZDROWIU

88 ROZMOWA Z KACPREM RUCIŃSKIM
NADAL BĘDZIEMY WALCZYĆ O DOSTĘP DO TERAPII GENOWEJ W POLSCE
Choroby rzadkie

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (78), PRZYBYLSKI (82), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), KARWELIS, POSPIESZALSKI (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 4e28c29d7b

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Alexei Druzhinin/Sputnik/EPA/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„O zamiarach Rosji, niepodległości Ukrainy i relacjach z Polską", „DRz" 8/2022

Szanowna Redakcjo,
rzecz tyczy się rozmowy z Siergiejem Markowem z „DRz" 8/2022. Kolejny raz jestem pod ogromnym wrażeniem po przeczytaniu wywiadu przeprowadzonego przez pana Macieja Pieczyńskiego. Dokładnie tak powinno się rozmawiać na trudne tematy – merytorycznie, ale ostro, celnie i bez wahania wytykając i drążąc „do bólu". Jest to niestety styl zupełnie niepopularny wśród dziennikarzy. Dodatkowo pan Redaktor wykazuje się znakomitą wiedzą, strzelając z rękawa jakimś faktem historycznym, potrafi błyskawicznie „usadzić" rozmówcę, obnażając śmieszność bronionego przezeń stanowiska.
W pamięci mam podobnie „pikantną" rozmowę z ukraińskim politykiem, który usiłował usprawiedliwiać bandytów spod znaku UPA. Czekam na więcej, czyta się te rozmowy z zapartym tchem!

Pozdrawiam szanowną Redakcję
Albert Golec

REKLAMA

Z wielkim żalem żegnam

ŚP.

prof. dra hab.
Zygmunta Woźniczkę

wybitnego historyka,
znawcę dziejów i kultury Śląska, całe życie związanego z tym regionem.

Był dyrektorem Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, aktywnie działał m.in. w Komisji Historycznej Polskiej Akademii Nauk, Komisji Historii Śląska Polskiej Akademii Umiejętności.

Wieloletni, oddany pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, członek Rady Naukowej Instytutu De Republika, uhonorowany Nagrodą im. Wojciecha Korfantego i medalem Pro Memoria.

Odszedł
uczony wielkiego formatu,
szlachetny i prawy człowiek.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia
Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

eprasa.pl 4e28c29d7b

NA PIERWSZY OGIEŃ

Komunizm znów pokazuje kły

PIOTR SEMKA

W zapomnianej już nieco powieści „Koniec epopei" Kazimierz Przerwa-Tetmajer przedstawia niezwykle przejmującą scenę. Oto w trakcie wyprawy na Moskwę w 1812 r. dwóm polskim szwoleżerom zostaje wyznaczony nocleg w niewielkim rosyjskim dworku. W trakcie kolacji do Polaków wchodzi młoda właścicielka majątku i demonstracyjnie rozpoczyna tyradę przeciwko „tym, którzy depczą ruską ziemię jako okupanci". O ile dobrze pamiętam, w książce Rosjanka stawia sprawę prosto – napadanie na Rosję to zbrodnia, a jeśli Rosja gdzieś interweniuje, to jest to po prostu zupełnie uzasadniona obrona jej interesów.

Tak samo dyplomaci rosyjscy tłumaczą dziś operację przeciwko Ukrainie. To biedna, mała Rosja poczuła się zagrożona ze strony drapieżnej i agresywnej nazistowskiej Ukrainy. Wszystko to pokazuje, jak głęboko wżarty jest w mentalność Rosjan schemat: niepokalana Ruś kontra mający jak najgorsze zamiary Zachód. Tylko bardzo głębokie klęski, takie jak np. porażka w wojnie krymskiej czy przegrana w Afganistanie, skłaniają rosyjskie elity do zrewidowania wygodnych dla siebie wizji światowej polityki. Tę brutalną prawdę powinniśmy pamiętać łącznie z kolejną. Rosjanie odwracają się od szaleńców, którzy pchają ich w takie awantury jak obecna na Ukrainie tylko wtedy, gdy czas pokazuje, jak bardzo tego typu eskapady niszczą cały kraj.

To żadna sztuka, że dziś, oglądając telewizyjne migawki z bombardowania ukraińskich miast i wsi, zachodni politycy deklarują swoje oburzenie i akceptację dla sankcji przeciw Rosji. Pytanie, czy będą w stanie zachować tę determinację przez kolejne miesiące, a nawet lata. Bo Rosja wygrywa z Zachodem zawsze przez jeden podstawowy czynnik. Wytrwałość kremlowskich satrapów w prowadzeniu polityki w perspektywie dekad, a nie miesięcy. Jeśli przywódcy USA, Francji czy Niemiec będą łagodzić swoje stanowiska tylko dlatego, że przywykną do okupacji Ukrainy, to Rosjanie znów za jakiś czas rozpoczną cały swój koncert sygnałów „dobrej woli". Ważną rolą dla Polski jest przypominanie krajom Unii i NATO, że zmierzenie się z tak agresywnym reżimem jak władza Putina wymaga wytrwałości, wytrwałości i jeszcze raz wytrwałości.

Skala ubezwłasnowolnienia społeczeństwa rosyjskiego, bez której tak szokująca agresja nie byłaby możliwa, przywodzi na myśl wzorce komunizmu. Tymczasem przez lata Zachód lekceważył coraz wyraźniejsze nawiązywanie przez Putina do tradycji państwa sowieckiego. To, że sowieckie samoloty nadal mają za znak rozpoznawczy czerwoną gwiazdę czy że armia rosyjska używa czerwonego sztandaru z sierpem i młotem, uznawano jedynie za sentymentalizm.

Tymczasem dzisiaj można już orzec, że bez mentalnej recydywy sowieckiego sposobu myślenia o polityce zagranicznej Rosja nie byłaby tak groźnym państwem. A w tle tego konfliktu widzimy jeszcze „przyczajonego smoka", czyli komunistyczne Chiny. Tam nie zmieniło się nic. To pod znakiem sierpa i młota obradują zjazdy Komunistycznej Partii Chin. A portret Mao Zedonga spogląda z każdego banknotu juanowego. Komunizm oznacza agresję i wojnę. Dziś przekonują się o tym Ukraińcy, a jutro być może przekonają się o tym obywatele Tajwanu. ©℗

FOT. MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES

BARDZO NERWOWO NA RYNKACH

Wybuch krwawej wojny w środku Europy wywołał w czwartek panikę na światowych rynkach finansowych. Dolar umocnił się względem euro. Mocno na wartości straciły rubel, złoty, a także indeksy giełdowe (wartość akcji na moskiewskiej RTS stopniała niemal o 40 proc.). Po ogłoszeniu przez Zachód niespodziewanie łagodnych sankcji wobec Rosji w piątek na rynkach znów zapanował optymizm. Inwestorzy chętnie kupowali przecenione akcje na europejskich parkietach. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zmiany zawieszone. Po agresji Rosji na Ukrainę niektórzy ministrowie będą mogli cieszyć się swoimi stanowiskami nieco dłużej, niż zakładano. Choć zastanawiamy się, czy słowo „cieszyć" jest w tym przypadku właściwe.

Wyjaśniamy, skąd powyższy żarcik – otóż niektórzy zdymisjonowani w ostatnich tygodniach chodzą po mieście i opowiadają, jak bardzo się cieszą, gdyż są szczęśliwi, że już mają za sobą tę cholerną robotę. Wynika z tego, że rząd PiS potrafi uszczęśliwiać ludzi w dwójnasób. Najpierw ich wynosząc, a potem wręcz odwrotnie.

Ponieważ powstały kontrowersje związane ze zniknięciem Złego Donalda z Sopotu w chwili ataku Rosji na Ukrainę, musimy zabrać głos i rozładować atmosferę. Nic tak nie rozładowuje atmosfery jak żarcik. Zatem nie męczymy już Borysława Budki, który, biedak, nie wie, co robi Donald Tusk. Oto żarcik: „Co robi Donald Tusk?". „Nic dobrego".

Oczywiście już dwa dni później okazało się, że Donald powrócił. I zaapelował o utworzenie w Sejmie komisji do obrony ojczyzny. Jesteśmy zafascynowani, podobnie jak deweloperzy w Nowej Zelandii. Komisje zlecane przez Donalda Tuska mają długą tradycję. Jeśli ta od obrony ojczyzny tak będzie bronić ojczyzny, jak śledcza komisja hazardowa wyjaśniała aferę hazardową, to już możemy sprzedawać mieszkania w Polsce i kupować emigracyjne domki w Nowej Zelandii.

Osobnikom zastanawiającym się, dlaczego Donalda akurat nie było i czemu czekał tak długo, żeby coś bąknąć, przypominamy, że jako premier zwykł przylatywać z Sopotu do roboty w Warszawie we wtorek rano, a wracał do domu w czwartek popołudniu. I my to rozumiemy. Oglądanie Ligi Mistrzów z kolegami przy winku, a liga polska w domu, w papciach. Znamy wielu, którzy tak robią.

Jak się domyślacie, zbyt wielu wiadomości ze świata dyplomacji w tym tygodniu nie będzie. Wszystkie nasze wiewiórki są odpowiedzialne i zasuwają tak, że nie ma chwilowo szans, żeby się z nimi umówić na oglądanie Ligi Mistrzów i poplotkować. Możemy za to podzielić się prywatną refleksją międzynarodową. Otóż ostrzegaliśmy przed Putinem, zanim to było modne. Zaczęliśmy gdzieś tak ze 20 lat temu.

Rok 2009: „Jesteśmy przeświadczeni, że polsko-rosyjskie partnerstwo i współpraca to istotny wkład do »budowy Wielkiej Europy«". Rok 2022: „Putin to zakompleksiony odwetowiec z dostępem do broni atomowej". Uwielbiamy polityków elokwentnych, mądrych, wiarygodnych. Stałych w poglądach, jak Radek Sikorski.

Kącik pieśniarski. Zakładamy na głowę folię, żeby świecić łysiną jak Borysław Budka lub Donald Tusk, i śpiewamy na dowolną rosyjską melodię słowa: „Kurica nie ptica, w Polszy targowica". Taką refleksję mamy po wystąpieniach sejmowych Eine Totalopposition w dniu inwazji Rosji na Ukrainę. Och, sorry, to już nie Eine Totalopposition, tylko Połnaja Opozycija. Zgrupowania GK. Grażdanskaja Koalicja.

Jak już się bawić w porównania, to na całego. Skoro Grażdanskaja Koalicja uważa, że Rosja Putina i Polska Kaczyńskiego to to samo, proponujemy następującą konstrukcję logiczną: europoseł Pons chce pomóc Polakom zmienić rząd w Warszawie, a Władimir Putin chce pomóc Ukraińcom zmienić rząd w Kijowie. I co, fajnie brzmi? Dobrze się czujecie w tym towarzystwie?

À propos chętnych do zmiany rządu – kiedy w zeszły wtorek nawet „Superak" miał na okładce Putina rozrywającego Europę, „GazWyb" zajmował się na froncie „bagnistymi działkami Morawieckiego". Wolne media! Wolne media! Zwłaszcza wolno myślące.

Tymczasem w gabinetach polskich polityków. Kończą się przepychanki wokół schedy po Bogdanie Godzilli Święczkowskim, awansowanym do Trybunału Konstytucyjnego. Jego następca Dariusz Barski (zwany Barrym) już się wprowadził do gabinetu przy Postępu. Na razie jednak czeka na oficjalną kontrasygnatę premiera. Ale nie będzie długo czekał. Jak mawiali starożytni Rzymianie – Nowogrodzka locuta, causa finita. Szeregowy Wicepremier Jarosław Kaczyński już klepnął kandydaturę.

Tak przy okazji – niezmiernie bawią nas kolejne lokalizacje szefostwa prokuratury. Poprzednio Prokuratura Krajowa mieściła się w gmachu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Jej obecna siedziba to miejsce należące niegdyś do firmy telekomunikacyjnej Zygmunta Zygi Solorza. Tak, zgadliście: prokurator krajowy urzęduje w gabinecie zajmowanym kiedyś przez właściciela Polsatu.

Obiecaliśmy Wam ustalić, z jakiej służby wywodzi się ochroniarz szefa NIK Mariana Banasia. Oficjalnie, przypomnijmy, zatrudniony jako doradca. Otóż już wiemy, gdzie chłop wcześniej pracował. Było to Centralne Biuro Śledcze.

Nawet tak profesjonalny ochroniarz nie jest jednak w stanie uchronić Mariana przed popadnięciem w coraz większe odmęty szaleństwa. Dowodzi tego najnowsza wieść z NIK. Jak wiadomo, obowiązujące w Polsce prawo zabrania szefowi Najwyższej Izby Kontroli przynależności do jakiejkolwiek partii politycznej. Tymczasem Pancerny Marian wymyślił sobie niedawno, że, owszem, nie będzie wstępował do żadnej partii politycznej, ale… założy własną. Podobno liczy na drugi lub trzeci wynik wyborczy. Powinszować. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Historia się powtarza

Putin to dzisiejszy Hitler – powtarzają liczni komentatorzy. Niech będzie. Ale jeśli chcemy już użyć tej historycznej analogii, to aż prosi się pociągnąć ją krok dalej: to kto jest współczesnym Stalinem?

Bo przecież każdy, kto zna historię drugiej wojny światowej, wie, że nie byłoby agresji Hitlera bez zachęty Stalina. To pakt z sowieckim gensekiem otworzył niemieckiemu szaleńcowi drogę do ataku na Polskę (Hitler nie wierzył, że Anglia tym razem zareaguje stanowczo, ale Stalin to wiedział). Bez sowieckich surowców Niemcy w ogóle nie były zdolne do prowadzenia wojny dłużej niż miesiąc. Żaden czołg nie ruszyłby na Francję, żaden samolot nie wystartowałby do bitwy o Anglię, gdyby nie sowiecka benzyna, sowieckie rzadkie metale, diamenty przemysłowe etc.

Putin również nie mógłby zaatakować Ukrainy, gdyby nie dostał gwarancji, że Chiny kupią od niego gaz, ropę i inne surowce, których nie kupi Zachód. I gdyby nie dostał gwarancji, że Chiny nie wykorzystają ogołocenia Syberii, na którą od lat łakomie patrzą, z rosyjskich wojsk. A z tymi gwarancjami może pluć z piętra na wszystkie sankcje, które jest w stanie wymyślić Zachód.

Tu analogia jest wyraźna: tak, jak Stalin popchnął Hitlera do wojny: „Śmiało, ja za tobą", otwarcie niczego światu nie ogłaszając, tak Putina spuścił teraz z łańcucha Xi Jinping.

Pytanie, czy analogia sięga dalej? Stalin, jak wiemy, popchnął Hitlera do wojny po to, żeby drogo sprzedać zmianę sojuszy. Chiny, dyskretnie popchnąwszy do wojny Putina, a same stanąwszy na uboczu, mogą teraz czekać na propozycję. Mogą zaatakować Tajwan, licząc, że Ameryka nie zdobędzie się na zaangażowanie w dwóch miejscach naraz. Ale mogą odstąpić od atakowania Tajwanu i zabrać wykrwawiającej się na Ukrainie Rosji Syberię. W wariancie optimum mogą jedno i drugie. A na jakie cesje ze strony i tak uległego Zachodu mogą liczyć za samą obietnicę powstrzymania kremlowskiego Hitlerka?

Historia, niespełniona nauczycielka życia, lubi się powtarzać. Przynajmniej tak długo, aż ludzie wreszcie zaczną z niej cokolwiek rozumieć. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Test niepodległości

Wojna jest najpoważniejszą próbą, której poddawane są państwa i narody. Najpierw to próba wyobraźni i świadomości historii, bo wystarczy kilkadziesiąt lat, by ludzie zaczęli myśleć, że obrona i dyplomacja to jedynie ozdobniki państwa, prawie jak prezydencki ceremoniał. Gdy jednak kolejną falą powraca odwieczna walka chaosu i porządku – czas dojrzewać szybko.

W czwartek rano z jednej strony wszystko było nowe, z drugiej – było nadal po staremu. W TVN24 BiS Konrad Piasecki „dociekliwie" (czyli po prostu natrętnie) domagał się od ambasadora Cichockiego ujawnienia, jakie techniczne instrukcje na wypadek wojny ma nasza ambasada w Kijowie. Ambasador najpierw mu cierpliwie odpowiadał, że to sprawa ministerstwa, by na koniec po prostu zapytać prowadzącego, czy naprawdę wyobraża sobie, że będzie o wyjątkowych i objętych tajemnicą planach opowiadał w telewizyjnym wywiadzie.

W Polsat News Grzegorz Kępka w długiej rozmowie z podobnym uporem wielokrotnie zarzucał ministrowi Budzie, że Polska jest winna konfliktu z Unią Europejską i powinna, skoro wybuchła wojna, wycofać się teraz ze swoich pozycji. Dziennikarze z reguły mówią, że muszą stawiać pytania, tymczasem faktycznie była to regularna publicystyczna polemika zwolennika ustępstw wobec władz UE, wykorzystująca pogorszenie sytuacji geopolitycznej do forsowania zagranicznych pretensji wobec naszego kraju. A przecież – jeśli już – można było zapytać o prawne racje polskiego sprzeciwu, bo przecież one istnieją i wcale nie są znane powszechnie.

Miejmy nadzieję, że w najbliższych miesiącach chętniej będziemy patrzeć na Rzeczpospolitą jak na dobro wspólne, a nie jedynie „scenę polityczną". Może wojna uświadomi nam trochę bardziej, jak wielkim dobrem jest własne państwo, które może w naszym imieniu działać, które może nas reprezentować, do którego możemy adresować postulaty dotyczące naszej przyszłości i bezpieczeństwa. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O włoskim szaleństwie ekologicznym

Dla Włochów gaz jest jak powietrze. Bez metanu Italii grożą ciemności, zimno, a przede wszystkim gospodarcza śmierć. Co gorsza, kurek do włoskiego gazu trzyma w ręku Putin, co bardzo sprawy komplikuje i czyni z Italii, przynajmniej do pewnego stopnia, marionetkę w ręku satrapy na Kremlu. A mogło być inaczej...

Jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku Włosi u swoich wybrzeży wydobywali 20 mld m sześc. gazu. Gdyby czynili to nadal, to zaspokoiliby 30 proc. swoich obecnych potrzeb, czyli trzy czwarte tego, co muszą teraz sprowadzać z Rosji. Ale za sprawą ekologów zaczęli platformy wiertnicze na potęgę zamykać. Dziś z 70 platform działa kilkanaście i wydobywa 3,5 mld metrów kubicznych, a więc sześć razy mniej.

W związku z potwornym wzrostem cen gazu związanym z polityką zagraniczną Putina, której jedynymi narzędziami są gazrurka, zastraszanie, szantaż i oślepiające bezczelnością kłamstwo, premier Mario Draghi postanowił wrócić do włoskich zasobów. Ale z powodu protestu miłośników flory i fauny (najliczniejsze ugrupowanie parlamentarne, upiorny Ruch 5 Gwiazd, pobudowano właśnie na hasłach ekologicznych) musiał się ograniczyć wyłącznie do działających jeszcze platform. Jak dobrze pójdzie, wydobycie zwiększy się do zaledwie 5 mld m sześc.

Poza tym Włosi w referendum z 1987 r. zdecydowali o zamknięciu wszystkich pięciu włoskich elektrowni atomowych, a w 2011 r. wypowiedzieli się przeciw budowie nowych. W efekcie Italia kupuje „atomowy" prąd od Francuzów.

Z tych wszystkich powodów cztery dni przed aneksją Donbasu i Ługańska premier Draghi powiedział z rozbrajającą szczerością: „Nie mamy elektrowni atomowych jak Francja ani węgla jak Niemcy. Zależymy od gazu, a więc jesteśmy najbardziej narażeni" (na rosyjski szantaż – w domyśle). 40 proc. gazu Włochy kupują u Putina. Na degazyfikację płynnego metanu na dużą skalę Italia nie jest technologicznie przygotowana.

Za to ekologia ma się świetnie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 4e28c29d7b

PAMIĘTAMY

Aktorka Barbara Kurdej-Szatan postanowiła publicznie okazać solidarność z Ukrainą. Celebrytka opublikowała na Instagramie zdjęcie ukraińskiej flagi opatrzonej hashtagiem „Wolna Ukraina". Wywołało to duże poruszenie, bo celebrytka niedawno zasłynęła z wpisów w wulgarny sposób obrażających polskich żołnierzy, broniących granicy polsko-białoruskiej przed imigrantami, zwożonymi przez reżim Łukaszenki. „Czy teraz, w obliczu tych okropnych wydarzeń, rozumie Pani, co się dzieje u nas na granicy? Dlaczego już teraz musimy ich strzec? Nie oczekuję odpowiedzi..." – napisała celebrytce jedna z internautek. „Psychicznie chory Putin to nie to samo, co uchodźcy uciekający od swojej wojny, szukający lepszego życia... Zaraz Ukraińcy będą uciekać i szukać schronienia. Ich też by Pani cofnęła do lasu?" – odpowiedziała Kurdej-Szatan. A potem zarzuciła, że trwa wobec niej „nienawiść i cała kampania hejterska". „Nie przestaniecie, prawda?" – pytała retorycznie. Nie przestaną. To się nazywa odpowiedzialność za słowo.

PIERDOŁY NA WIZJI

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Dorota Wellman skomentowała słynną scenę z jednego z odcinków „Dzień dobry TVN", czyli programu, który współprowadzi, gdy Bożena Dykiel promowała czarodziejskie okulary, które pomagają w leczeniu depresji. Okrasiła to jeszcze mądrościami, że depresja powodowana jest przez nieodpowiednią dietę i niedobory litu w organizmie. Jej słowa wywołały wtedy falę oburzenia, zwłaszcza że żadna z prowadzących program – ani Ewa Drzyzga, ani Agnieszka Woźniak-Starak – nie zareagowała.

FOT. PAWEŁ GROMADA

– Ja bym zdecydowanie zaprotestowała. Uważam, że depresja jest tak poważną sprawą, że nie możemy opowiadać takich pierdół – stwierdziła. Generalnie zgadzamy się z tą oceną. Choć trudno nam zrozumieć, jak osoba, która przeprowadzała na żywo wywiad z facetem z rybim ogonem, który podał się za „syrena Ariela", może oburzać się na opowiadanie pierdół na wizji.

WALKA ROKU

Wokalista Michał Wiśniewski chce wrócić do show-biznesu i w tym celu chętnie udziela wywiadów. A że dziennikarze chcą głównie słuchać o jego bankructwie i o tym, jak przepuścił 40 mln, bo na tyle opiewał jego majątek, to on im chętnie opowiada. Ostatnio okazało się, że Wiśniewski będzie jedną z gwiazd programu „Twoja twarz brzmi znajomo" w Polsacie. Zapytany, czy chodziło o kasę, odpowiedział, że „nie można w ten sposób o tym myśleć". – Dlatego, że pieniądze są tylko przez chwilę. No ja powinienem o tym najlepiej wiedzieć... Dlatego, że w swoim życiu bardzo dużo zarobiłem i bardzo dużo straciłem. Więc pieniądze to nie wszystko – powiedział Wiśniewski. A na koniec zdradził, że miał propozycję wystąpienia na gali Fame MMA. – Miałem już propozycję za półtora miliona i odmówiłem, więc myślę, że w dalszym ciągu będę odmawiać, nawet gdyby ta stawka szła w górę – wyjaśnił stanowczo. I dodał, że dla niego taki występ byłby medialnym morderstwem. Przesadza z medialnym morderstwem. Gorzej, niż jest, już na pewno nie będzie. To jak? Może Jaś Kapela na początek?

DALEKO OD SHOW-BIZNESU

Jeśli nie wiecie, kim jest Julia Wieniawa, to mamy jeszcze gorszą wiadomość. W „Dzień dobry TVN" zadebiutowała właśnie jej najmłodsza siostra Alicja, która opowiadała o swoich pasjach, planach i pierwszych zrealizowanych projektach filmowych, którymi jest zafascynowana. W tym roku ma maturę i chce zdawać do szkoły filmowej. Alicja Wieniawa zapewniła też, że w przeciwieństwie do starszej siostry w ogóle nie zależy jej na karierze celebrytki. – Show-biznes to nie to, w co chciałabym iść. Może to się stanie, jest to nieuniknione, ale na tę chwilę trzymam się od niego z daleka – oznajmiła. A przecież nie od dziś wiadomo, że najdalej od show-biznesu są kanapy telewizji śniadaniowej! ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ale przypał. Wiedzieliście, iż istnieje coś takiego jak Kodeks Korwina? xD I że ten właśnie Kodeks władze pisowskie tego kraju obiecały przekazać Węgrom za to, iż oni dali temu krajowi zbroję dziecięcą króla – któregoś z Zygmuntów, nie pamiętamy którego, iż każdy król tego kraju to jakiś Bolesław, Władysław czy Zygmunt. Aż dziw, iż nie było dotąd króla Janusza.

No ale do rzeczy xD Otósh tenże Kodeks Korwina ma zostać wywieziony na Węgry i naszym zdaniem to całkiem spoko, iż sami tylko wyobraźcie sobie, co może w nim być. Nienawiść do waginoosób, kult węgla, negacjonizm klimatyczny i aż strach pomyśleć, co więcej. Nie chcemy tego w tym kraju.

Z drugiej strony smutne jest to, iż ten kraj dostał dziecięcą zbroję króla. Tak, jakby militaryzowanie osobodzieci było czymś właściwym i normalnym. Temu się stanowczo sprzeciwiamy. Niech Węgry wezmą sobie i zbroję, i Kodeks, i jeszcze dorzucimy im Korwina.

Rząd ogłosił, iż będzie znosił w zasadzie wszystkie obostrzenia związane z koronawirusoosobą. A zatem na marne pójdą nasze paszporty szczepionkowe, aktywizm i nakładki na zdjęcia profilowe, iż szczepimy się w pierwszym możliwym terminie.

Na szczęście jednak rząd (nie chwalimy, tylko stwierdzamy fakt, nie myślcie sobie) utrzymał nakaz zakładania maseczek w przestrzeniach publicznych. I to jest pożądana decyzja.

Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby rząd ten obowiązek zlikwidował. Wyobraźcie sobie, iż idziecie do dowolnej galerii handlowej, marketu, urzędu i po dwóch latach przerwy widzicie wokół siebie odsłonięte polskie twarze. Nie takie, jak widujecie codziennie w modnych multitapach, wegańskich marketach czy na kursie jogi, tylko takie zwykłe: wąsate, zmęczone i nieatrakcyjne.

Strach trochę, co nie? No więc sami widzicie, mamy nadzieję, iż te maseczki jednak przez czas jakiś jeszcze zostaną, a obowiązek noszenia będzie zdejmowany stopniowo, tak iżbyśmy się zdążyli przyzwyczaić, żeby szoku nie było.

O tym, iż nieregulowany rynek pracy prowadzi do szaleństwa, świadczy fakt, iż najbardziej poszukiwani na nim są obecnie inżynierowie, a nie przedstawiciele specjalizacji humanistycznych.

A tymczasem, kochani, inżynierów powinniśmy zostawić dla pracodawców bez wyobraźni.

Spójrzcie sami, prawda jest taka, iż inżynier porusza się w zamkniętym środowisku liczb, praw i aksjomatów. Ta cała matematyka jest dla nich prawie jak religia. 2 + 2 = 4 i nie można tego poddać dyskursowi, wyważyć opinii, poszukać dekonstruktywnego kierunku w narracji. Zero polotu, zero finezji, nuda – tak ma być i już.

A tymczasem szeroko pojęta humanistyka czy nauki społeczne to nic innego niż ciągłe poszukiwanie prawdy, oczywiście po odrzuceniu wszelkich skrajnych punktów widzenia, zwłaszcza konserwatywnych, które w negatywny sposób wpływają na postęp w dyskursie.

W każdym razie przedstawiciele filozofii czy socjologii w o wiele bardziej interesujący sposób potrafiliby odpowiedzieć na pytanie, ile to jest 2 + 2, czy można to wcisnąć, gdzie to podłączyć, czy co się stanie, jeśli zamienimy te kable miejscami.

Świat byłby wówczas o wiele bardziej ekscytującym miejscem. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Nowe trampki

Franek, ty masz gdzieś tę kultową torbę z Ikei?
Nie pamiętam, Borys. A co?

Ona jest taka symboliczna, wszyscy pamiętają, jak z nią uciekałeś...
Zaraz, to nie była żadna ucieczka. Próbowałem zmylić tych siepaczy ze Straży Granicznej i policji.

No dobra, nieważne. Ale pamiętają. No więc gadałem z Donkiem i on miał taki pomysł, żebyś wziął znowu tę torbę i teraz pojechał na granicę, jak będą Ukraińcy przechodzić. Żeby pokazać, że naprawdę pomagamy prawdziwym uchodźcom.
Jak to: prawdziwym?! A wtedy to niby jacy byli?!

Oj, nie czepiaj się słówek. Tak mi się powiedziało. No to jak?
Po pierwsze, nie wiem, gdzie ta torba jest, a w Ikei już takich nie ma. A po drugie, nie mogę, bo... bo...

Bo co niby?
Bo muszę pojechać kupić nowe trampki! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ludność waszych republik była poddawana zastraszaniu, corocznemu ostrzałowi ze strony reżimu kijowskiego, który otwarcie wszedł na drogę rusofobii i ludobójstwa".

SIERGIEJ ŁAWROW, *szef MSZ Rosji, na spotkaniu z separatystami*

eprasa.pl 4e28c29d7b

Ukraina w ogniu

Maciej Pieczyński

W poniedziałek uznanie niepodległości separatystycznych republik, w czwartek – pełnowymiarowa inwazja. Putin porzucił politykę pozorów. Zamiast wymuszać ustępstwa, rozpętał wojnę

Dzień 24 lutego 2022 r. z pewnością przejdzie do historii. Być może podobnie jak 1 września 1939 r., choć prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski nawiązał do 22 czerwca, czyli do agresji III Rzeszy na ZSRS – porównanie, które powinno trafić do wyobraźni Rosjan, dumnych ze „zwycięstwa nad faszyzmem". Oczywiście wojna rosyjsko-ukraińska wybuchła osiem lat wcześniej, ale jak dotąd miała charakter hybrydowy. Teraz Putin ostatecznie zdjął białe rękawiczki, nie zasłaniając się już „separatystami" czy „zielonymi ludzikami", ale wprost rzucając do boju oddziały regularnych sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Pełnowymiarowa inwazja, którą większość komentatorów uznawała za mało prawdopodobną, stała się faktem.

Działania zbrojne agresora rozpoczęły się nad ranem 24 lutego od serii precyzyjnych ataków lotniczych i rakietowych z lądu, powietrza i morza z udziałem grup dywersyjnych na systemy obrony przeciwlotniczej, najważniejsze lotniska oraz magazyny wojskowe. Następnie rozpoczęła się inwazja lądowa niemal na całej długości granicy. Również z terytorium

eprasa.pl 4e28c29d7b

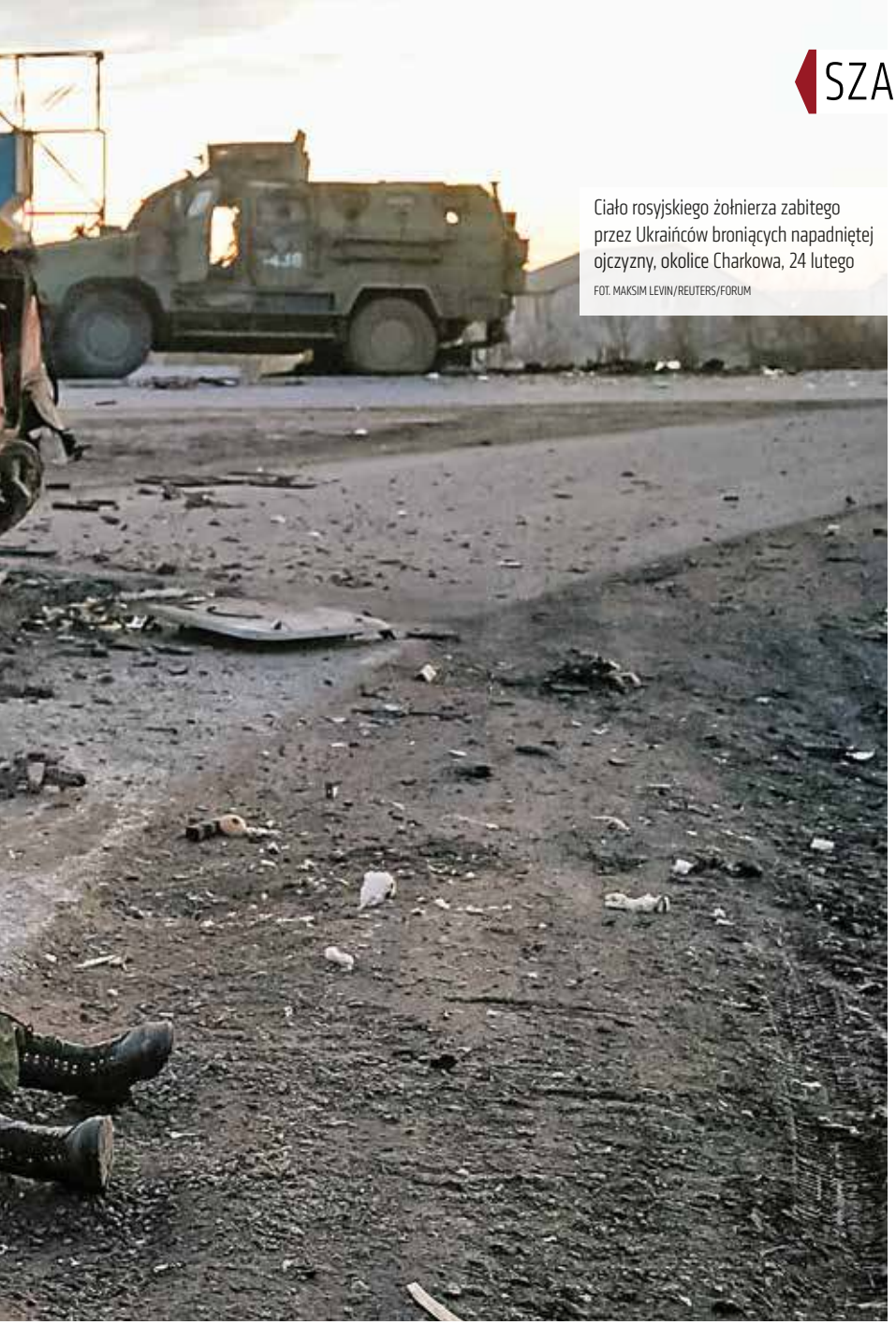

Ciało rosyjskiego żołnierza zabitego przez Ukraińców broniących napadniętej ojczyzny, okolice Charkowa, 24 lutego

FOT. MAKSIM LEVIN/REUTERS/FORUM

Białorusi. Wojska rosyjskie wkroczyły do obwodów charkowskiego, sumskiego, czernihowskiego (wschód Ukrainy, na północ od Donbasu), kijowskiego. Zaatakowane zostały obiekty wojskowe nawet w obwodzie lwowskim, niedaleko Łucka czy Iwano-Frankowska w zachodniej części kraju, niedaleko granicy z Polską. Ostrzelane zostały obiekty wojskowe w obwodzie lwowskim. Zajęte zostało miasto Sumy. Od strony Krymu Rosjanie zaatakowali obwód chersoński. Zajęli tam dwa miasta. Z terenu Białorusi zostały wystrzelone cztery rakiety balistyczne.

Około południa pojawiła się informacja o ostrzelaniu jednostki wojskowej niedaleko Odessy, na południowym zachodzie kraju. Zginęło 14 żołnierzy. Kolejne sześć osób poniosło śmierć podczas ostrzału miasta Browary pod Kijowem. Siły Zbrojne Ukrainy odparły rosyjski atak na miasto Szczastia w obwodzie ługańskim. „Szczastia znajduje się pod naszą kontrolą. 50 rosyjskich najeźdźców zostało zniszczonych. 45 tys. worków nie wystarczy, by pomieścić agresorów" – napisały na Facebooku wojska lądowe Sił Zbrojnych Ukrainy.

Według stanu na 24 lutego ok. godz. 14 Ukraińcom udało się zestrzelić siedem rosyjskich samolotów, cztery śmigłowce oraz zniszczyć ponad 10 jednostek sprzętu opancerzonego (czołgów, transporterów). Moskwa przekazała, że od początku inwazji na Ukrainę wojska rosyjskie przeprowadziły ponad 30 ataków rakietowych i artyleryjskich. Kijów z kolei informował o ciężkich walkach w rejonie Charkowa i na terenie Donbasu oraz o marszu wojsk rosyjskich z Krymu na północ. Pod wieczór Rosjanie zajęli elektrownię atomową w Czarnobylu. Tak w skrócie wyglądał obraz inwazji Rosji na Ukrainę kilkanaście godzin po rozpoczęciu ofensywy agresora.

Szybko stało się jasne, że głównym celem ofensywy jest zdobycie Kijowa. Po ciężkich walkach rosyjscy spadochroniarze zajęli lotnisko Antonow w Hostomlu, ok. 25 km na północny zachód od stolicy po to, aby na jego płytę przerzucić 76. Dywizję Desantowo-Szturmową z Pskowa. Niezależnie od desantu, rosyjskie wojska wkroczyły na teren obwodu kijowskiego (a także czernihowskiego) z terytorium Białorusi. Od granicy ukraińsko-białoruskiej do stolicy jest jedynie ok. 100 km. Łukaszenka umożliwił więc Putinowi uderzenie na Kijów najkrótszą drogą. Dlatego też to właśnie pełne uzależnienie Białorusi od Rosji może być gwoździem do trumny dla ukraińskiej stolicy. Na drugi dzień inwazji w północnych dzielnicach Kijowa pojawili się rosyjscy dywersanci. Na stolicę spadły bomby.

Zełenski ogłosił stan wojenny i powszechną mobilizację. Według oficjalnych informacji Kijowa pierwszego dnia inwazji zginęło 137 obywateli Ukrainy. Po stronie rosyjskiej, według stanu na piątek rano – 800 zabitych, jeśli wierzyć informacjom Kijowa. Rosjanie atakują też obiekty cywilne, bombardują domy mieszkalne.

Rosyjska marynarka wojenna zdobyła Wyspę Węży na Morzu Czarnym, położoną 50 km od wybrzeży w obwodzie odeskim. Załoga okrętu wojennego zażądała od stacjonującej tam niewielkiej załogi poddania się. Ukraińscy żołnierze odpowiedzieli dumnie: „Idi na chuj!". Wszyscy zginęli.

Ministerstwo obrony Rosji oświadczyło już w czwartek, że środki obrony przeciwlotniczej Ukrainy zostały zneutralizowane. Tymczasem Kijów zapewniał, że lotnictwo nadal odpiera ataki.

NAJPIERW SEPARATYŚCI

Jeszcze dzień wcześniej, 23 lutego, niewiele wskazywało na to, że dojdzie do napaści praktycznie na całej długości ukraińskich granic. W poniedziałek 21 lutego

eprasa.pl 4e28c29d7b

Ukraiński wojskowy samolot, którym leciało 14 osób, rozbity 20 km na południe od Kijowa, 24 lutego FOT. UKRAINE EMERGENCY MINISTRY PRESS SERVICE/AFP/EAST NEWS

Władimir Putin ogłosił uznanie przez Rosję niepodległości tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych. Wtedy mogło się wydawać, że to logiczny epilog trwającego od wielu tygodni napięcia. Zachód zachował bowiem zadziwiającą asertywność wobec daleko posuniętych rosyjskich żądań. Również Wołodymyr Zełenski nie ustąpił ani na krok. Putin nie dostał tego, czego chciał. Ukraina nie ogłosiła neutralności, kwestia jej euroatlantyckiego kursu pozostawała otwarta. Nic też nie wskazywało na to, by Zachód obiecał nierozszerzanie się NATO i rozbrojenie flanki wschodniej. Groźby Putina nie odniosły oczekiwanego skutku. Dlatego wydawało się, że uznanie separatystycznych republik to dla Kremla próba wyjścia z twarzą z kłopotliwej sytuacji. Decyzja ta była bowiem jedynie uznaniem stanu faktycznego. To przecież Putin był architektem donbaskich parapaństw. Zmieniło się jedynie to, że przestał udawać, iż nie ma z nimi nic wspólnego. Moskwa podpisała z separatystami umowy o współpracy wojskowej, wspólnej ochronie granic oraz o wspólnej obronie niepodległości. To pozwoliło zalegalizować obecność wojsk rosyjskich na terenie do tej pory oficjalnie nieuznawanych republik. Rosja już nie musiała powtarzać słynnej frazy „ich tam niet", udając, że w Donbasie są tylko walczący z kijowskim reżimem ukraińscy prorosyjscy buntownicy. Mogła za to wreszcie zacząć oficjalnie Donbas okupować.

Problemem, na który wskazywano, były przede wszystkim roszczenia terytorialne separatystów. A to dlatego, że tzw. ludowe republiki zajmowały jedynie ok. 40 proc. obszaru obwodów donieckiego i ługańskiego. Separatyści rościli sobie jednak prawo do pozostałych 60 proc. Początkowo nawet Kreml wysyłał sprzeczne sygnały, jeśli chodzi o podejście do tych roszczeń. Najpierw była mowa o akceptacji republik w ich obecnie wywalczonych granicach. W końcu jednak potwierdzono, że Moskwa popiera w pełni terytorialne żądania swoich „sojuszników". Była więc obawa, że Rosja postanowi „wyzwolić" pozostałe części. Wciąż jednak mogło się wydawać, że Putin, swoim zwyczajem, użyje tych roszczeń terytorialnych jako straszaka. I zagrozi, że jeśli Zachód i Ukraina nie ustąpią, to może być jeszcze gorzej.

Nawet decyzja Putina o uznaniu republik wcale nie była oczywista. Pokazuje to anegdotyczna sytuacja z posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Rosji. Szef Służby Wywiadu Zagranicznego Siergiej Naryszkin zaproponował, by dać Zachodowi ostatnią szansę na wybranie pokojowej ścieżki i zagrozić, że w przeciwnym razie Moskwa będzie musiała uznać separatystyczne republiki. „Chce pan, żebyśmy rozpoczęli negocjacje czy żebyśmy rozpatrzyli wniosek o suwerenność?" – dopytywał Putin. Wyraźnie zestresowany Naryszkin zaczął, jąkając się, tłumaczyć, że poparłby wniosek republik, „aby stały się częścią Federacji Rosyjskiej". Rozbawiony Putin odpowiedział: „Ale my nie o tym rozmawiamy. Rozpatrujemy ich wniosek o uznanie niepodległości". Ponadto, jak wiadomo, przeciwko ewentualnej inwazji otwarcie protestowali również byli oficerowie rosyjskiej armii. Bynajmniej nie z powodu sympatii do Ukrainy, lecz z obawy przed konsekwencjami dla Moskwy.

JAK ZWYKLE „WOJNA OBRONNA"

W środę wieczorem Kijów wprowadził stan wyjątkowy na terenie niemal całej Ukrainy, wyłączając Donbas, objęty specjalnym reżimem. Również w środę wieczorem „niepodległe" republiki Doniecka i Ługańska zwróciły się do Rosji o pomoc w walce z „ukraińskim agresorem". To mogło oznaczać inwazję, mogło też oznaczać, że Putin po raz setny będzie używał groźby agresji do wymuszenia ustępstw. Tymczasem apel szefów republik – Denisa Puszylina i Leonida Pasiecznika, całkowicie podporządkowanych Moskwie, choć pochodzących z Donbasu watażków – posłużył właśnie jako pretekst do uderzenia, i to nie tylko na obszarze samego zagłębia donieckiego. Putin nad ranem ogłosił rozpoczęcie pełnowymiarowej agresji. Użył symptomatycznej, dobrze znanej od dawna

eprasa.pl 4e28c29d7b

argumentacji. Oczywiście, jak zwykle, Rosja „zmuszona" została do użycia siły „w obronie własnej". – Podjąłem decyzję o przeprowadzeniu specjalnej operacji wojskowej. Jej celem jest obrona ludzi, którzy w ciągu ośmiu lat byli ofiarą prześladowań, ludobójstwa ze strony reżimu kijowskiego. W tym celu będziemy dążyć do demilitaryzacji i denazyfikacji Ukrainy – mówił Putin. Wezwał żołnierzy ukraińskich do złożenia broni i odmowy wykonywania „zbrodniczych rozkazów".

Rzecz jasna, w jego retoryce „zbrodniczym rozkazem" jest rozkaz obrony państwa przed agresją rosyjskich „wyzwolicieli". „Wyzwolicieli" spod nazistowskiej okupacji przez marionetkową kijowską juntę, która doszła do władzy w 2014 r. w rezultacie krwawego zamachu stanu (czytaj: w rezultacie rewolucji godności) i sprawuje swoje nielegalne, przestępcze rządy pod kuratelą Zachodu (czytaj: USA i NATO). Rządy te są „obcą agenturą", w żaden sposób niewyrażającą woli narodu ukraińskiego, który – jak można się domyślić – najchętniej wybrałby przyjaźń z Rosją, najlepiej w jej składzie. Zresztą już po rozpoczęciu działań zbrojnych Moskwa apelowała do „zwykłych Ukraińców", aby się poddali i nie ginęli w obronie junty, bo przecież Rosja przynosi im pokój. Putin oskarża „ukraińskich nazistów" o ludobójstwo, podczas gdy tym terminem można określić raczej zbrodnicze działania rosyjskiego agresora wobec ukraińskich cywilów.

– Cała odpowiedzialność za możliwy rozlew krwi spoczywać będzie całkowicie na sumieniu reżimu rządzącego na terenie Ukrainy – mówił Putin. Inwazję nazwał „samoobroną". I tłumaczył, że armia rosyjska broni się przed tymi, którzy „usiłują wykorzystać Ukrainę przeciwko Rosji". – Dzisiejsze wydarzenia są związane z obroną samej Rosji przed tymi, którzy wzięli Ukrainę na zakładnika i próbują ją wykorzystać przeciwko naszemu krajowi i narodowi – stwierdził władca Kremla. Wyraził przekonanie, że „oddani swojej ojczyźnie żołnierze i oficerowie profesjonalnie i mężnie spełnią swój obowiązek". Pośrednio zagroził też atakiem nuklearnym przeciwko tym, którzy „zaatakują" Rosję.

Putin oświadczył też, że „zagospodarowanie" Ukrainy przez NATO jest nie do zaakceptowania. Sojusz północnoatlantycki tworzy jakoby „fundamentalne zagrożenie dla Rosji", rozszerzając się na wschód. Oczywiście kwestia wejścia Ukrainy do

Natalia Serwiukowa płacząca obok swojego domu po rosyjskim ataku rakietowym, Kijów, 25 lutego

FOT. EMILIO MORENATTI/AP/EAST NEWS

NATO jest perspektywą bardzo odległą, to jednak nie przeszkadza używać jej jako pretekstu do faktycznego wypowiedzenia wojny. Putin stwierdził też, że i tak starcia Rosji z „nacjonalistycznymi siłami na Ukrainie", które „wcześniej czy później" ruszyłyby na Krym, były jedynie kwestią czasu. – Oni się przygotowują, czekają na dogodny moment. A teraz jeszcze pretendują do posiadania broni jądrowej. Nie pozwolimy im na to – przekonywał, zapominając, że Moskwa, podpisując memorandum budapeszteńskie, niejako obiecała Ukrainie bezpieczeństwo w zamian właśnie za zrzeczenie się potencjału nuklearnego.

ZIEMIE „HISTORYCZNIE ROSYJSKIE"

Z orędzia Putina wynikało, że Rosja po prostu nie może czuć się bezpiecznie, nie może funkcjonować w stanie permanentnego zagrożenia ze strony Ukrainy. Fundamentem polityki Rosji jest „wolność", do której prawo powinni mieć wszyscy, w tym „poddani kijowskiej junty". Putin uściślił, że chodzi o „wolność wyboru, wolność do samodzielnego określania swojej przyszłości i przyszłości swoich dzieci". Jednocześnie

Z orędzia Putina wynikało, że Rosja nie może funkcjonować w stanie permanentnego zagrożenia ze strony Ukrainy

„przypomniał", że ani przy powstaniu ZSRS, ani po drugiej wojnie światowej „ludzi zamieszkujących te czy inne terytoria, wchodzące w skład dzisiejszej Ukrainy, nikt nie pytał o to, jak sami chcą kształtować swoje życie". Podobnej argumentacji użył dwa dni wcześniej, gdy – również w telewizyjnym orędziu – uzasadniał jeszcze „tylko" uznanie niepodległości separatystycznych republik. – Współczesna Ukraina jako państwo została stworzona przez Rosję, a dokładniej: przez komunistyczną, bolszewicką Rosję – stwierdził. Chodzi o to, że Ukraina odziedziczyła swoje granice po dawnej Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej. Granice te, argumentuje Putin, zostały wyznaczone arbitralnie, tak że objęły sporą część „ziem historycznie rosyjskich". Donbas bolszewicy „siłą wepchnęli" w granice ukraińskiej republiki. Wielu Rosjan wbrew swojej woli stało się obywatelami obcego, sztucznie utworzonego przez bolszewików kraju. Ukrainę Putin nazywa „Ukrainą imienia Władimira Iljicza Lenina", ponieważ tylko wodzowi rewolucji zawdzięcza ona swoje istnienie. Oczywiście z punktu widzenia prezydenta Rosji to był wielki błąd. Putin krytykuje Lenina za to, że w imię zasad internacjonalizmu przeforsował konfederacyjną wizję państwa, podzielonego na odrębne republiki, obdarzone prawem do odłączenia się od centrum w Moskwie. Dlatego w 1991 r. był możliwy rozpad ZSRS i odłączenie się Ukrainy. Putin już w zeszłym roku sarkastycznie sugerował, że jeśli Ukraina chce dekomunizacji, to powinna być

eprasa.pl 4e28c29d7b

Rosyjscy żołnierze wjechali na Ukrainę pod flagą ZSRS FOT. TWITTER.COM/RALEE85

konsekwentna i zdekomunizować również swoje granice, podarowane jej jakoby przez komunistów.

Putin zastrzegł, że celem operacji wojskowej nie jest okupacja całej Ukrainy, tylko doprowadzenie do sytuacji, w której „wszystkie narody" na jej terytorium „będą mogły skorzystać z prawa do samookreślenia". Czyli: wybrać kurs na neutralność bądź prorosyjskość. Oczywiście nie ma żadnego powodu, aby wierzyć słowom Putina. „Ukraina imienia Władimira Iljicza Lenina" to przecież dla niego sztuczny twór, który powstał niejako na złość Rosji, na jej historycznych ziemiach. Od dawna neutralność tego kraju była dla Putina planem minimum. Planem maksimum – całkowite jej podporządkowanie Rosji albo w sensie politycznym, albo terytorialnym.

Agresja na terenie niemal całego kraju to przekroczenie Rubikonu i już nie może być mowy o kompromisach. Niepodległość Donbasu nie ma teraz większego znaczenia – pod rosyjski but w tej czy innej formie, w przypadku powodzenia operacji Putina, dostanie się najpewniej cała Ukraina. W całkowite zapomnienie pójdą porozumienia mińskie, które dawały możliwość destabilizacji Ukrainy niewielkim kosztem, przy akceptacji Zachodu. Na ich mocy Donbas wróciłby pod władzę Kijowa, ale najprawdopodobniej jako koń trojański Kremla. Porozumienia zakładały bowiem decentralizację Ukrainy i specjalny status dla obwodów donieckiego i ługańskiego. Przewidywały również rozbrojenie separatystów i odzyskanie kontroli państwa nad granicą z Rosją. Problem w tym, że kolejność nie została do końca określona i była przedmiotem permanentnego sporu Kijowa z Moskwą, która żądała, aby najpierw były decentralizacja i nowe wybory lokalne, potem zaś dopiero rozbrojenie. Zniszczony wojną, zindoktrynowany przez antyukraińską propagandę region w takich warunkach byłby dla ukraińskich władz ogromnym ciężarem. Rosja nie ponosiłaby już kosztów jego utrzymania, za to mogłaby obserwować, jak Kijów się nim dławi. Wydawało się, że to jest cel Putina. Dziś trudno to sobie wyobrazić.

NAPASTNIK PROPONUJE „POKÓJ"

Po napaści w czwartek Kreml od razu zaproponował Kijowowi „pokój". „Moskwa jest gotowa do negocjacji z władzami Ukrainy na temat neutralnego statusu tego kraju i rezygnacji z rozmieszczenia broni na jej terytorium" – obwieścił Dmitrij Pieskow. Poinformował, że „Kreml nie widzi przeszkód w zorganizowaniu rozmów prezydentów Rosji i Ukrainy, ale tylko wtedy, gdy Ukraina będzie gotowa do rozmowy o sprawach bezpieczeństwa Moskwy".

– Po zakończeniu tej operacji wojskowej i wyzwoleniu Ukrainy z militaryzacji, pozwolimy jej mieszkańcom decydować o własnym losie – zadeklarował łaskawie w piątek Siergiej Ławrow.

W momencie, gdy idzie do druku ten numer tygodnika „Do Rzeczy", nie wiadomo, jak to się dalej potoczy. Ukraina nadal broniła się, zadając straty wojskom agresora. Polska przygotowywała się na przyjęcie uchodźców, którzy już do nas docierali. Ludzie masowo uciekali z Kijowa, któremu groziło bombardowanie.

Polski Sejm przez aklamację przyjął uchwałę wzywającą UE i NATO do objęcia Rosji jak największymi sankcjami.

W czwartek przywódcy UE uzgodnili pakiet restrykcji. Obejmują 70 proc. rosyjskiego rynku bankowego i kluczowe przedsiębiorstwa państwowe, w tym w sektorze obronnym. Uzgodniono zakaz eksportu sprzętu i technologii potrzebnych rosyjskim rafineriom. Będą też ograniczenia wywozowe dla towarów podwójnego zastosowania i produktów dotyczących zaawansowanych technologii. Zakazano również sprzedaży samolotów i sprzętu rosyjskim liniom lotniczym. – Ograniczamy dostęp Rosji do kluczowych technologii, takich jak półprzewodniki czy najnowocześniejsze oprogramowanie. Wreszcie: wizy. Dyplomaci i pokrewne grupy oraz ludzie biznesu nie będą już mieli uprzywilejowanego dostępu do Unii Europejskiej – mówiła szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Nie odcięto natomiast Rosji od systemu SWIFT – przeciwko były Niemcy, Węgry, Włochy i Cypr. Berlin stoi więc po stronie Zachodu, ale blokuje ostrzejsze restrykcje.

Odciąć Rosji od systemu SWIFT na razie (stan na piątek 25 lutego) nie zamierzają również Amerykanie, którzy wprowadzili własne sankcje. – Wszystkie aktywa, jakie Rosja posiada w USA, będą zamrożone. Sankcje obejmą pięć największych rosyjskich banków, które posiadają ponad bilion dolarów aktywów […]. Odcięliśmy największy bank Rosji, posiadający ponad jedną trzecią aktywów Rosji. Odcięliśmy go od systemów finansowych USA – powiedział w czwartek prezydent Joe Biden.

Jak zaznaczył, USA zablokuje również cztery kolejne duże rosyjskie banki. – To znaczy, że każde aktywo, jakie [Rosja – przyp. red.] posiada w USA, będzie zamrożone. W to wchodzi bank VTB, drugi największy bank w tym kraju, mający 250 mld dol. aktywów – mówił Biden. Rozszerzona została lista sankcji personalnych.

Sankcje zostały zresztą ogłoszone już w reakcji na uznanie separatystycznych republik. Niemcy, pod naciskiem USA, wstrzymały certyfikację Nord Stream 2, sam Waszyngton zaś nałożył restrykcję na firmę budującą gazociąg. Decyzja Putina wywołała dość konkretną reakcję Zachodu. Stany Zjednoczone nałożyły sankcje na dwa rosyjskie banki i obrót rosyjskimi obligacjami, a także sankcje personalne przeciwko synom osób z otoczenia Putina. Joe Biden zapowiedział też wzmocnienie flanki wschodniej NATO. W lutym Waszyngton wysłał do Polski 82. dywizję powietrznodesantową (4,7 tys. żołnierzy). Nad Wisłę trafi też 12 śmigłowców Apache.

Sankcje już po uznaniu separatystów wprowadziła też Rada Europejska. Restrykcje objęły zamrożenie aktywów, zakaz udostępniania funduszy osobom i podmiotom umieszczonym w wykazie, zakaz podróżowania po terytorium

eprasa.pl 4e28c29d7b

UE. Na liście sankcyjnej znalazło się 351 deputowanych do Dumy Państwowej, którzy zagłosowali za apelem do prezydenta o uznanie niepodległości DRL i ŁRL, a także 27 znanych osób i podmiotów, które podważały integralność terytorialną i niepodległość Ukrainy lub jej zagrażały. Wśród nich – minister obrony Siergiej Szojgu, rzeczniczka MSZ Maria Zacharowa czy znany dziennikarz telewizyjny Władimir Sołowiow. Ten ostatni, bardzo popularny i agresywny kremlowski propagandysta, nie będzie mógł już odwiedzić swojej willi nad jeziorem Como we Włoszech. Z uwagi na swoje żydowskie pochodzenie oskarżył Zachód o… antysemityzm. „To nie pierwszy raz, kiedy »cywilizowana Europa« wprowadza sankcje przeciwko Żydom" – komentował.

„Cywilizowana Europa" i – szerzej – kolektywny Zachód, z USA na czele, to w oczach Putina niemal śmiertelni wrogowie Rosji. – Tak zwany blok zachodni, stworzony przez USA, to imperium kłamstwa – stwierdził rosyjski przywódca podczas przemówienia. Najwyraźniej stracił nadzieję na rozbicie jedności Zachodu poprzez porozumienie z Francją czy Niemcami lub na wykorzystanie słabości Joe Bidena, który późno, ale jednak, zajął twarde stanowisko wobec Kremla.

W tej chwili inwazja na Ukrainę wydaje się nieracjonalnym krokiem, aktem desperacji autokraty, który po latach stwarzania pozorów i udawania legalisty stracił nagle cierpliwość (a być może również zdolność adekwatnej oceny rzeczywistości) i najprawdopodobniej stracił też szanse na osiągnięcie swoich geopolitycznych celów. Już w pierwszych godzinach wojny było widać, że Ukraina nie zamierza poddać się bez walki i że – inaczej niż w 2014 r. – potrafi zadać agresorowi stosunkowo dotkliwe straty. Jeśli ostatecznie będzie musiała się poddać, to koszty agresora będą ogromne. Już sankcje po uznaniu republik były daleko posunięte – jak na wcześniejszą wstrzemięźliwość Zachodu – a teraz może być już tylko gorzej. A i podbój Ukrainy poza tylko częściowo prorosyjskimi regionami południowo-wschodnimi, nawet jeśli się uda, doprowadzi do przewlekłej walki partyzanckiej, na którą Ukraińcy są bez wątpienia gotowi. Rosja nie przywykła okupować terenów zamieszkałych przez absolutnie wrogą ludność. Oczywiście również dla Ukrainy skutki inwazji będą, niezależnie od ostatecznego rezultatu, bardzo dotkliwe. Już teraz mówi się, że PKB może spaść nawet o połowę.

Według sondażu Wszechrosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej (WCIOM) 73 proc. Rosjan popiera uznanie republik. Putin bił rekordy popularności po aneksji Krymu. Społeczeństwo rosyjskie w swojej masie popiera imperialną politykę. Jednak zarówno Krym, jak i Donbas, dostały się Moskwie bez większych strat. Nie wiadomo, co będzie, gdy Ukraina zada Rosji ciężkie straty. W dniu inwazji w 55 miastach rosyjskich odbyły się protesty antywojenne. Ponad tysiąc osób zostało zatrzymanych. Z kolei wspomniane niezdecydowanie Naryszkina i głosy sprzeciwu ze strony emerytowanych wojskowych pokazują, że osoby zdające sobie świetnie sprawę z prawdziwego stanu państwa niekoniecznie popierają ryzykowną geopolityczną awanturę. W razie niepowodzeń na froncie Putin może więc obawiać się, że dorobi się swojego Stauffenberga. Czyli opozycji, która, popierając kierunek wodza, ma dość jego nieobliczalności… Być może wewnętrzny sprzeciw na samym szczycie będzie bardziej skuteczny niż najdotkliwsze sankcje Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PATRONAT
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918·2018
ORGANIZATOR
FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA
WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl
MECENAS PLATYNOWY
PZU
ORLEN
MECENAS ZŁOTY
KGHM POLSKA MIEDŹ
WĘGLOKOKS
PGE
PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Fundacja
TOTALIZATOR SPORTOWY
PARTNER
BGK
PGNiG
fundacja arp
FESTIWAL FILMOWY NNW
PFR Fundacja
PATRON MEDIALNY
TVP
POLSKIE RADIO
PARTNER MEDIALNY
SO RZECZY
HISTORIA

eprasa.pl 4e28c29d7b

Jacek Przybylski

„Siłowik pokoju”

Sprawny i pracowity szpieg KGB, sprytny polityk oraz cyniczny psychopata rządzi Rosją już prawie ćwierć wieku. Władimir Putin długo przygotowywał się do ataku na Europę, który w setną rocznicę powstania Związku Sowieckiego ma sprawić, że przed wielką Rosją znów zadrży cały świat

Czy Putin to Hitler XXI w.? – amerykańscy publicyści stawiali to pytanie już po nielegalnej aneksji Krymu w 2014 r. Osiem lat później Władimir Putin, bezczelnie fałszując w przemówieniu historię Europy Środkowo-Wschodniej, postanowił napisać ją od nowa krwią tysięcy ukraińskich cywilów i żołnierzy. Sam fakt inwazji pokazuje, jak niebezpieczny jest to gracz. Gdy USA, Wielka Brytania i wielu innych przywódców zachodniego świata ostrzegali, że Putin szykuje inwazję, większość wolała sądzić, że dziesiątki tysięcy żołnierzy przy granicy z Ukrainą to blef, polityczny szantaż, element wojny informacyjnej.

Władimir Putin – będący skrzyżowaniem Stalina i Nikodema Dyzmy – długo przed atakiem urządzał teatrzyk, przyjmując kolejnych błagających o pokój przywódców Europy i wykorzystując każdą sposobność, aby przy okazji maksymalnie ich poniżyć. Nie chodzi tylko o żądanie wykonania rosyjskich testów przeciw COVID-19 czy sadzanie liderów zachodniego świata przy kuriozalnie długim stole. Szczególnie chamsko prezydent Rosji potraktował przywódcę Francji. Kreml „zapomniał” wysłać po Emmanuela Macrona – obecnie również lidera kraju, który sprawuje przewodnictwo w Unii Europejskiej – kolumny samochodów, przez co dumny francuski polityk musiał grzecznie podreptać na terminal, a potem jeszcze swoje odczekać, zanim otwarto przed nim drzwi do cara.

WIELKI ATAK NA EUROPĘ

Wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska w ostatni czwartek wznowiła obrady Sejmu ubrana w koszulkę

FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/TASS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4e28c29d7b

z wizerunkiem Władimira Putina na tle skrzyżowanych piszczeli i napisu: „Achtung Russia" (z literami „s" stylizowanymi na znak SS). – Powinno być „Achtung Putin", ponieważ to on chce skłócić naród rosyjski z demokratycznym światem, którego częścią jest Ukraina. Jestem przekonana, że wyrażam opinię wszystkich tu zgromadzonych, mówiąc stanowcze „nie" agresywnym zapędom Putina. Putina mordercy, Putina terrorysty, Putina zbrodniarza – oznajmiła Gosiewska.

„Putin to szaleniec, trzeba go odizolować, bronić się przed nim nie tylko słowami, lecz także konkretnym działaniem" – oznajmił tego samego dnia prezydent Czech Miloš Zeman, który jeszcze kilka dni wcześniej przekonywał, że nie dojdzie do wojny, bo „Rosjanie nie są szaleni, by przeprowadzić operację, która wyrządzi im więcej szkody niż pożytku".

W podobny scenariusz wierzyły miliony Ukraińców, którzy byli przekonani, że Putin nie zaatakuje, bo „po co miałby to robić". Już po rozpoczęciu inwazji ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczyca nazwał Putina „zbrodniarzem wojennym". Słusznie. Tylko pierwszego dnia rosyjskiej agresji zginęło 137 Ukraińców, 306 zostało rannych, a tysiące musiało opuścić swoje domy. Wśród mordowanych przez Rosjan ludzi są też ukraińskie dzieci. Rosjanie – wbrew zapewnieniom – nie wybierają bowiem jedynie wojskowych celów.

Nie pierwszy raz przywódca Rosji wzbudził w Europie tak ogromne negatywne emocje. Putina oficjalnie potępiano choćby za zlecenie morderstwa dawnych rosyjskich szpiegów w Wielkiej Brytanii przy użyciu ukrytego w herbacie polonu oraz nowiczoka przewiezionego w celu zabójstwa podwójnego agenta Siergieja Skripala, a więc absolutnie zakazanej i wyjątkowo niebezpiecznej broni masowego rażenia. Moskiewscy szpiedzy wcale nie starali się ukryć, jakiej trucizny użyli. Nie zachowali też środków bezpieczeństwa, przez co narazili życie i zdrowie przypadkowych Europejczyków.

Bezczelne operacje rosyjskich zabójców działających na zlecenie Kremla doprowadziły do bezprecedensowej fali wydaleń personelu ambasady rosyjskiej z różnych krajów świata. Od tego czasu długa lista otrutych krytyków Władimira Putina jeszcze się wydłużyła. Inni śmiałkowie, którzy odważyli się rzucić wyzwanie rosyjskiemu dyktatorowi, ginęli z rąk przypadkowych sprawców, czasem – jak w przypadku opozycjonisty Borysa Niemcowa – tuż pod murami Kremla.

Kłopot w tym, że Putina tego typu słowa potępienia nie tylko nie powstrzymują, lecz także wręcz zachęcają do dalszej eskalacji. Podobnie słabiutkie sankcje ogłoszone przez Zachód po inwazji na pełną skalę, ukazujące, że choćby na Ukrainie zginęły tysiące ludzi, to wielu niemieckich, francuskich, cypryjskich czy włoskich polityków czy przedsiębiorców hołduje bardziej zasadzie „pecunia non olet" niż nieprzyjmowaniu zakrwawionych rosyjskich pieniędzy. Zresztą Putin może wykorzystać liche zachodnie sankcje do uzasadniania agresji na użytek wewnętrznej sceny politycznej. W kraju, w którym Rosja to Putin, a Putin to Rosja, i w którego otoczeniu nie ma nikogo, kto śmiałby w jakiejkolwiek sprawie powiedzieć dyktatorowi „niet", rządowa propaganda może dowolnie żonglować faktami i fake newsami.

Dla Putina najgorsze byłyby oznaki tego, że nie jest już szanowany lub – co gorsza – że jest lekceważony. Jeśli o następnych krokach dyktatora myśli cały świat, to dla chorego z nienawiści umysłu rosyjskiego prezydenta nie ma lepszej nagrody.

Niestety, chociaż działania Putina można i należy potępiać, to niestety nie jest on „szaleńcem". „Zbrodniarzem"? Oczywiście, mianem tym określają go miliony w Syrii, Rosji i w wielu innych krajach świata. „Totalnym paranoikiem" – jak nazwał go w ubiegłym tygodniu premier Holandii Mark Rutte? Jasne, że tak. Zresztą osobowość paranoiczna jest chyba jednym ze znaków rozpoznawczych większości przywódców Rosji. Również Putin od pierwszych lat rządów wyjątkowo krwawo i brutalnie rozprawiał się z kolejnymi osobami, których nagle uznał za swoich wrogów, choć wcześniej pomagali mu w poszerzeniu władzy.

ODWAGA KGB-ISTY

Niestety, Putin nie jest jednak „szaleńcem", który bez przygotowania i bez planu rzuci się na Zachód skazany na rychłą przegraną. Rosyjski przywódca sam lubi się jednak chełpić tym, że – podobnie jak bulteriery czy pitbulle – ma wyraźnie przesuniętą granicę strachu, a co za tym idzie – skłonność do zachowań ryzykownych. Zwrócili na to uwagę instruktorzy KGB szkolący młodego kandydata na agenta, którzy uznali tę cechę Putina za poważną wadę i wcale nie widzieli w nim kandydata na asa wywiadu. Nauczyli go jednak nie tylko walki, lecz także tego, jak manipulować ludźmi, jak ich szantażować i jak ich niszczyć. Do dziś efekty szkolenia widać nie tylko w sposobie prowadzenia negocjacji z zachodnimi liderami, lecz także nawet w sposobie chodzenia Władimira Putina. Część zachodnich lekarzy sądziła nawet, że „sztywna ręka" to dowód na chorobę Parkinsona, tymczasem „krok rewolwerowca" jest typowy dla osób, które mają za sobą treningi KGB. Adeptów sztuki szpiegowskiej uczono bowiem, aby chodzili tak, żeby w konfrontacji z wrogiem móc wyciągnąć pistolet tak szybko, jak to tylko możliwe.

Władimir Putin w KGB służył w latach 1975–1991, do czego zresztą sam się przyznał podczas kampanii prezydenckiej w roku 2000. Jak zauważa Grzegorz Kuczyński, autor książki „Tron we krwi. Sekrety polityki Kremla", początki jego służby wcale nie zapowiadały, że na przełomie wieków zajmie najważniejszy gabinet na Kremlu. Przeszedł kurs w szkole szpiegowskiej KGB w Moskwie w 1985 r., po czym wysłano go na misję do NRD. Oficjalnie jako dyplomata pracował w Dreźnie do 1990 r., rekrutując dla KGB tajnych współpracowników. Kilka lat temu archiwum w Petersburgu odtajniło część dokumentów, w tym profil „agenta Putina". Jego przełożeni chwalili „moralną stabilność" oraz „szybkość, zdyscyplinowanie i drobiazgowość" przyszłego dyktatora Rosji. „Towarzysz Władimir Władimirowicz Putin stale podnosi swoje ideologiczne i polityczne standardy. Aktywnie angażuje się w grupie edukacji partyjnej. Stale poprawia zdolności zawodowe" – czytamy w raporcie.

„Towarzysz Władimir Władimirowicz Putin stale podnosi swoje ideologiczne i polityczne standardy" – chwalił Putina raport KGB

Radziecki agent miał także legitymację Stasi, dzięki której swobodnie poruszał się po obiektach należących

eprasa.pl 4e28c29d7b

do Stasi, co znacząco ułatwiało mu werbowanie agentów. Niemiecki „Bild" opublikował zdjęcie legitymacji „majora Władimira Putina" w cywilnym ubraniu, której ważność co kwartał przedłużana była do końca 1989 r. Mimo nadchodzącej klęski Związku Sowieckiego agent Putin pracował bardzo intensywnie, za co w lutym 1988 r. dostał nawet od ministra bezpieczeństwa państwowego NRD Ericha Mielkego brązowy Medal Zasługi Narodowej Armii Ludowej za osiągnięcia w „służbie w walce o pokój, w obronie ojczyzny i proletariackiego internacjonalizmu w latach bratniej współpracy tajnych służb NRD i Związku Sowieckiego przeciwko wspólnemu wrogowi".

Dużo o sposobie działania i charakterze Putina mówi zajście z grudnia 1989 r., opisane przez Shauna Walkera, autora książki „Na ciężkim kacu. Nowa Rosja Putina i duchy przeszłości".

Otóż gdy tłum prodemokratycznych protestujących próbował wedrzeć się na teren KGB w Dreźnie, 37-letni Władimir Putin najpierw wezwał wsparcie z centrali, aby chronić nie tylko pracowników, lecz także stosy tajnych dokumentów. Gdy okazało się, że „Moskwa milczy", młody pułkownik wyszedł przed siedzibę KGB i udając prostego tłumacza, powiedział protestującym, że w środku jest pełno uzbrojonych po zęby ludzi, którzy są gotowi zastrzelić każdego, kto spróbuje dostać się do wewnątrz. Blef okazał się skuteczny. Tłum się rozszedł, a Putin i jego ludzie uratowali skórę.

Po nieudanym puczu Janajewa w 1991 r. Putin formalnie porzucił pracę dla sowieckiego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Nigdy nie ukrywał, że rozpad Związku Sowieckiego to „największa katastrofa geopolityczna XX w.", wielokrotnie powtarzał to publicznie i przekonywał, że to, iż po upadku sowieckiego reżimu 25 mln Rosjan pozostało poza granicami Rosji, jest „poważną katastrofą humanitarną". Najbardziej doskwierał mu jednak nie los ludzi czy gospodarki, ale poczucie narodowego upokorzenia. Gwałtowny upadek sowieckiego imperium rozbudził w nim więc nienawiść wobec wszelkiej maści ulicznych rewolucji. To między innymi dlatego Putin krwawo interweniował w Syrii, to dlatego żywi tak wielką nienawiść do Ukraińców, którzy po obaleniu prorosyjskiego rządu chcieli wreszcie cieszyć się wolnością i suwerennością, i to dlatego tylko pierwszego dnia rosyjskiej napaści na Ukrainę w Rosji aresztowano ponad 1,8 tys. osób, które ośmieliły się wyjść na ulice miast, aby zaprotestować przeciwko wojnie.

Po zmianie ustroju cztery lata pełnił funkcję zastępcy mera Petersburga. Był odpowiedzialny za kontakty międzynarodowe i inwestycje zagraniczne. Doświadczenie ze współpracy z „kapitalistami" wykorzystuje do dziś, umiejętnie korumpując zachodnich urzędników, polityków czy biznesmenów. W sierpniu 1996 r. rozpoczął pracę w administracji prezydenta Borysa Jelcyna. Na własne oczy widział wówczas bezsilność Rosji, gdy rozwścieczony Jelcyn zakazał Clintonowi ataku na Serbię, ale do bombardowań doszło tak czy owak.

Pod koniec lat 90. Putin ostrzegał, że Rosja stoi w obliczu realnego zagrożenia zepchnięciem do drugiej, a nawet trzeciej ligi

Od lipca 1998 r. do sierpnia 1999 r. znów oficjalnie wrócił do bezpieki. Był szefem Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), a więc następczyni KGB. Ze stanowiska odszedł po objęciu funkcji premiera Rosji. W 1999 r. opublikował artykuł na łamach dziennika „Niezawisimaja Gazieta", w którym ostrzegał, że „pierwszy raz od 200–300 lat Rosja stoi w obliczu realnego zagrożenia zepchnięciem do drugiej, a nawet trzeciej ligi wśród światowych mocarstw", i wezwał Rosjan do zjednoczenia i przywrócenia Rosji pozycji wśród najważniejszych światowych graczy. Gdy został prezydentem w roku 2000, bardzo brutalnie rozprawił się więc z Czeczenami.

„Krąży sobie taka, dość popularna, teoria, że to nieformalna kasta byłych KGB-istów wprowadziła Putina na Kreml, że w ten sposób, po latach smuty dla Łubianki, czekiści osiągnęli strategiczny cel. Kłopot w tym, że do dziś nie pojawiły się dowody, jakoby to KGB/FSB wyreżyserowała marsz Putina na szczyty władzy. Nie brak za to dowodów na coś innego. Że to Putin, w głębi duszy wciąż KGB-ista, korzystając z politycznej okazji, wprowadził FSB na Kreml. Bo widział w niej jedyną państwową instytucję, której może zaufać [...]. Na niej oparł państwo, z niej uczynił gwaranta jego władzy […]" – zauważa Kuczyński w „Tronie we krwi".

Szybko ułożył sobie stosunki z oligarchami i członkami tzw. rodziny kremlowskiej. W 2004 r. został więc zaprzysiężony na drugą czteroletnią kadencję. Ponieważ rosyjska konstytucja formalnie zabraniała Putinowi sprawowania władzy przez więcej niż dwie kadencje, 7 maja 2008 r. przekazał prezydenturę Dmitrijowi Miedwiediewowi. Ten zaś tego samego dnia przedstawił przewodniczącemu Dumy kandydaturę Putina na stanowisko premiera. W 2012 r. kolejny raz zajął najważniejszy gabinet na Kremlu. W marcu 2018 r. uzyskał 76,65 proc. głosów i objął rządy na kolejną, tym razem już sześcioletnią kadencję.

„W samej Rosji szpiedzy z epoki ZSRS sprawują obecnie władzę, wśród nich główną postacią jest były oficer KGB, Władimir Putin. Są nazywani siłowikami, czyli ludźmi siły" – pisze Edward Lucas w książce „Podstęp. O szpiegach, kłamstwach i o tym, jak Rosja kiwa Zachód". Ci „twardziele" na czele z Putinem muszą dbać o to, by kojarzono ich z bezwzględną, brutalną siłą, którą tak kochają u swych przywódców zwykli Rosjanie. Putin – samozwańczy macho i rosyjski superbohater – pozuje więc z tygrysami, jeździ konno z gołą klatą, pozuje za sterami myśliwca, chętnie bierze też udział w hokejowych rozgrywkach i treningach judo.

Jednocześnie bardzo dba o symbole. Rozwinął mit wielkiej wojny ojczyźnianej, zmienił hymn Federacji Rosyjskiej na melodię dawnego hymnu sowieckiego z nowymi słowami. Pamięta również o wszelkich sowieckich świętach i rocznicach. Nienawiść do Polaków sformalizował, ustanawiając Dzień Jedności Narodowej 4 listopada, w rocznicę wypędzenia wojsk polskich z Moskwy w 1612 r.

Putin zdobył popularność nie tylko w Rosji, lecz także na Zachodzie. Tygodnik „Time" za Człowieka Roku uznał go w latach 2007 oraz 2013 (tuż przed inwazją na Krym). Do grona najbardziej wpływowych ludzi na świecie zaliczały go takie magazyny jak „Vanity Fair", „Forbes" czy „Foreign Policy". Gdy jasne było, że nie da się dożywotnio bazować na dawnych zwycięstwach, a płynące

eprasa.pl 4e28c29d7b

szerokim strumieniem petrodolary kiedyś się skończą, Putin niemal bez ofiar po stronie Rosji zajął Krym, czym zdobył ogromną popularność wśród Rosjan, a następnie rozpoczął wojnę hybrydową z Ukrainą. Zmodernizowana rosyjska armia zdobyła również wiele ważnych doświadczeń podczas zbrojnej interwencji w Syrii.

UKRAINA TO TYLKO POCZĄTEK?

W lutym 2022 r. Putin podjął decyzję o ataku na Ukrainę na pełną skalę, chociaż wielu analityków, dyplomatów i polityków niemal wykluczało ten scenariusz ze względu na znaczne szkody, jakie wojna rosyjsko-ukraińska przyniesie rosyjskiej gospodarce i społeczeństwu.

Wiele wskazuje na to, że rosyjski przywódca długo przygotował się do wielkiego ataku na zachodnią Europę. I nie chodzi tylko o punkt po punkcie realizowany plan inwazji na ukraińskie miasta czy też na listę osób do aresztowania lub zabicia na Ukrainie – dziennikarzy, rosyjskich dysydentów i polityków na czele z demokratycznie wybranym prezydentem Wołodymyrem Zełenskim – o której istnieniu „Foreign Policy" informował, gdy Putin publicznie wciąż łudził jeszcze Zachód możliwością uniknięcia wojny.

Francuski prezydent Macron w ubiegłym tygodniu publicznie stwierdził, że wojna na Ukrainie to „zwrot w historii Europy i Francji", i ostrzegł, że sam Putin zapowiedział, że atak na terytoria ukraińskie to dopiero początek operacji na dużą skalę. Jak dużą? Istnieje spore ryzyko, że Putin, chcąc odbudować potęgę imperialnej Rosji, podejmie ogromne ryzyko i zamknie przesmyk suwalski, atakując kraje bałtyckie ze wszystkich kierunków, a więc zdobywając je przy użyciu podobnej taktyki, którą stosuje obecnie przeciw Ukrainie.

Białorusini i Rosjanie rajd wojsk pancernych z okolic Grodna przez Suwałki do obwodu kaliningradzkiego ćwiczyli podczas wspólnych manewrów wielokrotnie od 2009 r. Scenariusz takiego ataku jest też oczywiście doskonale znany NATO-wskim, polskim i rosyjskim strategom. 65-kilometrowy przesmyk suwalski jest bowiem postrzegany jako jeden z najbardziej narażonych na atak punktów NATO-wskiego terytorium.

Putin, zajmując kraje bałtyckie, zrobiłby to wbrew wielu polskim ekspertom i znanym publicystom, którzy twierdzą, iż prezydent Rosji nie odważyłby się pójść na wojnę z NATO, bo byłaby ona dla niego i Rosji samobójstwem. Niestety, ci sami eksperci przekonywali przez ostatnie miesiące, że Putin blefuje i niemal na pewno nie uderzy na Ukrainę, a jeśli już, to tylko na jej wschodnie rubieże. Tymczasem Putin zagroził – w swój ulubiony, pełen dwuznaczności sposób – użyciem najstraszliwszej broni w dziejach (w domyśle atomowej, choć niewykluczone, że także chemicznej czy biologicznej).

Na szczęście scenariusz ten poważnie rozważają obecnie przywódcy państw bałtyckich, którzy w ubiegłym tygodniu zaapelowali o pomoc NATO i zwiększenie obecności wojsk sojuszu na ich terenie po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. „Putin zawstydził dziś Kafkę i Orwella" – ogłosiła przy okazji premier Litwy Ingrida Šimonytė, podkreślając, że uznanie niepodległości samozwańczych „republik ludowych" „może wydawać się surrealistyczne dla demokratycznego świata, ale reakcja Zachodu będzie miała znaczenie dla przyszłych pokoleń".

Kolejne wystąpienia Putina i Ławrowa pokazują, że rosyjskie elity czerpią inspirację już nie z przemówień Breżniewa, ale i z Goebbelsa. Przywódca Rosji pozujący nie tylko na głównego historyka Europy Wschodniej, lecz także na największego gołąbka pokoju, którego jedynym celem jest obrona Rosjan przed „ludobójstwem" sterowanym przez „sterowaną z Zachodu juntę"… To nie może napawać optymizmem.

Podobnie jak Adolf Hitler w 1939 r. również Władimir Putin w roku 2022 nie poszedł na wielką wojnę bez sojuszników. Jawnie rosyjskiego dyktatora popierają nie tylko Białoruś oraz Chiny, lecz także Serbia, Kuba, Nikaragua czy Wenezuela. Jak zauważył dziennik „The Wall Street Journal", „zuchwały zbrojny atak Rosji na Ukrainę jest pierwszym poważnym starciem wyznaczającym nowy porządek w polityce międzynarodowej, w którym trzy główne mocarstwa przepychają się o pozycję w sposób zagrażający prymatowi Ameryki". Jednocześnie mocno zmienił się układ sił. Rosja jest kluczowym dostawcą gazu dla Europy, a Chiny główną „fabryką świata".

Zagorzała dyskusja wobec skali sankcji wśród zachodnich przywódców, a zwłaszcza tego, dlaczego nie należy „zbyt mocno" karać Rosji, pokazuje również jasno, jak dobrze Putin i jego otoczenie przygotowali się do operacji uzależnienia UE, w tym Niemiec i Włoch, od rosyjskiego gazu. A także do korumpowania wielu wpływowych osób na Zachodzie.

WIELKI MAJĄTEK CARA, OGROMNE REZERWY ROSJI

Rosyjski przywódca przygotował też kraj na wypadek sankcji, gromadząc ogromne rezerwy w walutach obcych i w złocie (warte ok. 640 mld dol.), zmierzając do samowystarczalności w produkcji żywności oraz przyjmując budżet, który przewiduje aż 18 mld dol. nadwyżki.

A ile zarabia sam Putin? Oficjalnie 5,8 mln rubli, czyli 290,5 tys. zł rocznie. Prezydent Rosji ma też wpisaną do zeznania majątkowego działkę budowlaną, 77-metrowe mieszkanie w Moskwie, garaż i dwa samochody: jeden marki GAZ, a drugi Łada Niva. Nieoficjalnie to najbogatszy człowiek na świecie lub przynajmniej jeden z najbogatszych ludzi świata. Z szacunków opozycjonistów, organizacji pozarządowych oraz zachodnich informatorów wynika, że prawdziwy majątek obejmuje również kilka luksusowych jachtów, 58 samochodów (nie tylko rosyjskiej produkcji), ponad 40 samolotów, kilkanaście śmigłowców oraz nieruchomości i gotówkę zgromadzoną w bankach szwajcarskich, a także w krajach, w których nikt nie zadaje pytań o pochodzenie pieniędzy. W sumie majątek Putina szacuje się na od 60 do 200 mld dol.

Czy rosyjski dyktator oraz jego najbliżsi współpracownicy w wyniku sankcji utracą rezydencje, jachty i możliwość kształcenia dzieci na najlepszych zachodnich uczelniach? Czy zachodni policjanci zarekwirują im drogocenne dzieła sztuki i luksusowe limuzyny? Czy język rosyjski zniknie z luksusowych kurortów we Włoszech, Francji? Takie zachowanie doradzał Zachodowi jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie Aleksiej Nawalny, rosyjski opozycjonista uznawany za wroga Putina numer jeden, który siedząc w kolonii karnej po próbie zlikwidowania go przez ludzi Putina, jasno potępił inwazję na ukraińskie terytorium. Czy Zachód w porę tych rad posłucha? Czy sięgnie po środki siłowe, które mogą odstraszyć pazernego niedźwiedzia i przywrócić pokój w Europie? Od tego może zależeć los nie tylko Ukrainy, Polski czy krajów bałtyckich, lecz także całego zachodniego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Władimir Oswoboditiel, czyli historiozofia agresji

Piotr Semka

Odejście od uniwersalnej postępowej retoryki, której używał Związek Sowiecki na rzecz mitologii słowiańszczyzny i prawosławia, ogranicza skalę skuteczności propagandy Putina. Nie znaczy to jednak, że jego ideologia jest mniej niebezpieczna

Fragment mapy Ukrainy z herbem Korony Polskiej z połowy XVII w. Niżej podpis: „Był rok 1648. Do narodzin Putina zostało jeszcze 300 i 4 lata. Nikt jeszcze nie wiedział, że Ukrainę stworzyła Rosja na czele z Leninem".

Ten dowcipny mem, który zrobił karierę w ukraińskim Internecie, nawiązywał do długaśnego orędzia Władimira Putina z 21 lutego. Prezydent Federacji Rosyjskiej ogłosił w nim uznanie samozwańczych republik Ługańskiej i Donieckiej przez Rosję i wysłanie tam z Rosji oddziałów wojskowych. Przez ostatnie lata wywodami historycznymi gospodarza Kremla interesowali się głównie specjaliści od rosyjskiej polityki historycznej. Teraz jednak okazuje się ona niezbędna do zrozumienia bezpośrednich działań rosyjskiej machiny państwowo-wojskowej.

SKĄD SIĘ WZIĘŁA UKRAINA?

W swym orędziu Putin ogłosił, że „Ukraina nie jest dla Rosji tylko krajem sąsiednim". Jak stwierdził: „Jest integralną częścią naszej własnej historii, kultury, przestrzeni duchowej". Putin postawił tezę, że mieszkańcy „południowo-zachodnich historycznych ziem staroruskich nazywali siebie Rosjanami i prawosławnymi. Tak było do XVII wieku i część tych terytoriów została ponownie zjednoczona z państwem rosyjskim".

Putin postawił tezę, że współczesna Ukraina została całkowicie stworzona przez Rosję, a dokładniej przez bolsze-

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. KIRILL KUDRYAVTSEV/AFP/EAST NEWS

wicko-komunistyczną Rosję. Mogło to zaskoczyć niektórych obserwatorów. Wychodząc z przesłanek wielkoruskich, Putin ostro zaatakował Lenina, chociaż wcześniej starał się unikać ataków na przywódcę bolszewików. Potrzebne było to Putinowi do dość przewrotnej tezy, że skoro współczesna Ukraina jest sowieckim tworem i jeżeli stawia się na Ukrainie postulat dekomunizacji, to sama Ukraina powinna zniknąć. W tym samym przemówieniu Putin postawił tezę, że obecnie istniejąca Ukraina rządzona jest przez szowinistyczną ekipę, która agresywnym nacjonalizmem stara się zamaskować fakt, że ich kraj nigdy nie miał stabilnej tradycji własnej prawdziwej państwowości. A od 1991 r. Ukraina „przeszła drogę mechanicznego kopiowania cudzych modeli, odciętych zarówno od historii, jak i ukraińskich realiów".

Polakom nie trzeba tłumaczyć, jakie mogą być konsekwencje takiej ideologii. W końcu XVIII w. caryca Katarzyna II prowadziła kampanię propagandową mającą przekonać, że Rzeczpospolita Polska jest państwem upadłym, które ciemięży ludność prawosławną. Teza o sztucznej proweniencji państwa od wieków służyła Moskwie do propagandowego przygotowania pod zabór sąsiadów.

Spróbujmy dokonać syntezy wielu historiozoficznych wystąpień Władimira Putina z ostatnich 10 lat. Najbardziej wyczerpującym w tej mierze dokumentem jest jego manifest o historycznej jedności Rosjan i Ukraińców, który został ogłoszony w lipcu zeszłego roku. Dokument ten jest istotny o tyle, że zgodnie z rozkazem rosyjskiego ministra obrony Siergieja Szojgu został zalecony wszystkim służącym w armii rosyjskiej jako lektura obowiązkowa. Postarajmy się więc przedstawić ideologię putinizmu względem paru podstawowych zagadnień.

STOSUNEK DO DZIEDZICTWA RUSI KIJOWSKIEJ

„Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini są dziedzicami starożytnej Rusi, największego państwa ówczesnej Europy. Na rozległych przestrzeniach od Ładogi, Nowogrodu i Pskowa po Kijów i Czernihów – plemiona słowiańskie i inne jednoczył język, zwany dziś staroruskim, więzy gospodarcze i rządy Rurykowiczów. A po chrzcie Rosji także jedna, prawosławna wiara". Od tego historycznego wyznania wiary zaczyna się manifest Putina z lipca 2021 r. Nawiązuje on do poglądów z epoki carskiej, kiedy to władze rosyjskie starały się wyrugować samo określenie „Ukraina". Zamiast tego lansowano termin „Małorosja", który istotnie występował w XIV w., ale wyłącznie dla rozróżnienia prawosławnych struktur kościelnych na terenie Rusi Czerwonej i terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego, w odróżnieniu od porządku Cerkwi na terenie rozmaitych księstw rosyjskich znajdujących się pod władzą Tatarów, a potem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Nie jest przypadkiem, że Putin jak ognia unika definiowania tego, co działo się z ziemiami ukraińskimi w epoce, gdy wchodziły one w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a w pewnym małym procencie (Zakarpacie) do Królestwa Węgier. W teoriach Putina tamten model tożsamości prawosławnej nie może być uznawany za równoprawny z moskiewskim, gdyż stanowi jedynie niewolę „ludu ruskiego". Dalszą konsekwencją tego sposobu myślenia jest sugerowanie naturalnego porządku historycznego polegającego na dążeniu Białorusinów i „Małorosjan" do połączenia z państwem moskiewskim. Towarzyszy temu też przekonanie, że Wielkie Księstwo Kijowskie znalazło swoją kontynuację, ale i udoskonalenie we władzy carów w Moskwie.

Ukraińcy odrzucają ten determinizm. Były prezydent Rosji Petro Poroszenko z ironią ripostował: „My nie aspirujemy do władzy nad Moskwą, choć miasto to założył wielki książę kijowski". Rosjanie nie mogą zrozumieć, jak Ukraińcy mogą rozdzielać Wielkie Księstwo Kijowskie z wieków od X do XII od Moskwy. Dla wzmocnienia wrażenia rzekomo naturalnej jedności Ukraińców i Rosjan propaganda Putinowska podkreśla, że język ukraiński i rosyjski to „mowa bratnia, choć osobna". Z tego powodu lekceważone są wszelkie badania lingwistyczne, które wskazują choćby, że język ukraiński zawiera o wiele więcej bliskich sobie słów z polszczyzną niż z językiem Puszkina i Dostojewskiego. W tym wypadku propaganda Putina niewygodne fakty po prostu przemilcza.

KTO JEST WROGIEM „LUDU RUSKIEGO"?

Jak w każdej solidnej legendzie założycielskiej Putin do swojej narracji potrzebuje też motywu odwiecznego wroga. W tej roli obsadzeni są od wieków Polacy i Litwini. Jak pisze w swoim manifeście Putin: „W XIV w. rządząca elita Litwy przyjęła katolicyzm. W XVI w. zawarto unię lubelską z Królestwem Polskim – powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów (de facto polskiego i litewskiego). Polska katolicka szlachta otrzymała na terenie Rusi znaczne posiadłości ziemskie i przywileje. Na mocy unii brzeskiej w 1596 r. część zachodnioruskiego prawosławnego duchowieństwa przeszła pod władzę rzymskiego papieża. Następowała polonizacja i romanizacja, słabło prawosławie".

Putin starannie przemilcza, że polska szlachta przyłączyła do swych herbów setki rodzin ruskich, które bardzo długo zachowywały prawosławie. Woli od razu skierować się ku postaci Bohdana Chmielnickiego, który też występuje w jego narracji jako mąż opatrznościowy, którego głównym zadaniem było przywrócenie mieszkańców Ukrainy pod władzę carów, a pod względem religijnym

eprasa.pl 4e28c29d7b

– patriarchatu moskiewskiego. Putin zachwala decyzje o połączeniu z Rosją, podkreślając, że „posłowie Chmielnickiego i Moskwy odwiedzili kilkadziesiąt miast, w tym Kijów, którego mieszkańcy zaprzysięgli się rosyjskiemu carowi", i zjadliwie dodaje: „Nawiasem mówiąc, nie było takich konsultacji przy zawieraniu unii lubelskiej".

Po raz kolejny Polacy jako obce demony próbujące mieszać w głowach mieszkańców Ukrainy pojawiają się w Putinowskiej wersji historii w 1863 r. Jak pisze gospodarz Kremla: „Obiektywne fakty dowodzą, że w cesarstwie rosyjskim rozwijała się dynamicznie białoruska tożsamość kulturowa w ramach szerokiego etnosu rosyjskiego, który złączy Wielkorusów, Małorusów i Białorusinów. I jednocześnie wśród polskiej elity i części małoruskiej inteligencji powstawało i utrwalało się wyobrażenie odrębnego od rosyjskiego, ukraińskiego narodu. Nie miało to i nie mogło mieć żadnych podstaw historycznych, wnioski budowano więc na różnych fikcjach. Nawet takich, że Ukraińcy rzekomo nie są w ogóle Słowianami albo wprost przeciwnie – są Słowianami prawdziwymi w odróżnieniu od Rosjan, czyli »Moskali«. Takie hipotezy wykorzystywano coraz częściej do celów politycznych jako instrument rywalizacji między krajami Europy. Od końca XIX w. władze Austro-Węgier podchwyciły ten temat jako przeciwwagę zarówno dla polskiego ruchu narodowego, jak i dla promoskiewskich nastrojów w Galicji".

Warto przyjrzeć się ostatnim paru zdaniom tego wywodu. Putin najpierw sugeruje, że Ukraińcy to wynalazek polski, a potem bez mrugnięcia okiem dowodzi, że idee narodu ukraińskiego podchwycili Austriacy jako oręż przeciwko Polakom. Każdy, kto zna historię Galicji w XIX w., wie, jak wielu polskich publicystów zżymało się na tezy o istnieniu narodu ukraińskiego, głosząc, że żadnych Ukraińców nie ma, a są jedynie Rusini, którzy są elementem szeroko rozumianego etnosu Lwowszczyzny, wyposażonego w naturalny instynkt lojalności wobec państwa polskiego.

Ważnym elementem narracji rosyjskich szowinistów jest wskazywanie na diaboliczną rolę Kościoła katolickiego, który miał dążyć do unii z Rzymem i „uwiódł" w tym celu część prawosławnych Ukraińców. Ta czarna legenda podstępnych jezuitów znów lekceważy to, że Unia przyciągała do siebie wielu byłych kapłanów prawosławnych, gdyż zawierała wiele atrakcyjnych elementów, szczególnie dla niższego duchowieństwa ortodoksyjnego.

Tyrada Putina z 21 lutego przypominała niekiedy historiozoficzne rojenia Adolfa Hitlera zawarte na kartach „Mein Kampf"

Ten wątek pojawił się zresztą ponownie w ostatnich latach, gdy prawosławni Ukraińcy, mający dosyć używania przez Putina Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego do realizowania prorosyjskiej polityki Kremla, zechcieli założyć autokefaliczną Cerkiew Prawosławnej Ukrainy. Mimo że w tym procesie decyzje o autokefalii ukraińskich prawosławnych podjął patriarcha w Konstantynopolu, propaganda Putinowska dalej przedstawiała to jako wynik spisku państw zachodnich.

UKRAINA JAKO PAŃSTWO PARIAS?

Putin bardzo wyraźnie definiuje, że Ukraina jest państwem, które nie może być przez Rosję tolerowane. Cały okres istnienia niepodległej Ukrainy po 1991 r. przedstawia jako sztuczne kreowanie państwa niezdolnego do samodzielnego bytu. Koronnym dowodem ma być rozwój wydarzeń z 2014 r. „Konsekwencją agresywnej polityki NATO była ukraińska tragedia z 2014 r." – pisał w czerwcu 2021 r. w tekście dla niemieckiego pisma »Die Zeit«. – Europa aktywnie wspierała zbrojny, sprzeczny z konstytucją zamach stanu na Ukrainie. […] Urzędujący wówczas prezydent Wiktor Janukowycz zaakceptował już wszystkie żądania opozycji. Dlaczego zorganizowano ten zamach stanu na Ukrainie? W myśl tej logiki historycznym zadaniem Rosji jest więc opieka nad całością mieszkańców obecnej Ukrainy jako grupy ludności słowiańskiej i prawosławnej poddanej eksperymentowi tworzenia państwa sztucznego. W myśl optyki Moskwy Ukraina nie jest krajem demokratycznym i jako taka nie ma prawa powoływać się na zasady demokracji".

Twórczym rozwinięciem tych tez Putina była niedawna deklaracja szefa rosyjskiej dyplomacji Siergieja Ławrowa o tym, że Ukraina nie ma prawa do żądania suwerenności. Jak ogłosił Ławrow: „O suwerenności można mówić tylko w odniesieniu do państw, które reprezentują całą swoją populację". Ławrow kontynuuje, że spora część mieszkańców Ukrainy pod rządami despotycznego reżimu w Kijowie nie jest w stanie zrealizować swojej woli pozostania przy Rosji. W tym aspekcie retoryka Ławrowa przypomina propagandę sowiecką z okresu międzywojennego, kiedy to bez żadnego skrępowania twierdzono, że masy pracujące Finlandii, państw bałtyckich, Polski czy tzw. zachodniej Białorusi i Ukrainy marzą o przyłączeniu do ZSRS i staje temu na przeszkodzie jedynie „biały" terror.

ZADANIE ŻYCIA

Uzasadnianie przez przywódcę silnego państwa swojej polityki zagranicznej długim wywodem historycznym należy w dzisiejszych czasach do rzadkości. Wywodem, w którym lekceważone są wszelkie zasady prawa międzynarodowego i umów podpisywanych przez Rosję, a wcześniej przez ZSRS. Wszystko w imię mistycyzmu etnicznego sięgającego IX i XVIII w. Czy Putin uznaje to za swe zadanie życia? Pod tym względem tyrada Putina z 21 lutego przypominała niekiedy historiozoficzne rojenia Adolfa Hitlera zawarte na kartach „Mein Kampf". Potęga militarna Rosji i jej paraliżująca Zachód taktyka igrania z wojennym ogniem zamieniają cały ten spektakl w autentyczne zagrożenie bezpieczeństwa naszego regionu. Jak to już nieraz bywało, zachodniego widza zdumiewa łatwość rosyjskich władz do posługiwania się oczywistymi kłamstwami.

Odejście od uniwersalnej postępowej retoryki, której używał Związek Sowiecki na rzecz mitologii słowiańszczyzny i prawosławia, ogranicza skalę skuteczności takiej propagandy. O ile w epoce Lenina czy Stalina hasła walki mas czy emancypacji robotników łatwo zrozumieć mogli intelektualiści z Rzymu, Paryża czy Meksyku, o tyle ideologie „ruskiego mira" mogą akceptować jedynie rusofile w Mińsku czy w Doniecku. Ale jest ona mało atrakcyjna dla Kazachów, Azerów czy Kirgizów. Gospodarz Kremla bawi się zapałkami. Co będzie, gdy hasła stworzenia wspólnego etnicznego imperium turańskiego podchwycą za jakiś czas Tatarzy z rosyjskiego Kazania? A Czeczeni, dziś egzystujący w Federacji Rosyjskiej, rzucą za jakiś czas idee wspólnego państwa kaukaskich muzułmanów?

Pod tym względem, dziękować Bogu, ideologia putinizmu jest mimo wszystko mniej nośna niż komunizm. Co nie znaczy, że jest mniej niebezpieczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Zmieniamy oblicze chorób genetycznych

Novartis zmienia kształt medycyny, aby poprawić jakość życia ludzi z rzadkimi chorobami genetycznymi.

Wykorzystując najnowocześniejsze technologie, pracujemy nad przekształceniem obiecujących terapii genowych w sprawdzone metody leczenia.

NOVARTIS | Reimagining Medicine

PL2202177916

eprasa.pl 4e28c29d7b

JACEK PRZYBYLSKI: Rosyjski prezydent Władimir Putin brutalnie pokazuje światu, że jest wyjątkowo zdeterminowany, aby odbudować rosyjskie imperium. W tym roku przypada 100. rocznica powstania Związku Sowieckiego. Po atakach na Gruzję w 2008 r. oraz na Ukrainę w 2014 r., a także po rozpoczętej właśnie rosyjskiej agresji na Kijów oraz inne miasta na terenie całej Ukrainy obywatele Polski i krajów bałtyckich obawiają się, że mogą być następni w rosyjskim menu. Jak duże jest ryzyko ewentualnego ataku Rosji na kraje członkowskie NATO? Czy Polacy mogą czuć się bezpiecznie?

JULIANNE SMITH: Polacy mogą się czuć bezpiecznie. Polska jest silnym partnerem w sojuszu północnoatlantyckim. NATO już podjęło kroki zmierzające do wzmocnienia wschodniej flanki.

Prezydent Putin z premedytacją wybrał wojnę, która przyniesie katastrofalną liczbę zabitych oraz cierpienie ludności. Jedynie Rosja jest odpowiedzialna za śmierć i zniszczenie, jakie przyniesie ten atak, a Stany Zjednoczone oraz nasi sojusznicy i partnerzy zareagują w zjednoczony i zdecydowany sposób.

Obecnie rozważamy, czy powinniśmy wysłać do Polski jeszcze jakieś dodatkowe wsparcie.

Ważne jest także to, że Polska również dysponuje bardzo dobrą własną armią. Rocznie wydaje ponad 2 proc. PKB na obronność i – jak niedawno ogłoszono – zakupi w Stanach Zjednoczonych dodatkowe nowoczesne czołgi. Jestem więc pewna, że Polska we współpracy z sojusznikami NATO będzie nadal bezpieczna. W NATO pracujemy nad tym każdego dnia.

Dobrze to słyszeć. Podobnie jak zapewnienie prezydenta Joe Bidena, który ostrzega Rosję, że będzie bronić „każdego centymetra terytorium NATO". Coraz bliżej granic sojuszu znajduje się już jednak ponad 190 tys. gotowych do dalszej walki rosyjskich żołnierzy. Jak Stany Zjednoczone i ich sojusznicy mogą wzmocnić wschodnią flankę NATO? Co powinna zrobić Polska, aby wzmocnić swoją obronę?

Obserwujemy, że wielu sojuszników z NATO zaczęło przerzucać swoje oddziały, aby wzmocnić wschodnią flankę. Chciałabym podkreślić, że nie są to tylko amerykańskie wojska.

Swoje oddziały wysłały również Holandia, Dania, Hiszpania, a także nasi

FOT. STEPHANIE LECOCQ/EPA/PAP

eprasa.pl 4e28c29d7b

przyjaciele z Wielkiej Brytanii. My zaś przerzuciliśmy już dodatkowe oddziały nie tylko do Polski, lecz także do Rumunii. Dodatkowo 8,5 tys. amerykańskich żołnierzy postawionych jest w stan gotowości, aby w razie potrzeby można było ich jak najszybciej rozmieścić w Europie.

Polska jest wspaniałym sojusznikiem, zwłaszcza wobec Ukrainy. Wiem, że udzielała ukraińskim władzom wsparcia w kwestii bezpieczeństwa, podobnie jak Stany Zjednoczone i inni NATO-wscy sojusznicy.

przebywające na Białorusi stacjonowały tam na stałe. Musimy więc poczekać i obserwować, jaką drogę wybierze prezydent Putin. Trudno to odgadnąć, a nie chciałabym mówić o hipotetycznych scenariuszach. Jak zauważył prezydent Joe Biden, nasze zobowiązania wynikające z artykułu 5 do ochrony każdego centymetra terytorium NATO mają żelazne fundamenty. Nie będziemy w żadnym stopniu próbowali unikać tych zobowiązań. I zrobimy wszystko, aby nie tylko państwa położone na wschodniej flance, lecz także

Po 1989 r. przemieścili je poza granice Polski, do obwodu kaliningradzkiego, i teraz są wymierzone zarówno w Polaków, jak i w innych sojuszników z NATO. Niektórzy amerykańscy politycy przekonują, że część przechowywanego w Europie amerykańskiego arsenału nuklearnego mogłaby trafić do Polski. Co pani o tym sądzi?

Obecnie skupiamy się na dodatkowych jednostkach, które wysłaliśmy do Polski. Do polskich baz trafiło niedawno dodatkowo 3 tys. amerykańskich żołnierzy. A przed nimi 1,7 tys. naszych wojskowych.

Z Julianne Smith, ambasador USA przy NATO
rozmawia Jacek Przybylski

Polacy mogą czuć się bezpiecznie

Nieustannie oceniamy więc zmieniającą się sytuację w sferze bezpieczeństwa w Europie. I chociaż nie wiemy, dokąd ostatecznie zostaną skierowani rosyjscy żołnierze, to jestem przekonana, że jesteśmy gotowi na każdy możliwy scenariusz.

Jak duże jest ryzyko, że Rosja zaatakuje któreś z państw członkowskich sojuszu północnoatlantyckiego, np. kraje bałtyckie lub Polskę?

Obecnie skupiamy się na scenariuszu pogłębienia rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Bierzemy jednak pod uwagę to, że Rosja miała na Białorusi ok. 30 tys. żołnierzy, z których część wyruszyła na południe, wkraczając na terytorium Ukrainy.

Nie mamy wiedzy na temat tego, czy Rosja będzie chciała, aby oddziały

wszyscy członkowie sojuszu czuli się bezpiecznie.

Czy po inwazji rosyjskiej armii na Ukrainę Stany Zjednoczone zamierzają wysłać do Polski kolejnych żołnierzy?

Trudno powiedzieć, jaki będzie następny krok Putina. Rosja realizuje kolejne działania ze swojego podręcznika wojny hybrydowej, więc często organizuje kampanie dezinformacyjne lub przeprowadza cyberataki i w niektórych przypadkach prowadzi tradycyjne działania zbrojne.

Przyglądamy się sytuacji i robimy wszystko, by mieć pewność, że NATO jest w stanie na bieżąco reagować na nowe zagrożenia.

Podczas zimnej wojny Sowieci trzymali w Polsce nielegalnie bomby atomowe.

Mówimy o jednostkach zdolnych do przeprowadzania różnych misji, zarówno wsparcia sojuszników, jak i odstraszania wroga czy prowadzenia misji szkoleniowych.

Pełnią wielorakie zadania, pozostaną więc tam w dającej się przewidzieć przyszłości; będziemy oceniać sytuację na bieżąco w zależności od tego, jak odpowie Rosja.

A czy Stany Zjednoczone w ogóle rozważają scenariusz przemieszczenia głowic nuklearnych na terytorium Polski?

Nie chciałabym rozmawiać o hipotetycznych scenariuszach dotyczących przyszłości. Obecnie skupiamy się na tym, co się dzieje teraz i jak NATO oraz Stany Zjednoczone wspólnie odpowiadają na to, co robi Rosja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Witold Repetowicz

Putin ma już miejsce w piekle

Od tego, jak bardzo zacięty będzie ukraiński opór wobec rosyjskiej agresji, zależeć będzie nie tylko los tego kraju, lecz także bezpieczeństwo flanki wschodniej NATO, w tym Polski. Jeśli Putin nie zrealizuje swojego planu złamania morale Ukraińców i osiągnięcia błyskawicznego zwycięstwa, to mimo militarnej wygranej poniesie strategiczną klęskę

FOT. ARIS MESSINIS/AFP/EAST NEWS

Ukraiński ambasador przy ONZ w dramatycznym przemówieniu tuż po rozpoczęciu wojny przez Władimira Putina stwierdził, że dla zbrodniarzy wojennych nie ma czyśćca, idą prosto do piekła. I to zapewne czeka Putina, który otworzył właśnie najgorszy rozdział w historii naszego kontynentu od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Jego działania, jak również dwa kuriozalne przemówienia, budzą wątpliwości co do jego psychicznej stabilności. Putin chce przejść do historii jako odnowiciel wielkości Rosji w granicach byłego ZSRS i dotąd osiągał w tym zakresie znaczące sukcesy.

Ta wojna może go jednak pociągnąć na dno, tak jak to miało miejsce z Hitlerem w 1945 r. Putin najprawdopodobniej zakładał, że Zachód ustąpi pod wpływem jego gróźb i uzna Ukrainę za strefę wpływów Rosji. Zupełnie przeciwna reakcja USA, które w odpowiedzi zaczęły wzmacniać wschodnią flankę, wyprowadziła rosyjskiego prezydenta z równowagi. Zdecydował się więc na desperacki krok, który może go drogo kosztować. Oczywiście nie oznacza to, że należało ustąpić Putinowi, bo byłaby to tylko powtórka z Monachium 1938 r., które wszak nie powstrzymało wojny. Dla nas wartością samą w sobie jest to, że Zachód się obudził, nim wojna przekroczyła granice Polski.

Widać już, że celem Putina jest zajęcie i okupacja całej Ukrainy lub przynajmniej wkroczenie do Kijowa, obalenie ukraińskich władz i zainstalowanie marionetkowego, prorosyjskiego reżimu. Wprawdzie on sam zadeklarował, że Rosja nie zamierza okupować Ukrainy, a inwazję nazwał „specjalną operacją militarną w Donbasie", ale wiarygodność jego deklaracji jest zerowa, zwłaszcza że jednocześnie nazwał władze w Kijowie „juntą", a celem „operacji" ma być według jego własnych słów „demilitaryzacja i denazyfikacja Ukrainy".

SKUTKI BĘDĄ KATASTROFALNE

Ukraińcy nie posłuchali żądania Putina by złożyli broń i skapitulowali. Podjęli nierówną walkę i od skuteczności obrony zależy ich przyszłość. Ale już widać, że skutki tej wojny będą katastrofalne. Większość Europejczyków, w tym Polaków, ma mgliste pojęcie na temat tego, czym realnie jest wojna. Wynika to z tego, że w naszym bezpośrednim sąsiedztwie nie było jej od zakończenia drugiej wojny światowej. Polscy żołnierze uczestniczyli wprawdzie w wojnach w Iraku czy Afganistanie, ale te konflikty, mimo wszystko, w bardzo ograniczonym stopniu przebiły się do świadomości opinii publicznej, a ich

eprasa.pl 4e28c29d7b

percepcja w większym stopniu oparta jest na stereotypach niż na faktach.

Nie bez znaczenia jest jednak również to, że konflikty zbrojne (i to na pełną skalę) toczyły się w tamtej części świata również wcześniej (choćby wojna iracko-irańska czy interwencja ZSRS w Afganistanie), więc regiony te pogrążone są w kulturze militarnej przemocy. Wiele krwawych konfliktów toczących się na świecie przykuwa co najwyżej incydentalną uwagę naszej opinii publicznej. Dlatego wielu jako punkt odniesienia dla konsekwencji takiej inwazji traktowało dotychczasowy konflikt w Donbasie i zajęcie Krymu. I wskazywało na niemrawą reakcję Zachodu. Tyle że to całkowite nieporozumienie, a uparte podważanie wiarygodności sojuszników to nie przejaw realizmu, lecz wpisywanie się w narracyjne cele Moskwy, której zależy na rozbiciu sojuszu. Zachód, a zwłaszcza Niemcy popełnili oczywiście całą masę błędów i zgrzeszyli naiwnością, ale teraz, wobec agresji Putina, konieczna jest jedność i solidarność, a nie pogłębianie podziałów i nieufności.

Brak właściwego punktu odniesienia prowadzi do lekceważenia humanitarnego kosztu rozpoczynającej się wojny. Takim punktem nie jest bowiem również wojna w byłej Jugosławii, w której zginęło ok. 150 tys. osób. Działo się to bowiem na przestrzeni niemal całej dekady, co najmniej w pierwszej fazie konflikt ten nie był oparty na starciu dwóch regularnych armii, a poza tym inne były też wówczas uwarunkowania medialne. Zajęcie Krymu nastąpiło natomiast wyłącznie przy zastosowaniu działań asymetrycznych i w rezultacie bez rozlewu krwi.

Z kolei w Donbasie przez osiem lat zginęło niewiele więcej osób niż w 44-dniowej wojnie armeńsko-azerbejdżańskiej stoczonej w końcu 2020 r. Słowa o spalonych miastach, milionach uchodźców i dziesiątkach, o ile nie setkach tysięcy zabitych mogą nie robić wrażenia dopóty, dopóki są abstrakcją. Zupełnie inna będzie jednak reakcja, gdy się zmaterializują, a zszokowaną Europę obiegną obrazy płonącego Charkowa, zbombardowanego Kijowa i usłanej trupami Odessy. Tego nikt w Europie nie widział od drugiej wojny światowej. Czy teraz tak się stanie? Wiele na to wskazuje. Alternatywą jest kapitulacja Kijowa, która dla Polski jest scenariuszem znacznie gorszym, gdyż stracilibyśmy bufor, a apetyt oszalałego niedźwiedzia tylko by wzrósł. Nie poniósłby on też strat, które osłabiłyby jego zdolność do kolejnych inwazji. A trzeba zakładać, że mogą one nastąpić.

MOŻLIWY ROZPAD ROSJI

Ukraińcy są znacznie słabsi od Rosjan, ale to jednak nie rok 2014. Dlatego Putin próbuje zniszczyć morale ukraińskich żołnierzy, wzywając ich do złożenia broni i w sposób absurdalny sugerując, że w przypadku obrony odpowiedzialność za ofiary i zniszczenia spadnie na Ukrainę. To absurdalna konstrukcja, ale wskazuje, że Putin liczy na to, że inwazja ta będzie przypominać interwencję sowiecką na Węgrzech w 1956 r. Znacznie bardziej prawdopodobne są jednak zacięte walki i aktywność partyzancka na zajętych terenach.

Nawet jeśli Rosja zdobędzie Kijów to ulokowanego tam reżimu nikt nie uzna, a za to Moskwa będzie musiała władować gigantyczne środki w odbudowę rozległego, wrogiego sobie kraju. Środki, których nawet teraz nie ma, a tym bardziej mieć nie będzie. Sankcje nie powstrzymają ofensywy Putina na Ukrainie, ale nie o to w nich chodzi. To początek gospodarczej wojny z Rosją, w której musimy osłabić potencjał gospodarczy wroga tak, by nie był zdolny do kolejnych inwazji, w tym na Polskę, a także w szerszym znaczeniu kontynuowania swojej agresywnej polityki. Muszą też zmusić zwykłych Rosjan, by zadali sobie pytanie: „Czy warto?", a następnie wzięli sprawy w swoje ręce. Dlatego tak ważne jest dla nas, by Ukraina broniła się jak najdłużej, jak najskuteczniej i zadawała Rosji jak najbardziej dotkliwe straty. Trzeba więc wysyłać do Kijowa jak największe transporty broni. Żadne układy z Putinem nie mają sensu, chyba że się wycofa z Ukrainy.

Rosja może nie przetrwać okupacji Ukrainy i taki „sukces militarny" może doprowadzić do implozji i w rezultacie rozpadu tego kraju, zwłaszcza jeśli dodamy nieuchronne problemy ekonomiczne. Jeżeli jednak Ukraina stawi naprawdę silny opór i wojna będzie trwać miesiącami, a do Rosji wracać będą tysiące trumien, to może się to skończyć dla Putina „zawałem serca". Przewroty w Moskwie nigdy nie były ewenementem.

Bez względu na to, jaki będzie ostateczny rezultat tej wojny, to humanitarne konsekwencje będą i tak na tyle gigantyczne, by zamknąć usta wszystkim sceptykom twardej polityki wobec Rosji.

Jeśli Ukraina przetrwa, to choć osłabiona i zniszczona, na trwałe zwróci się ku Zachodowi, a nienawiść do Rosji pozostanie na pokolenia. O ile dotychczas Rosja wciąż utrzymała wpływy na Ukrainie i mogła mieć nadzieję na ich odbudowywanie, o tyle teraz je straci. W takiej sytuacji Ukraina może nawet zostać przyjęta do NATO, co dotąd było wykluczone. Nowa sytuacja rządzi się już bowiem logiką konfrontacji, gdzie jakiekolwiek ograniczania nie mają sensu. Zmiana percepcji przywódców europejskich (i nie tylko) jest zresztą wyraźna od pierwszych chwil agresji. Putin może oczywiście straszyć jeszcze arsenałem nuklearnym, ale bądźmy poważni, nawet Kim Dzong Un ma instynkt samozachowawczy. Nawet jeśli on sam oszalał, to ktoś go powstrzyma i zanim naciśnie guzik, zostanie zamordowany.

W ramach reakcji na działania Rosji trzeba skoncentrować się na trzech elementach. Po pierwsze, wspierać zdolność Ukrainy do obrony przed rosyjską agresją dostawami jak największych ilości niezbędnej broni. Ukraińcy broniąc siebie, bronią również nas. Jeśli Rosja nie zdoła opanować Kijowa, to trzeba udzielić Ukrainie wsparcia ekonomicznego, by stanęła na nogi po tym ataku; jeśli natomiast Rosja wkroczy do ukraińskiej stolicy, to zainstalowany tam reżim nie może uzyskać uznania międzynarodowego. Największą tragedią, zarówno dla narodu ukraińskiego, jak i dla wolnego świata, byłaby kapitulacja Ukrainy. Po drugie, trzeba dalej wzmacniać flankę wschodnią i to zarówno rozwijając własne zdolności obronne, jak i zwiększając sojuszniczą obecność. To już się dzieje i wszystko wskazuje na to, że dojdzie do jeszcze większego wzmocnienia. Ale doktryna powstrzymywania Rosji powinna obejmować wszystkie teatry działań, w tym afrykański. Trzeba zrozumieć, że to też nasza sprawa, bo Rosja zyskuje w ten sposób dostęp do surowców i możliwość szachowania Europy od południa. Trzeci aspekt to sankcje obliczone na obniżenie potencjału gospodarczego Rosji. Polska musi się też przygotować na eskalację ataków hybrydowych, w tym demograficznych, oraz napływ uchodźców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Steffi Lemke, niemiecka minister ds. środowiska, ochrony przyrody, bezpieczeństwa jądrowego i ochrony konsumentów, przyleciała do Polski z ultimatum FOT. MINISTERSTWO KLIMATU I ŚRODOWISKA

Od Zachodu – bez zmian

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli miał ktoś nadzieję, że agresja Putina na Ukrainę zmieni politykę wschodnią Niemiec i ostudzi zapał eurokratów do „zagłodzenia" Polski i zmuszenia jej do wyrzeczenia się suwerenności – to nawet otwarta już wojna na razie tej nadziei nie potwierdziła

Cała uwaga mediów, elit politycznych i opinii publicznej skupiła się na Wschodzie. Mało kto zauważył więc i odnotował, że dosłownie w przededniu wojny wizytę w Polsce złożyła Steffi Lemke, niemiecka minister ds. środowiska, ochrony przyrody, bezpieczeństwa jądrowego i ochrony konsumentów. Tymczasem pani minister przyjechała tu z ultimatum. Polska ma zapomnieć o planach budowy elektrowni atomowych. Niemcy uważają to za „stwarzanie zagrożenia" dla ich obywateli i jeśli od tych planów nie odstąpimy, to dla pani minister jest „oczywistością" przeciwstawienie się temu „z użyciem instrumentów prawnych".

Co to w praktyce może oznaczać – pokazano nam już skwapliwością, z jaką sędzia Lapuerta nakazała jednoosobowo w ramach zabezpieczenia (a nie wyroku) zamknięcie z dnia na dzień elektrowni Turów, a następnie nałożyła na Polskę karę finansową (choć TSUE ma prawo je nakładać tylko za niewykonywanie wyroków, a nie zabezpieczeń), którą to karę Komisja Europejska upiera się od Polski wyegzekwować, mimo że w tzw. międzyczasie spór został zakończony ugodą i Czechy wycofały z TSUE swą skargę.

„GAZ PO DWA TYSIĄCE EURO"

Bezlitosne zapowiedzi pani Lemke, okraszone opiniami, że energia atomowa nie jest ekologiczna, „nie stanowi dobrego zabezpieczenia na przyszłość" i Niemcy nie zgodzą się na włączenie jej do unijnej „taksonomii" ekologicznej energii, padły w tym samym dniu, w którym jej przełożony, Olaf Scholz, złożył długo oczekiwaną obietnicę, że wobec agresji Putina na Ukrainę gazociąg Nord Stream 2 nie zostanie ukończony. Jeszcze dzień wcześniej, w wywiadzie dla „Die Welt", mówił Scholz coś dokładnie przeciwnego: Niemcy Nord Stream 2 ukończą, bo jest on już zbyt zaawansowany, ale zrobią to „ze smutkiem". Nie żartuję sobie, kanclerz Niemiec naprawdę użył tu frazy przypominającej kabaretowy greps z „Ucha Prezesa".

Polska ma zatem, zgodnie z wielokrotnie wcześniej artykułowanym przez Niemców oczekiwaniem, zrezygnować z energetyki i węglowej, i jądrowej, by bazować w całości na „ekologicznym" rosyjskim gazie z Niemiec, dostarczanym przez Nord Stream 2, którego ma nie być.

eprasa.pl 4e28c29d7b

Istnieją tylko dwa możliwe wyjaśnienia takiego stanowiska. Albo kanclerz Scholz przysłał nam do rozmów osobę niepoważną, która trzyma się agendy sprzed tygodni, nie zauważając nie tylko, że zmieniła się sytuacja międzynarodowa, lecz także lekceważąc pogróżki byłego premiera i prezydenta Rosji Miedwiediewa o „gazie po dwa tysiące euro" oraz nie zauważając przełomowej deklaracji jej własnego szefa, albo też zapowiedź wymuszona na kanclerzu Scholzu przez sojuszników jest zwykłym wybiegiem i w istocie Niemcy ani myślą się z niej wywiązać. Przeciwnie, bismarckowska strategia uzależnienia energetycznego Europy, a co najmniej Europy Środkowej – pod pozorem „ratowania klimatu" – od rosyjskiego gazu dystrybuowanego przez Niemcy pozostaje główną wytyczną polityki Berlina na następne lata i cokolwiek zrobi dalej Putin na Ukrainie, nie będzie miało na jej realizowanie wpływu.

ŻADNYCH MARZEŃ, PANOWIE

Dwa dni przed wizytą Steffi Lemke otrzymaliśmy inny sygnał, że perspektywa wojny na Ukrainie nie jest w Unii Europejskiej uważana za powód do przemyślenia polityki „zagładzania" krnąbrnych krajów Europy Środkowej. Był to wywiad unijnego komisarza ds. sprawiedliwości Didiera Reyndersa, udzielony jednocześnie „Rzeczpospolitej" i kilku gazetom zachodnim, a dotyczący niedawnego orzeczenia TSUE w sprawie „mechanizmu warunkowości".

Reynders, jak wszyscy eurokraci, wyraża się niejasno – niemniej przy uważnej lekturze sens jego wypowiedzi jest dla nas bezlitosny. Co prawda, wyrok TSUE wymaga przygotowania „solidnego" wniosku i dlatego – wyraźnie tłumaczy się tu Reynders przed zachodnioeuropejską lewicą, czemu chyba głównie miał ten wywiad służyć – kary na Polskę i Węgry nie zostaną nałożone, jak oczekuje większość Parlamentu Europejskiego, natychmiast, niemniej przygotowanie owych „solidnych" wniosków i ich wdrożenie to sprawa raczej tygodni niż miesięcy. Niedwuznacznie przypomina też Reynders, że wstrzymanie Krajowego Planu Odbudowy to niejedyny szykowany na Polskę bat, bo cały czas trwa procedura art. 7, czyli wniosku o pozbawienie Polski prawa głosu przy podejmowaniu unijnych decyzji.

Szczególnie ciekawa jest opinia Reyndersa o polskiej próbie załagodzenia sporu o „praworządność", czyli prezydenckim projekcie likwidacji Izby Dyscyplinarnej w Sądzie Najwyższym. Pod gładkimi słówkami o radości z tego, że Polska usiłuje wyjść naprzeciw oczekiwaniom Unii, kryje się jasna zapowiedź, że o żadnym kompromisie nie ma mowy: Unia oczekuje bezwarunkowej kapitulacji i niczego mniej. „Żadnych marzeń, panowie" – pobrzmiewają za zasłoną dyplomatycznych eufemizmów historyczne słowa cara Aleksandra II.

Wywiad nie jest zawieszony w próżni. To oczywiście przypadek, że specjalna komisja Parlamentu Europejskiego, mająca „zbadać stan praworządności" (a wedle otwartej, publicznej zapowiedzi jej przewodniczącego „pomóc Polakom zmienić władzę"), przybyła akurat w dniu, który wybrał Putin na dzień wkroczenia swych wojsk na Ukrainę. Ale to przypadek znaczący. Nie jest natomiast chyba przypadkiem narracja lewicowo-liberalnej opozycji, że w obliczu wojny na Ukrainie Polska musi natychmiast „zakończyć spór z Brukselą" – czytaj: skapitulować bezwarunkowo przed jej żądaniami.

Trzeci sygnał to kolejny wyrok TSUE, z 22 lutego, który wprawdzie bezpośrednio nie odnosi się do Polski, lecz do Rumunii, niemniej jest kolejną salwą w wypowiedzianej Polsce przez unijnych „federastów" wojnie. Rumunia należy do tych krajów, gdzie – podobnie jak w Polsce (ale i jak w Niemczech, którym wszelako to w oczach eurokratów uchodzi) – Trybunał Konstytucyjny jasno sformułował zasadę nadrzędności konstytucji nad prawem unijnym, z wyjątkiem tych obszarów, w których państwo scedowało swe konkretne uprawnienia na rzecz wspólnoty w traktatach. TSUE po raz kolejny odrzuca prawo sądów konstytucyjnych krajów członkowskich do uznawania się za państwa suwerenne i przyznając sędziemu krajowemu prawo do orzekania wbrew prawu własnego państwa na podstawie orzecznictwa TSUE, a władzom państwowym zakazując dyscyplinowania takiego sędziego, de facto odrzuca po raz kolejny całą traktatową konstrukcję prawną UE jako wspólnoty suwerennych państw opartej na dobrowolnej zgodzie wspólnego zarządzania pewnymi ściśle określonymi obszarami życia publicznego.

Jakkolwiek odpowiedzą Rumuni na tę uzurpację, w Polsce orzeczenie TSUE wywołało entuzjazm przywódców oraz kibiców sędziowskiego rokoszu i odebrane zostało jako zachęta do tym intensywniejszego „wykonywania orzeczeń TSUE", jak nasza targowica w togach nazywa kwestionowanie prawa do orzekania sędziów rekomendowanych po 2015 r. i ignorowanie orzeczeń Izby Dyscyplinarnej. Ruch, który został zainicjowany pod pozorem obrony praworządności, poczuł się tym i innymi podobnymi orzeczeniami TSUE zachęcony do zupełnego już odrzucania pozorów i deklarowania się jako „sędziowie europejscy", którzy nie służą państwu polskiemu i jego demokratycznie wybranym władzom ani nie muszą przestrzegać lokalnego prawa, bo uważają się za swoistych „kuratorów" postawionych ponad polskimi władzami i prawem przez samozwańczy Sąd Najwyższy Europy, który – jak to niegdyś z rozbrajającą otwartością ogłosiła komisarz Jourová – nie może być oskarżany o przekraczanie swoich kompetencji, bo to on sam swoje kompetencje określa.

W tym samym czasie więc, gdy Putin stwierdził, że uważa obwody doniecki i ługański, zajęte w jednej trzeciej przez rosyjskie bojówki zwane oficjalnie miejscowymi separatystami, za „niezależne państwa" pod protektoratem Kremla, a Ukrainie odmówił w ogóle prawa do samodzielnego bytu państwowego – rząd Niemiec i najwyższe organa wspólnotowe Unii Europejskiej podkreślają na różne sposoby, że Polska nie ma – ich zdaniem – prawa do suwerenności energetycznej ani prawnej. Takie są bowiem logiczne konsekwencje wyszczególnionych wyżej wypowiedzi. Można rzec – nic nowego, ale może czas wreszcie wyrzec się złudzeń, że to wielokrotnie na różne sposoby prezentowane stanowisko jest wynikiem jakiegoś nieporozumienia, względnie – że może się zmienić pod wpływem naszej perswazji albo udowodnionego agresją Putina bankructwa dotychczasowych geopolitycznych wyobrażeń Niemiec i eurokracji. Nic podobnego, determinacja tych ostatnich do budowy federalnego państwa europejskiego, kosztem między innymi Polski, nie jest wcale mniejsza niż determinacja Putina do odbudowania Wielkiej Rosji.

Różnica, na nasze szczęście, leży w skali możliwości. Unia nie jest w stanie odpowiedzieć na wezwania polskich separatystów tak jak na wezwania ukraińskich Rosja – przysłaniem wielotysięcznej armii. Może tylko straszyć „zagłodzeniem". A to coś, przed czym Polacy są zdolni się obronić. Jeśli, oczywiście, nie zabraknie im do obrony swej suwerenności woli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ADOBE STOCK

Czas powrotów

Łukasz Zboralski

Coś się zmieniło. Od kilku lat Polacy głównie wracają do kraju, a nie wyprowadzają się za granicę. A jeśli już jadą do pracy, to głównie do Niemiec

W 2004 r., gdy Unia Europejska po akcesie Polski otwierała swój rynek pracy, zanotowaliśmy nieznany współcześnie odpływ rodaków. Głównym kierunkiem zarobkowych ucieczek była Wielka Brytania – bo jako jeden z trzech krajów nie postawiła żadnej blokady Polakom. I gdy wcześniej, w XX w., a także w XIX w., głównym celem migracji rodaków były Niemcy i Stany Zjednoczone, tak od tego momentu główny szlak wiódł na Wyspy. Emigrowali głównie młodzi ludzie. Jak się szacuje, utraciliśmy wówczas około miliona Polaków, którzy szczęścia w życiu szukali poza ojczyzną. Polska diaspora w Wielkiej Brytanii wzrosła ponad dziesięciokrotnie (w 2001 r. na Wyspach było ok. 75 tys. naszych obywateli).

Przyczyny były jasne, choć w oficjalnych opracowaniach ujmuje się je w uładzone zwroty i tłumaczenie, że na polski rynek pracy wkroczyło wówczas pokolenie wyżu demograficznego z lat 80. i rodzinny rynek pracy, na skutek transformacji, nie był w stanie go wchłonąć.

Można to powiedzieć prościej. Młodzi ludzie mogli podejmować pracę i otrzymywać niskie wynagrodzenie, nie mając nawet szansy na wzięcie kredytu, by sfinansować mieszkania. Nasi politycy mieli dla nich wówczas prostackie recepty. Najlepszym przykładem była odpowiedź, której w 2015 r. udzielił młodemu człowiekowi spacerujący po Krakowskim Przedmieściu w Warszawie ówczesny prezydent Bronisław Komorowski. Gdy młody człowiek pytał, jak jego siostra, która po trzech latach dopiero znalazła pracę i dostaje 2 tys. zł, ma kupić mieszkanie, prezydent odrzekł: „Trzeba zmienić pracę i wziąć kredyt".

Tymczasem w Wielkiej Brytanii nagle wszystko stawało się proste – można było łatwo założyć firmę, instytucje państwowe okazywały się nastawione przyjaźnie do petenta, a zarobki pozwalały nie tylko na „życie", lecz także na spełnianie marzeń.

WSZĘDZIE DOBRZE, ALE W DOMU NAJLEPIEJ

Dziś tamta atmosfera bezradności jest już chyba tylko wspomnieniem. Bezrobocie radykalnie zmalało. I to tak, że musieliśmy ratować się milionami Ukraińców, zapełniającymi etaty w miejscach uważanych przez rodaków za zbyt nisko płatne. Młody człowiek niezwykle łatwo może dziś znaleźć zajęcie – choć oczywiście nasz rynek pracy nadal nie jest zdrowy, nasycony umowami śmieciowymi, poza wielkimi miastami zarobki nie pozwalają na zbyt wiele, a kredyt na mieszkanie dalej bywa dla wielu nieosiągalny. Trudno też jednak nie zauważyć, że przez dekadę rosły nasze aspiracje. Jednak to nie popycha nas już w takim stopniu do emigracji.

W kilku ostatnich latach trend migracyjny Polaków się zmienił. W ubiegłym roku – jak wynika z raportu serwisu Clictrans.pl (opartego na danych z ponad 41 tys. zleceń usług przeprowadzkowych) – ponad 70 proc. wszystkich międzynarodowych przeprowadzek rodaków stanowiły te do Polski z zagranicy.

Z najpopularniejszych kierunków polskiej migracji w 2021 r. tylko Hiszpania była krajem, do którego więcej rodaków się przeniosło, niż powróciło stamtąd nad Wisłę. W przypadku pozostałych państw bilans wyszedł na plus – było więcej powrotów niż wyjazdów.

Zarazem był to pierwszy od ośmiu lat okres, gdy udział tych przeprowadzek spadł. Można podejrzewać, że ci, którzy wyjechali, bo nie widzieli szans w Polsce, teraz je zauważyli i chcą wrócić – być może z pewnym dorobkiem, zapasem pozwalającym na inny start, z zasobem na własny dom czy mieszkanie. Część z nas z kolei ułożyła już sobie życie gdzieś indziej, ma dzieci, wrosła w inne miejsce

eprasa.pl 4e28c29d7b

Powroty do Polski – udział powracających z różnych krajów

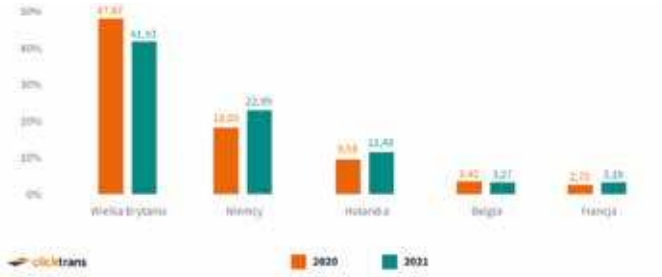

Międzynarodowe wyprowadzki/przeprowadzki Polaków

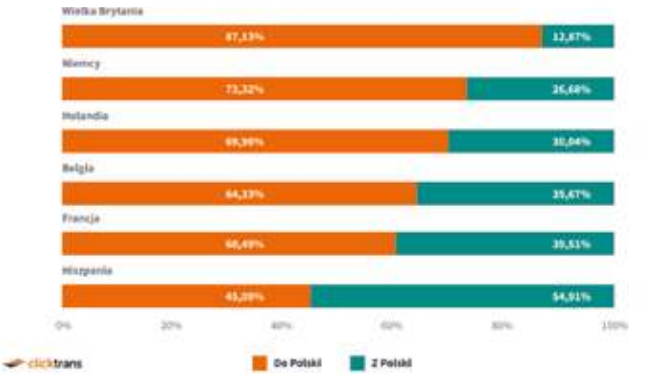

na świecie. I raczej już nie powróci.

ZNÓW ZA ODRĘ

Powroty z zagranicy to sprawa bardziej złożona. Część osób wybierających migrację zarobkową pozostawiała tu rodziny i od początku żyła nadzieją powrotu. Nie sposób nie przecenić też wpływu brexitu oraz pandemii (ubytek miejsc pracy). To od tego momentu tak naprawdę Polacy na Wyspach zaczęli masowo pakować walizki.

Pod koniec ubiegłego roku Główny Urząd Statystyczny wskazywał, że na koniec 2020 r. poza granicami kraju przebywało o 176 tys. mniej Polaków. To był moment największej fali powrotów z Wielkiej Brytanii. Liczba rodaków tam przebywających zmniejszyła się bowiem o 24,2 proc. – czyli o 164 tys. W 2019 r. spadek był nieporównywalnie mniejszy – 17 tys. (2 proc.). Na Wyspach zostaje ponad pół miliona Polaków. Ilu jeszcze wróci? Nie wiadomo, ale ten strumyk powrotów w 2021 r. zrobił się już mniejszy, więc można spodziewać się, że kolejny przypływ nie będzie już masowy.

Jak zauważa raport Clictrans.pl, niemal od dekady głównym celem migracji – przeważająco zarobkowej – była Wielka Brytania. Teraz po raz pierwszy się to zmieniło. W 2021 r. Polacy przeprowadzający się za granicę najczęściej wybierali Niemcy. Podróże za Odrę stanowiły 20,81 proc. wszystkich przeprowadzek za granicę. Przeprowadzki do Wielkiej Brytanii stanowiły odpowiednio – 15,40 proc., do Holandii – 12,26 proc., Hiszpanii – 7,66 proc., a do Francji – 5,16 proc.

Należałoby właściwie napisać, że po trwającym osiem lat boomie na Wyspy polska imigracja wróciła na utarty dużo wcześniej szlak. Nawet utarł nam się w języku zwrot zagranicznej pracy sezonowej jako wyjazd „na saksy" i przecież wziął się z niemieckiego kierunku, Saksonii. Jeszcze przed pierwszą wojną światową zarobkowa migracja z ziem polskich (która w sumie obejmowała 10 proc. ludności) kierowała się właśnie na niemiecką ziemię – pojechało tam ok. 600 tys. osób. Potem, w latach 1919–1925, po Europie rozpierzchło się ok. 385 tys. Polaków. Zdecydowana większość pojechała za chlebem do Francji (ok. 210 tys.) i Niemiec (ok. 163 tys.). W późniejszym okresie PRL także RFN była miejscem wyjazdów związanych z poszukiwaniem lepszego życia.

Na początku bolesnej transformacji ustrojowej Polacy też szukali pracy i możliwości za Odrą. Do połowy lat 90. spośród blisko 120 tys. imigrujących za pracą aż 80 tys. wybierało Niemcy. I polska diaspora w Niemczech właściwie od 2015 r. stanowi wciąż ok. 700 tys. osób.

DWA MILIONY NIE DO ZAWRÓCENIA?

Poza krajem – jak wynika z danych GUS – żyje obecnie ponad 2 mln Polaków. Dla wymierającego narodu, którym się stajemy (opisywałem w „Do Rzeczy" nr 6/2022) wstrząsające dane demograficzne, które wskazują, że jesteśmy o krok od punktu, w którym nie będzie już żadnej szansy na zatrzymanie wymierania), skłonienie do powrotu migrantów ekonomicznych byłoby jednym z kroków do zapewnienia przetrwania.

Patrząc na historię migracji zarobkowych, nie można mieć jednak na to nadziei. Zwłaszcza że po latach rozwoju i zapewniania opieki socjalnej przez państwo na niespotykaną wcześniej skalę życie nad Wisłą – związane z wyższą inflacją, cenami energii itd. – właśnie po raz pierwszy zaczęło stawać się trudniejsze.

W dodatku od ubiegłego tygodnia tuż za naszą granicą po raz pierwszy od 1945 r. trwa regularna wojna po napaści Rosji na Ukrainę. To dodatkowy hamulec dla tych, którzy nawet mogli się zastanawiać, czy nie wrócić do ojczyzny. Wszyscy mają świadomość, że gdy rosyjska agresja przekroczy skalę jednego kraju, to nasze terytorium może być frontem światowych zmagań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

Przekaż dzieciom Bohaterów 1%

KRS: 0000 361265

Fundacja Dorastaj z Nami opiekuje się dziećmi, których rodzice poświęcili się dla nas.

Masz szansę by odmienić ich los.

www.dorastajznami.org

eprasa.pl 4e28c29d7b

Śmierć przez procedury

FOT. ADOBE STOCK

Jakub Wozinski

Jeżeli Ministerstwo Zdrowia nie zmieni radykalnie swojej polityki, to czeka nas trzeci kolejny rok z rekordową śmiertelnością

Nadmiarowe zgony to problem, który dotyczy w ostatnim czasie zdecydowanej większości państw na świecie. Polska odczuwa go jednak w stopniu wręcz ekstremalnym. Wedle opublikowanych w grudniu przez Eurostat danych nasz kraj odnotował od początku pandemii drugi najgorszy wynik spośród wszystkich krajów członkowskich UE. Od marca 2020 r. odnotowano ok. 180 tys. nadmiarowych zgonów, co oznacza, że w niespełna dwa lata Polska straciła nagle tyle samo mieszkańców, ile liczą Gliwice. A ponieważ polska służba zdrowia stosuje niemal te same procedury, już wkrótce będziemy niestety porównywali liczbę ofiar do populacji znacznie większych miast.

Zgodnie z wizją forsowaną przez rząd na zatrzymanie wielkiej fali wymierania można liczyć wtedy, gdy w następstwie masowej akcji szczepień nastąpi koniec epidemii, a służba zdrowia zacznie odrabiać zaległości w badaniach przesiewowych i profilaktyce. Już dzisiaj widać jednak, że strategia ta jest skazana na porażkę, ponieważ jeszcze w żadnym kraju, w którym zastosowano akcję szczepień na masową skalę, nie udało się zatrzymać transmisji wirusa, zgonów ani ciężkich zachorowań. Nawet gdyby jakimś cudem propagowane przez Ministerstwo Zdrowia szczepienia zostały zaaplikowane ogromnej większości obywateli, przy niezmienionych procedurach uzyskamy w najbliższych miesiącach ten sam rezultat, którym będzie śmierć kolejnych dziesiątek tysięcy osób.

Nawet przy tak skromnej kadrze medycznej możliwe jest jednak sięgnięcie po zupełnie inne środki, na które uwagę zwracają rządowi od dłuższego czasu rozmaite środowiska. W przygotowanym przez Warsaw Enterprise Institute raporcie pt. „Ani jednej łzy. Ochrona zdrowia w pandemii" dr Paweł Basiukiewicz już w marcu ubiegłego roku zalecał, aby powszechnie przyjąć zasadę akceptacji ryzyka, nakazującą pogodzenie się z faktem braku możliwości całkowitego przerwania transmisji wirusa nawet przy użyciu najbardziej drastycznych metod.

Zrozumienie tego, że nadmierna izolacja niesie za sobą więcej zagrożeń niż pomocy, przyszło zdecydowanie za późno, gdyż dopiero szybko rozprzestrzeniający się i wywołujący mniejszą liczbę hospitalizacji wariant omikron wymógł na Ministerstwie Zdrowia przyjęcie zmian. W lutym dwukrotnie poluzowano zasady izolacji i kwarantanny – m.in. dla pracowników służby zdrowia i służb mundurowych.

WCIĄŻ TO SAMO

Wybór strategii opartej przede wszystkim na masowych szczepieniach nie zmieni więc absolutnie niczego w kontekście szokującej liczby nadmiarowych zgonów, ponieważ strategia ta nie zakłada żadnych zmian w procedurach, które spowodowały nadmierną śmiertelność. Dr Paweł Basiukiewicz przekonuje: – Szczepienia ochraniają konkretnego pacjenta, który ma np. 65 lat, nadciśnienie tętnicze, otyłość, i taka osoba powinna się zaszczepić, bo ma to dla niej znaczenie indywidualne, lecz nie dla rozprzestrzeniania się infekcji. Jeżeli zaszczepimy wysportowanego 30-latka, to pojawia się pytanie, czy ten 30-latek w ogóle coś z tego skorzysta, gdyż u takich osób częściej pojawia się zapalenie mięśnia sercowego jako powikłanie. Ponadto taka osoba, będąc nieustannie fałszywie informowana w mediach, że szczepienie zapobiega zachorowaniu, może wyjść z domu w stanie podgorączkowym, z katarem i tym bardziej rozprzestrzeniać tę infekcję. Tak więc strategia, aby uzależniać coś od szczepień, jest absolutnie błędna.

Równie sceptyczny co do efektu programu szczepień jest epidemiolog i były wiceminister zdrowia dr Zbigniew Hałat: – To, co mówi się obecnie o planach związanych z wyszczepianiem, nie ma w żaden sposób oparcia w aktualnej wiedzy medycznej. We wszystkich krajach, w których doszło do masowych akcji z zastosowaniem kolejnych dawek, wystąpiły wielkie fale zachorowań, często z przebiegiem śmiertelnym. W związku z tym liczenie na to, że jakakolwiek akcja polegająca na wstrzykiwaniu preparatów o nieznanym wciąż składzie, dostosowanym rzekomo do kolejnych wariantów, nie rokuje niczego poza wielkimi zarobkami koncernów farmaceutycznych. Żadnych badań potwierdzających efektywność szczepień nie ma. Są natomiast efekty demograficzne w postaci kolejnych fal nadmiarowych zgonów,

eprasa.pl 4e28c29d7b

a nadto rozstroju zdrowia, który sięga już niebotycznych rozmiarów, np. w przypadku zaburzeń gospodarki hormonalnej kobiet czy też całej patologii ginekologiczno-położniczej, włącznie z martwymi urodzeniami. Jakiekolwiek enuncjacje pana Niedzielskiego nie mają żadnych podstaw naukowych.

Choć w mediach udało się utrwalić obraz pandemii koronawirusa jako okres szczytowego przeciążenia służby zdrowia, to tak naprawdę ze względu na przyjęte procedury służby medyczne nie wykorzystywały w pełni swego potencjału. Doktor Basiukiewicz zwraca uwagę na zaskakującą rozbieżność: – W listopadzie i grudniu 2020 r., kiedy media informowały o tym, że mieliśmy dużą liczbę chorych na COVID-19, a szpitale miały być zatkane, dane liczbowe pokazywały zupełnie coś innego. W porównaniu z tym samym okresem poprzedniego roku szpitale miały 25–30 proc. mniej osobodni, czyli były znacznie mniej obłożone. Spodziewalibyśmy się raczej innego efektu. To jest dowód na to, że wdrożony system walki z koronawirusem, czyli izolacji za wszelką cenę – te wszystkie środki niefarmaceutyczne: kwarantanny, testowanie pacjenta, oczekiwanie na wynik testu – wprowadzają olbrzymi bałagan i utrudnienia w dostępie do lekarza. Musimy się po prostu wycofać z testowania, kwarantanny i izolacji. To jedyna strategia, która może nas wyprowadzić z pandemii.

Zgodnie z założeniami Polskiego Ładu na służbę zdrowia ma być przeznaczane nawet 7 proc. PKB, ale Polska może wydawać nawet 10 proc. PKB na służbę zdrowia. Dopóki rząd nie zrezygnuje ze stosowanych obecnie procedur, dopóty efektem będzie jedynie postępująca zapaść całego systemu lecznictwa. Doktor Zbigniew Hałat bije na alarm: – Ofiary kowidianizmu umierają na choroby wymagające skutecznej pomocy lekarskiej – także ci przywożeni karetkami pogotowia z tysiąca różnych powodów, od zawałów do udaru, gdyż są na wejściu do systemu badani w kierunku choroby, która ma bardzo niską śmiertelność, szczególnie wśród młodszych grup wiekowych. A jeszcze do tego nie są przeprowadzane podstawowe procedury medyczne w zakresie diagnostyki różnicowej. Nie istnieje taka pragmatyka zawodowa, by nie uwzględniać innych chorób, tylko przypisać każde zachorowanie i każdy zgon tylko jednej chorobie, i to dlatego, że minister zdrowia tak sobie życzy i za to płaci. [...] Nasila się poniewieranie nauk medycznych, prawnych i wielu innych, tych, które zbudowały naszą cywilizację.

SAMI SOBIE WINNI

W normalnej sytuacji rozwiązania, które niosłyby ze sobą tragedię setek tysięcy osób, poddano by natychmiastowej rewizji i szukano by alternatywnych rozwiązań, ograniczających skalę niepotrzebnych zgonów. Dominujący na całym świecie pogląd na temat rzekomo najlepszych metod walki z koronawirusem sprawia jednak, że z tragicznym w skutkach uporem polski rząd wciąż trzyma się tych samych środków zaradczych. Pytany wielokrotnie o przyczyny tak dramatycznie wielkiej śmiertelności w Polsce minister Adam Niedzielski tłumaczy najczęściej, że oprócz wysokiej zachorowalności na COVID-19 dużą rolę odgrywa m.in. to, że społeczeństwo nie dba o siebie w wystarczającym stopniu i lekceważy badania profilaktyczne. Oprócz tego szef resortu zdrowia podkreśla nieustannie, że za wiele zgonów odpowiada zbyt późne zgłaszanie się pacjentów do szpitala oraz zbyt niski stopień wyszczepienia w całej populacji. Podsumowując, według Adama Niedzielskiego główną winę za nadliczbową umieralność ponoszą… sami Polacy.

Minister Niedzielski jak dotąd ani razu nie uderzył się w piersi i nie przyznał do jakiegokolwiek większego błędu pomimo jaskrawych przypadków wprowadzania Polaków w błąd. Tak było przecież chociażby przy okazji kampanii promocyjnej szczepień, która fałszywie informowała, że tylko 1 proc. zgonów na COVID-19 dotyczy osób zaszczepionych. Szef resortu zdrowia wykazuje się jak dotąd wręcz rażącym brakiem samokrytycyzmu, a dodatkowo nieustannie forsuje fałszywą narrację.

Doktor Zbigniew Hałat nie kryje słów krytyki pod adresem ministra zdrowia, którego obarcza główną odpowiedzialnością za bezprecedensową falę nadliczbowych zgonów: – Pan Niedzielski nie ma żadnej wiedzy medycznej, nie ma przygotowania merytorycznego. Trzeba zwrócić uwagę na to, że za jego rządów i całej tej ekipy średnia oczekiwana długość życia uległa skróceniu o 1,3 roku – niemal najbardziej drastyczny regres wśród 30 państw OECD i cofnięcie rozwoju cywilizacyjnego Polski do roku 2010. Mało tego, nadmiarowe zgony w tym okresie były rekordowe w skali globalnej. W 2020 r. byliśmy na trzecim miejscu wśród krajów OECD za Meksykiem i Kolumbią, a już w październiku 2021 r. byliśmy na drugim miejscu tuż za Meksykiem. I do tego podczas gdy w najmłodszej grupie wiekowej 0–44 w wielu krajach nie notowano nadmiarowych zgonów, u nas było już zupełnie inaczej. Jest to kolejny, ewidentny dowód na to, że wynikały one z braku dostępu do świadczeń zdrowotnych. Dalszy to analiza różnic częstości nadmiarowych zgonów pomiędzy regionami Polski. Liczba zawałów spadła o połowę, a nie sposób udawać, że się nie ma zawału. Podobnie z nowotworami złośliwymi.

BŁĘDNE KOŁO WYMIERANIA

Największym dramatem obecnej sytuacji jest to, że za sprawą Ministerstwa Zdrowia Polacy znaleźli się w błędnym kole. Nadmiarowe zgony tworzą złudne poczucie, że są one wyłącznie skutkiem pandemii, i tym samym społeczeństwo daje przyzwolenie na stosowanie nadzwyczajnych środków, które wywołują zawyżoną śmiertelność. Przerwać ten zaklęty krąg namnażający zgony naszych rodaków może tylko decyzja o zaniechaniu dotychczasowej polityki powstrzymywania transmisji za wszelką cenę. Zdaniem dr. Basiukiewicza tylko w ten sposób jesteśmy w stanie powrócić do prawdziwej normalności: – Jeżeli zniesiemy większość środków niefarmaceutycznych, tych izolujących społecznie, jak choćby dystansy, lockdowny, zamykanie przedsiębiorstw, izolację, contact tracing, czyli śledzenie kontaktów przez sanepid, to okaże się, że bardzo szybko zaczniemy normalnie funkcjonować.

Przymuszając Polaków do szczepień i powszechnego korzystania z certyfikatów covidowych, rząd przyczyni się jedynie do rozszerzenia największej tragedii, która spotkała nasz kraj w ostatnich dekadach. Dziś wiadomo już na pewno, że preparaty, wobec których żywiono tak wielkie nadzieje, nie zapewniają należytej ochrony, a mimo to minister Niedzielski trwa wciąż na tym samym stanowisku, którego skutkiem będą kolejne, dramatyczne fale niepotrzebnych zgonów. Rok 2022 zapowiada się niestety jako kolejny z serii najczarniejszych w polskiej demografii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

22 lutego abp Stanisław Gądecki (na zdjęciu) opublikował list „braterskiej troski" adresowany do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec bp. Georga Bätzinga FOT. KAROLINA ADAMSKA/EAST NEWS

Upomnienie z Polski

Tomasz Rowiński

List abp. Gądeckiego, niezależnie od intencji, można traktować jako próbę przejęcia inicjatywy w kościelnej dyskusji, jako odrzucenie sytuacji, w której polski Kościół będzie traktowany niczym rzeczywistość w świecie katolickim peryferyjna lub milcząca

Zakończony 5 lutego br. trzeci etap przeprowadzanej w niemieckim Kościele katolickim tzw. drogi synodalnej niespodziewanie okazał się także kolejnym punktem na mapie relacji Kościołów lokalnych nad Wisłą i nad Renem. Relacje te coraz wyraźniej wpisują się także w wewnątrzkościelną grę, którą papież Franciszek rozpoczął razem z zainicjowaniem jesienią 2021 r. „synodu o synodalności". Ponieważ synod ten nie otrzymał żadnego sprecyzowanego tematu, coraz bardziej staje się jasne, że może on być zmaganiem… o wszystko.

To „wszystko" oznacza, że każdy choćby najbardziej rewolucyjny postulat obozu kościelnych relatywistów, sprzeczny z katolicką nauką, może stać się na tym synodzie kwestią dyskutowaną na poważnie z intencją jego implementacji. Błogosławienie związków homoseksualnych i cudzołożnych, a co za tym idzie – zmiana doktryny moralnej, zniesienie celibatu, a także kapłaństwo kobiet, którą to sprawę Kościół uznał za znajdującą się poza jurysdykcją swojej władzy duchowej, udział świeckich w procesie wybierania biskupów, co w naszych szczególnie czasach, gdy rzesze, także aktywnych w Kościele, osób, podważają zasady wiary katolickiej, oznaczać będzie jej upolitycznienie.

Niemiecki Kościół w ostatnich latach wyraźnie przyspieszył na drodze realizacji swojej – powyżej zarysowanej – agendy. Nie da się ukryć, że ma ona coraz mniej wspólnego z przyjmowanym przez katolicyzm Objawieniem, na które składają się dwa źródła wiary: Pismo Święte i Tradycja. Ktoś mógłby mieć wrażenie, że niemiecki episkopat po prostu stawia poważne pytania i szuka rozwiązań wobec kryzysu, który dotknął tę lokalną wspólnotę katolicką. Nie jest to jednak prawda. Bliższe rzeczywistości byłoby powiedzenie, że razem z pontyfikatem papieża Franciszka realnie protestanckie stanowisko w sprawach wiary, które ma wielu ludzi sprawujących władzę nad niemieckim katolicyzmem, znów otrzymało wiatr w żagle, złapało falę, na której jego protagoniści mogą surfować. Forsowane teraz postulaty w znacznej części nie są nowe, wiele z nich było obecnych w kościelnej debacie już w czasach ostatniego soboru lub zaraz potem. Nie może być mowy, by określać je mianem recept na dzisiejszy kryzys, gdy w ogóle powinny zostać uznane za nie do przyjęcia.

BRATNIA TROSKA

Na tę sytuację, której aktualizacją był kolejny etap „drogi synodalnej" we Frankfurcie, zareagował abp Stanisław Gądecki. 22 lutego metropolita poznański opublikował list „braterskiej troski" adresowany do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec bp. Georga Bätzinga. Można go potraktować jako bardzo delikatnie przeprowadzone – choć stanowcze w treści – votum separatum wobec stanowiska obozu relatywistycznego w Kościele. Dziś jest ono swego rodzaju kościelną partią władzy i gromadzi się wokół wpływowych hierarchów zachodnioeuropejskich, amerykańskich, a także – nie ma podstaw, by sądzić inaczej – papieża Franciszka.

Poznański metropolita zręcznie wykorzystał, jako punkt podparcia dla listu, zainicjowaną jeszcze jesienią formułę dyskusyjną pomiędzy episkopatami. Miałaby ona nie tylko stanowić pomost

eprasa.pl 4e28c29d7b

do budowania relacji dwustronnych, lecz także być platformą debaty na temat miejsca Kościoła w nowych uwarunkowaniach politycznych, w jakich obecnie znalazła się Europa. „Wiem – rozmawialiśmy o tym w czasie naszych spotkań, również ostatnio, w Poznaniu – że jesteś głęboko przejęty losem powierzonej Ci owczarni i pragniesz, aby żadna z owiec się nie zabłąkała; aby każdy z powierzonych Ci wiernych osiągnął szczęśliwe życie wieczne z Chrystusem" – napisał w swoim liście abp Gądecki.

Arcybiskup Gądecki sformułował w przygotowanym tekście pięć odniesień do sytuacji Kościoła w epoce współczesnej, które określa mianem „pokus". Część z nich bezpośrednio odnosi się do treści dyskusji czy właściwie już swego rodzaju synodalnych dekretów przygotowanych przez stronę niemiecką. Inne wyglądają na inspirowane nie tylko „nowym" programem duszpasterskim znad Renu, lecz także niedawnymi wypowiedziami kard. Jeana-Claude'a Hollericha, który choć nie jest zaangażowany w „drogę synodalną", to jest europejskim relatorem franciszkowego „synodu o synodalności". To znaczy, że tak naprawdę w jego rękach będzie spoczywała władza stworzenia dokumentu syntetyzującego głosy synodalne, które spłyną ze wszystkich Kościołów lokalnych naszego kontynentu.

Ponieważ można się spodziewać, że Hollerich będzie promował agendę relatywistyczną właśnie w duchu niemieckiej „drogi synodalnej", głos abp. Gądeckiego trzeba traktować jako nonkonformistyczny sygnał niechcącej dać się wykluczyć z debaty – za pomocą biurokratyczno-klerykalnych mechanizmów synodalnych – „opcji na rzecz katolickiej ortodoksji". Paradoksem jest, że list metropolity poznańskiego został przedrukowany przez mające szeroki zasięg media anglojęzyczne, takie jak portale LifeSiteNews czy Church Militant, a jednocześnie spotkał się z niemal całkowitą obojętnością w Polsce. Tymczasem powinien stać się on punktem odniesienia, swego rodzaju manifestem katolickiej tożsamości Kościoła w Polsce w jego relacjach z Niemcami, a także wyraźnym stanowiskiem na globalnym forum synodalnym.

POKUSY NASZYCH CZASÓW

Przyjrzyjmy się, jak wyglądają pokusy, przed którymi staje – zdaniem abp. Stanisława Gądeckiego – Kościół naszej doby. Pierwsza z nich polega na selektywnym traktowaniu Ewangelii i przekonaniu, że za pomocą nożyczek i gumki jesteśmy w stanie, jako ludzie wiary, stworzyć lepszą Dobrą Nowinę od tej, którą otrzymaliśmy od Chrystusa. Druga z pokus koresponduje z niedawnym wywiadem, którego wspomniany kard. Hollerich udzielił agencji KNA. Mówił w nim, że nauczanie katolickie wobec homoseksualizmu jest fałszywe i przestarzałe. Dlaczego? Ponieważ zmieniła się treść sądów naukowych na ten temat. Fałszywa sugestia zawarta w wywiadzie była oczywista. Kościół w swojej historii po prostu dopasowywał własne stanowisko moralne do panujących w danej epoce obyczajów czy przekonań głoszonych przez elity akademickie. I tak też powinien zrobić teraz. Kardynał w żaden sposób nie ustosunkował się do tego, że Kościół przede wszystkim odnosił się zawsze do Objawienia, a także refleksji moralnej, tych dwóch fundamentów katolickiej nauki na temat homoseksualizmu.

Arcybiskup Gądecki w tej sprawie odpowiada jasno: „Jedną z dzisiejszych pokus w Kościele jest nieustanne konfrontowanie nauczania Jezusa z aktualnym dorobkiem psychologii i nauk społecznych. Jeśli coś w Ewangelii nie zgadza się z aktualnym stanem wiedzy w tych naukach, to uczniowie, aby uchronić Mistrza przed kompromitacją w oczach współczesnych, próbują »zaktualizować« Ewangelię. Pokusa »unowocześnienia« w szczególny sposób dotyczy sfery tożsamości seksualnej". Przewodniczący KEP przypomniał, że punktem odniesienia dla wierzących zawsze muszą być treści Objawienia. Trzecią pokusą jest pokusa „kompleksu niższości, prowadząca do relatywizowania lub ukrywania swojej chrześcijańskiej tożsamości i przekonań. […] Kończy się [ona] tym, że [uczniowie Chrystusa] grzebią radość z misji w pewnego rodzaju obsesji, by być jak wszyscy inni i mieć to, co inni posiadają". Cytat użyty przez metropolitę poznańskiego pochodzi bezpośrednio z adhortacji papieża Franciszka „Evangelii gaudium". „»Aktualizacja« definicji małżeństwa w Karcie praw podstawowych UE nie jest powodem, aby manipulować przy Ewangelii" – puentuje ten punkt rozważań abp Gądecki.

Pokusa czwarta dotyczy „myślenia korporacyjnego", w którym w chwili kryzysu obniża się standardy, włącza się myślenie pragmatyczne i rezygnuje z zasad, by ratować instytucję. Stąd właśnie biorą się zdaniem arcybiskupa pomysły, by porzucić celibat, zrelatywizować opartą na Objawieniu pewność Kościoła o niemożności święcenia na księży kobiet. Ostatnia z pokus została określona mianem pokusy ulegania presji, ale jest ona po prostu kryzysem wiary. Wydaje się, że ten ostatni punkt na liście metropolity poznańskiego jest kluczem do zrozumienia kryzysu Kościoła. Kościół nie powinien za wszelką cenę dążyć do utrzymania swoich statystyk ilościowych, ale musi skupić się na umacnianiu w wierze i ewangelizacji. Jeśli słabnące statystyki wynikają z tego, że wierzący są „znakiem sprzeciwu" wobec zła w świecie, to trzeba to zaakceptować. Gorzej, jeśli wierni odchodzą, ponieważ nie wiedzą już, dlaczego wciąż mieliby w Kościele pozostawać, skoro nie głosi on niczego innego niż świat.

TEN GŁOS BĘDZIE SŁYSZALNY

Głos abp. Stanisława Gądeckiego jest ważny. Także dlatego, że formuła dyskusyjna, która została zawiązana podczas jesiennego spotkania polskich biskupów z bp. Bätzingiem, miała wymiar polityczny. Niemiecki hierarcha starał się wówczas wywrzeć polityczną presję na polski Kościół, krytykując – zgodnie z polityczną linią Watykanu – polski rząd za działania na granicy z Białorusią. Być może Bätzing działał – nawet jeśli nieoficjalnie – jako emisariusz papieski zarówno w sprawach doktrynalnych, jak i politycznych. List abp. Gądeckiego, niezależnie od intencji, można traktować jako próbę przejęcia inicjatywy w kościelnej dyskusji, jako odrzucenie sytuacji, w której polski Kościół będzie traktowany niczym rzeczywistość w świecie katolickim peryferyjna lub milcząca.

Można sądzić, że wypowiedź metropolity poznańskiego nie przejdzie niezauważona w kręgach katolickiego duchowieństwa, także wyższego. To dobrze. Potrzeba jednak Kościołowi polskiemu konsekwencji w aktywności na forum międzynarodowym – zarówno w obszarze katolickiego świadectwa, w omówionym tu liście, jak i budowania koalicji „na rzecz ortodoksji", a także na rzecz polityki i kultury katolickiej w naszym regionie. Tak, by Stolica Apostolska była niejako zmuszona wpisywać głos Europy Środkowej i Wschodniej w swoją – jak napisał w grudniu na łamach „Christianitas" w tekście „Jakiego dialogu z niemieckim Kościołem dziś potrzebujemy?" Cezary Kościelniak – geoeklezjalną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Ziemniaczki z czytelni

Agnieszka Niewińska

– „Pan Tadeusz" na papierze czy na spirytusie? – tak supermarket puszcza oko do klienta. Bo skoro nie może już być pocztą, by handlować w niedzielę, to ogłasza się wypożyczalnią, dworcem, a nawet domem pogrzebowym

Regał z książkami, fotel, stolik i w ten prosty sposób supermarket zmienia się w czytelnię. Przynajmniej tak twierdzą kierujący sklepami pod szyldem Intermarché. I choć większe zainteresowanie klientów budzą promocje na kiełbasę i ser niż strefa czytelnika, to ustawiono ją tam nie bez powodu.

Chodzi o handel w niedzielę. 1 lutego w życie weszła nowelizacja ustawy, która ograniczyła sklepom korzystanie z furtki „na placówkę pocztową". Po tym, jak od 2020 r. mogą być one otwarte tylko w niektóre niedziele handlowe (chyba że za ladą stanie właściciel), sieci zaczęły szukać sposobu na to, by przepis obejść. Popularne okazało się podpisywanie umów z firmami kurierskimi i odpowiedni wpis w PKD, wedle którego sklep świadczy usługi pocztowe i kurierskie. O ile we wcześniejszych latach takiego wpisu dokonywało kilkaset sklepów rocznie, o tyle w 2021 r. aż 16 tys. uzyskało status punktów pocztowych – wynika z danych wywiadowani gospodarczej Dun & Bradstreet. Efekt był taki, że choć sklepy zgodnie z ustawą miały być zamknięte, to i tak nie było większego problemu, żeby znaleźć w swojej okolicy otwartych Lidla, Biedronki, Kauflandu czy Dino.

Ustawodawca praktykę ukrócił. Nowelizacja obowiązująca od 1 lutego pozwala się otworzyć w niedzielę tylko tym placówkom handlowo-pocztowym, którym usługi pocztowe przynoszą co najmniej 40 proc. przychodu. A że listy i paczki w wielu sklepach były raczej działalnością incydentalną, to z nastaniem lutego klienci większości z nich w niedzielę zastali zamknięte drzwi. Nowelizacja otworzyła jednak nowy rozdział w historii stosunków między państwem a branżą handlową.

KARA? NA SĄDZIE OSTATECZNYM

Liderem kreatywnych rozwiązań okazały się sklepy Intermarché. Placówki m.in. w Lipnie, Oławie, Brzegu, Golubiu-Dobrzyniu, Jelczu-Laskowicach postanowiły otworzyć czytelnie. „Zapraszamy na wygodne zakupy z lekturą w ręku" – informują klientów, dodając, że otwarci są w każdą niedzielę. Czytelnią chcą usprawiedliwić niedzielny handel, bo ustawa pozwala na otwarcie siedem dni w tygodniu punktom bibliotecznym i czytelniczym. Zapierają się jednak, że chodzi o promocję książki i działalność kulturalną. W Intermarché Lipno do czytelni można zapisać się w kasie. Nie wiadomo, czy warto się w ogóle tam wybrać w poszukiwaniu lektury, bo kiedy pytamy o ofertę dostępnych tytułów, dostajemy wymijające odpowiedzi. Klienci kontaktem z działami literatury w sklepie też się nie chwalą. – Ja nic nie przeczytałem, ja tylko przyszedłem po ziemniaki, zabrakło na obiad – usłyszał od jednego z nich reporter Polsatu, który odwiedził Intermarché Lipno w niedzielę.

Fortel „na czytelnię" kierownictwo sklepów Intermarché zdaje się zresztą niezwykle bawić, a upust tej radości dają na profilach facebookowych sklepów. „Macie w ofercie »Pana Tadeusza«?" – pyta jeden z klientów. „Na papierze czy spirytusie?" – odpisuje Intermarché Lipno. Intermarché Brzeg na sugestię internauty, że za swoje praktyki sklep zostanie ukarany, odpowiada: „Na sądzie ostatecznym".

KOMBINACJA CIESZYŃSKA

Sklepowe czytelnie to i tak nic w porównaniu z przedsięwzięciem Intermarché Cieszyn, które otworzyło dworzec z poczekalnią, chcąc w ten sposób wykorzystać zapis, że w niedziele mogą być otwarte sklepy na dworcach. Na elewacji zawisł napis „Dworzec autobusowy", ławka w holu sklepu urosła do rangi poczekalni. A to jeszcze nie wszystko. Biuro prasowe Grupy Muszkieterowie, która zarządza siecią Intermarché, informuje nas, że w obiekcie utworzono także dwa stanowiska wysiadkowo-odjazdowe, dwa stanowiska postojowe dla autobusów, ogólnodostępne toalety, punkt informacyjny oraz kasę biletową. – Podjęte czynności mają na celu wyjście naprzeciw oczekiwaniom

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

podróżnych oraz mieszkańców Cieszyna mogących stale korzystać ze wszystkich punktów handlowo-usługowych znajdujących się na terenie obiektu, w tym z supermarketu spożywczego, totalizatora sportowego, salonu fryzjerskiego, apteki, kwiaciarni i innych – informuje Grupa Muszkieterowie, zaznaczając, że sklep prowadzi rozmowy z Zarządem Powiatu Cieszyńskiego, aby uruchomić dodatkowe linie powiatowej komunikacji autobusowej. Odjazdu na razie nie było, a powiat, jak się okazało, żadnych rozmów w tej sprawie nie prowadzi.

Sylwia Pieczonka, rzecznik starosty cieszyńskiego, informuje nas, że dzień przed wejściem w życie nowelizacji ustawy spółka prowadząca cieszyńskie Intermarché wysłała do starostwa zaproszenie do nieodpłatnego korzystania ze swojego obiektu we wszystkie dni tygodnia, włącznie z sobotami, niedzielami i dniami świątecznymi. – Zarządca obiektu poinformował starostę cieszyńskiego o fakcie utworzenia nowego „dworca autobusowego" – relacjonuje Sylwia Pieczonka. I dodaje, że ze wstępnej analizy na podstawie przeprowadzonej wizji lokalnej w terenie wynika, że istnieje bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że sprzed sklepu zostaną uruchomione dodatkowe linie komunikacji powiatowej, gdyż „dworzec autobusowy" w Intermarché nie spełnia nawet podstawowych wymagań formalnoprawnych dla tego typu obiektów.

Jednak zanim zarząd powiatu zdążył przedyskutować wniosek na posiedzeniu, dworzec z cieszyńskiego Intermarché zniknął. W pierwszą niedzielę lutego w sklepie wraz z policją pojawili się związkowcy z Solidarności. W dworcowych placówkach nie można sprzedawać alkoholu, a ten w Intermarché był dostępny. Na drugą niedzielę lutego kierownictwo sklepu miało już inny fortel. Dworzec autobusowy ustąpił miejsca wypożyczalni sprzętu sportowego, która też może być otwarta w niedzielę. Między sklepowymi półkami zawisły informacje, że w sklepie można wypożyczyć zestaw do badmintona, tarczę do darta i zestaw wędkarski.

Tą drogą poszła też sieć sklepów monopolowych Al.Capone. W kilkunastu swoich placówkach (głównie w Tarnowie) otworzyła „wypożyczalnię sprzętu sportowego i rekreacyjnego". Udostępniła nawet stronę internetową alewypozyczalnia.pl. Sieć Al.Capone też postawiła na popularyzację badmintona, ale w ofercie ma także zestaw do pokera, brydża, szachy czy warcaby.

Z informacji branżowego portalu dlahandlu.pl wynika, że są i takie sklepy, które by móc handlować w niedzielę, sięgnęły do spraw ostatecznych. Sieć prowadzących ponad 130 delikatesów spożywczych na Górnym Śląsku do PKD działalności dopisała „pogrzeby i działalność pokrewną".

SKLEP NA BASENIE I BASEN W SKLEPIE

Marek Lewandowski, rzecznik prasowy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", podkreśla, że w większości przypadków znowelizowana ustawa o ograniczeniu handlu w niedzielę jest respektowana. – Do wymyślania, że jest się czytelnią, wypożyczalnią czy dworcem, posunęły się mniejsze sieci handlowe – mówi. – Te wybiegi są zresztą niezgodne z obowiązującym prawem i w tych przypadkach za jego egzekwowanie powinny zabrać się służby – PIP, policja i prokuratura. To, że w niedzielę może być otwarty sklep w budynku pływalni, oferujący napoje czy kąpielówki, nie znaczy, że supermarket, który rozstawi basen, może działać – mówi Lewandowski.

PIP pierwsze kontrole przeprowadziła 13 lutego. Inspektorzy sprawdzili 257 placówek handlowych, 95 z nich było zamkniętych. W kolejnych 96 za ladą stał właściciel lub jego rodzina. Wśród otwartych sklepów osiem tłumaczyło się, że są instytucjami kultury, klubami czytelnika, jedna podawała się za dworzec, kolejny za zakład pogrzebowy. Inspektorzy skontrolowali też sklep, który korzystał z możliwości handlu ze względu na prowadzenie stacji paliw, oraz placówkę, której przeważająca działalność miała polegać na handlu wyrobami tytoniowymi. Kontrole nie zostały jeszcze zakończone, PIP będzie jeszcze analizować przedłożone przez sklepy dokumenty. PIP na łamiących przepisy może nałożyć karę od 1 tys. do 100 tys. zł, a także zgłosić popełnienie przestępstwo łamania uprawnień pracowniczych.

– Te podmioty testują tak naprawdę, jak organa administracji państwowej, które mają stać na straży przepisów, będą reagowały na tę sytuację i czy w perspektywie zysk ekonomiczny z otwarcia sklepu w niedzielę przeważa nad sankcjami, które w tym zakresie mogą zostać zastosowane przez organa administracji publicznej – oceniła Katarzyna Łażewska-Hrycko, główny inspektor pracy.

– Próby obchodzenia przepisów dotyczących handlu w niedzielę to z jednej strony efekt naszej skłonności do kombinowania, a z drugiej strony niska jakość przepisów – uważa Marek Lewandowski z NSZZ „Solidarność". – W przygotowanym przez nas projekcie ustawy ograniczającej handel w niedziele było siedem niebudzących wątpliwości wykluczeń. Po tym, gdy projekt trafił do prac sejmowych, pojawiło się ich ponad 30 – pewnie za sprawą liberałów od Jarosława Gowina. W takiej sytuacji sklepy zaczęły szukać furtek. Szczególnie gorliwi okazali się w tym polscy menedżerowie zagranicznych sieci. Najwyraźniej chcieli wykazać się przed zagranicznymi nadzorcami – wyjaśnia Lewandowski, zaznaczając, że wiele z obecnych u nas sieci handlowych za granicą przestrzega prawa i w niedziele zamyka sklepy.

Z ubiegłorocznych badań UCE Research wynika, że blisko 55 proc. Polaków chce, by sklepy w niedzielę były otwarte. Pustkę po niedzielnych zakupach szybko jednak wypełniliśmy. Firma Selectiv badająca zachowania 14 mln użytkowników smartfonów na zlecenie „Gazety Wyborczej" sprawdziła, co Polacy robili w pierwszą niedzielę bez handlu. Okazało się, że liczba osób odwiedzających parki i tereny rekreacyjne wzrosła tego dnia aż o 421 proc. w stosunku do innych niedziel.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Twardoch w worku pokutnym

Krzysztof Masłoń

Gdyby Szczepan Twardoch rzucał zgniłymi jajami w Jarosława Kaczyńskiego czy choćby prezydenta Dudę, zachwycał się platformerstwem i robił w TVN za eksperta od spraw wszelakich, nie tylko na Nagrodę im. Kazimiera Kutza by zapracował. Ponieważ jednak jest inaczej, musi w worku pokutnym pochodzić jeszcze trochę – trzeba zadośćuczynić za grzechy prawicowej młodości

Szczepan Twardoch nie jest z pewnością moim ulubionym pisarzem, ba, mam do niego całą masę pretensji, które stosunkowo niedawno, bo w sierpniu zeszłego roku, wyłożyłem na łamach „Do Rzeczy" w tekście „Przemienienia Szczepana Twardocha", a jednak zarzuty, z którymi się spotkał po otrzymaniu Nagrody im. Kazimierza Kutza, swoim przenoszącym góry idiotyzmem pomniejszają czy wręcz niwelują krytykę autora „Morfiny". Zwłaszcza że właśnie to wyróżnienie należało się Twardochowi jak psu buda.

Szczepan Twardoch został drugim, w niedługiej historii, laureatem Nagrody im. Kazimierza Kutza, przyznawanej przez miasto Katowice, Uniwersytet Śląski i Teatr Śląski „osobom łączącym artystyczną aktywność ze społecznym zaangażowaniem". Zdawałoby się, że autor takiej powieści jak „Drach", niezależnie od naszego stosunku i do pisarza, i do jego dzieł, jest wymarzonym dla przyznającej nagrodę 16-osobowej kapituły, a jednak zastrzeżenia zgłosili Iwona Świętochowska-Kutz – wdowa po patronie nagrody – i Jerzy Illg, redaktor naczelny wydawnictwa Znak.

Wdowa po reżyserze stwierdziła m.in., że jej mąż, „choć trudny", był bezkompromisowy, szczególnie w sprawach politycznych, społecznych i kulturalnych, w których uczestniczył. I dlatego, stwierdziła, wyraża swój sprzeciw wobec słów Szczepana Twardocha o tym, że na marsze wolnościowe i w obronie praw chodzą emeryci, mający jeszcze nadzieję na poznanie kogoś i przeżycie miłości.
– Jestem przeciwna tej nagrodzie, ale nie za twórczość, lecz wypowiedzi. Bo (Kutz) nauczył mnie konsekwencji w tym, co mówimy i jak mówimy.

Ważne jest też to, co robimy. Mnie wprawdzie swego czasu widok zasłużonego reżysera na Paradzie Równości w przyciasnym podkoszulku z napisem: „Mam dwóch tatusiów" bardziej napawał niesmakiem niż podziwem, ale wypada docenić to, że zaraz potem otrzymał Kazimierz Kutz nagrodę (międzynarodową!) LGBT za „działania na rzecz równouprawnienia osób homoseksualnych". Lata jednak leciały i coraz starszy „twórca zaangażowany" odpuszczał już sobie osobiste uczestnictwo w na przykład silnie zideologizowanych wiecach Komitetu Obrony Demokracji, w czym – jak usłyszeliśmy – dzielnie wyręczała

FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/EAST NEWS

eprasa.pl 4e28c29d7b

go małżonka. A tu Szczepan Twardoch w tekście o tytule zaczerpniętym od Leszka Kołakowskiego „Moje słuszne poglądy na wszystko" tenże Komitet Obrony Demokracji, jak widać – relikwię naszych czasów, podsumował obcesowo: „Aktywizacja seniorów, uniwersytety trzeciego wieku i różne tego typu geriatryczne inicjatywy są oczywiście bardzo potrzebne. To, że ktoś pamięta upadek Konstantynopola i w młodości chadzał w łapciach z łyka, nie znaczy, że ma teraz siedzieć w domu. Na manifestacji albo pielgrzymce można kogoś poznać, może wyniknie z tego jeszcze jakaś piękna, późna miłość w jesieni życia?".

W NIEZGODZIE ZE SOBĄ

Jerzego Illga laury dla Szczepana Twardocha zniesmaczyły z powodów – jak się dowiedzieliśmy – równie, a może jeszcze bardziej zasadniczych. „Uważam – orzekł – że doszło w jakimś stopniu do złamania regulaminu tej nagrody, która mówi, że są nią honorowani twórcy nie tylko za swoje dokonania artystyczne, lecz także za postawę obywatelską i zaangażowanie, które przyczynia się do budowania społeczeństwa demokratycznego i tolerancyjnego – postawę, jaką reprezentował patron tej nagrody. Nie wypowiadam się tutaj o twórczości laureata – zdania na jej temat są podzielone, jedni odbierają ją entuzjastycznie, inni krytycznie. Mój sprzeciw wzbudza jego postawa, którą prezentuje w wypowiedziach, artykułach, wywiadach. Sprowadza się ona do tego, że generalnie Szczepan Twardoch ma w dupie społeczne zaangażowanie, manifestacje i protesty organizowane w obronie zagrożonych praw obywatelskich. Wyszydza te działania, cynicznie przedkładając ponad to swoją »splendid isolation«, ciasny krąg prywatnych przyjemności. Od spraw, którymi żyje Polska, ważniejsze są dla niego boks, szermierka, podróże jachtami, bycie ambasadorem Mercedesa. Zresztą Polskę też ma w tym samym miejscu (nie warto wypominać mu słynnego »Pier.ol się, Polsko!«), bo liczy się dla niego tylko Śląsk. By nie być gołosłownym – dwa cytaty (nie wyrwane z kontekstu, tylko integralnie z nim związane): »Polskie sprawy publiczne są gdzieś daleko w ogonie listy rzeczy, które mnie interesują«. I drugi: »Mam w dupie głosowania w Sejmie. Jestem pisarzem, a nie dziennikarzem na sejmowej galerii. Nie interesuje mnie to […]. Naprawdę wkładam dużo wysiłku w to, żeby nie wiedzieć, co się dzieje wokół mnie«. Nie wnikam w to, na ile ta postawa – a także obsesyjna niechęć do inteligencji – jest efektem kompleksów".

– Owszem, w sprawy Śląska jest zaangażowany – dodał jeszcze Illg – to rzecz oczywista, ale jego stosunek do społeczeństwa obywatelskiego budzi moją niezgodę, ponieważ Kazimierz Kutz, patron nagrody, której Szczepan Twardoch został laureatem, był nie tylko reżyserem i pisarzem, lecz także senatorem, człowiekiem, który sprzeciwiał się złu, był zaangażowany w sprawy społeczne". Już od siebie dodam w tym miejscu, że Anna Dymna, poprzednia laureatka tej samej nagrody, też senatorem (senatorką) nie była.

Zastrzeżenia zgłosili Iwona Świętochowska-Kutz – wdowa po patronie nagrody – i Jerzy Illg, redaktor naczelny wydawnictwa Znak

„Poza tym nie podoba mi się – wyznał Jerzy Illg – stosunek laureata do samego Kazimierza Kutza, z którego niejednokrotnie kpił, uważał za replikę Teofila Ociepki w gorszym wydaniu, krytykował go na spotkaniach autorskich itp. To nie w porządku".

Co na to laureat, który odbierając nagrodę, powiedział m.in., że często się z Kazimierzem Kutzem nie zgadzał, choć wydaje mu się, „że nieraz Kutz też się ze sobą nie zgadzał". Laureat podkreślił, że właśnie moment niezgody jest dla niego niezwykle istotny jako ten, od którego powinien być rozpoczynany proces poprawy rzeczywistości. A już po wszystkim Szczepan Twardoch przypomniał, że tenże Jerzy Illg, jako szef Znaku, zabiegał jakiś czas temu, by przeniósł się ze swymi książkami do kierowanej przez niego oficyny, zainteresowany jednak, jak dotąd, swoje bestsellerowe książki wydaje u lokalnego rywala Znaku czyli w Wydawnictwie Literackim. Ot, taki smaczek spod Wawelu.

KAŻDY Z NICH JEST MNĄ

Nagrodzony został Twardoch za swą ostatnią powieść „Pokora", „wybitne – jak uzasadnił decyzję jurorów prof. Andrzej Gwóźdź – pod względem artystycznym, autentyczne i społecznie doniosłe świadectwo pracy nad śląską pamięcią zbiorową". To na pewno ważna w dorobku tego autora książka, dobrze napisana, jak i inne jego utwory, bo ma Twardoch to do siebie, że pisać potrafi jak mało kto, tyle że, niestety, zdarza mu się także wypowiadać na tematy niekoniecznie związane z problematyką jego książek i, niezależnie od stopnia zamierzonej prowokacji, w której się wyspecjalizował, jest to zazwyczaj stek bzdur. Nie inaczej było jednak z patronem nagrody, którą właśnie pisarz otrzymał. Kazimierzowi Kutzowi też zdarzało się wyreżyserować filmy wybitne czy choćby udane („Perła w koronie", „Śmierć jak kromka chleba", „Zawrócony"), podobnie jak takie, o których lepiej zapomnieć („Tarpany", „Linia", „Znikąd donikąd"), ale realizował się również jako polityk, a w gruncie rzeczy jako trybun Platformy Obywatelskiej i rozmaitych jej odnóg – czy to w postaci Ruchu Palikota, czy wymienianego już tutaj KOD i innych inicjatyw, a jakże, obywatelskich. I to dopiero była zgroza.

Tymczasem Szczepan Twardoch, całkiem rozsądnie, zauważył, i to niedawno, że: „Trybun ludowy nie musi ludu szanować, ale musi go słuchać i rozumieć, dlatego żadnej rewolucji tutaj na razie nie będzie, poza tą, która wydarza się w krainie snów, deklaracji i okładek z nagimi modelkami, dumnie dzierżącymi stadionowe race" (z felietonu „W krainie snu" pomieszczonego w tomie „Wielkie Księstwo Groteski").

Kazimierz Kutz użalał się jednak, że oto na jego oczach „Polska staje się krajem rewanżu i genetycznej nienawiści. Na nich główny ideolog naszego patriotyzmu [czytaj: Jarosław Kaczyński – przyp. K.M.] buduje świadomość narodową". Utyskiwał na „ten nasz paskudny nacjonalizm", który „jak żaden inny w Europie jest zaszczepiony w parafiach. Wszystko rozstrzyga się na ambonie. A ołtarz uświęca złą pamięć". Tego rodzaju odkrycia połączone z deklarowanym libertynizmem do obrazów reżyserowanych przez patrona przyznanej teraz Twardochowi nagrody miały się jak pięść do nosa (o „Milczeniu" nie zapominam).

Powiadał też Kutz o sobie, że jest „człowiekiem z ludu", na starość z ludu tego mocno się jednak wyobcował, wyzywając swoich politycznych przeciwników od „ciemniaków" i „motłochu", rzekomo napuszczanych przez Jarosława

eprasa.pl 4e28c29d7b

Kaczyńskiego na „bogatszych i mądrzejszych". Do której grupy zaliczyć tedy Szczepana Twardocha? Gdyby serio potraktować enuncjacje Illga, pewnie do pierwszej, rzekomo antyinteligenckiej, ale ten sam Illg wyraźnie ma za złe laureatowi jego „prywatne przyjemności", w czym przypomina krytyczkę Kingę Dunin (tę od spopularyzowanych ostatnio „skrzywionych ryjów" Polaków), która już dawno temu podsumowała Twardocha, wyliczając: „Interesują go głównie przedłużenia własn-ego: kasa, sława, udana rodzina, samochód, pływanie na jachcie, eleganckie garnitury".

Co bycie ambasadorem Mercedesa ma wspólnego z jakością „ambasadorskich" książek? A co bohaterowie tych książek z samym autorem? Jak napisał Twardoch w posłowiu do nowego wydania „Wiecznego Grunwaldu": „Nie jestem żadnym z moich bohaterów. Nie jestem Kostkiem Willemannem z »Morfiny«, nie jestem którymkolwiek z bohaterów »Dracha«, nie jestem Jakubem Szapirą, nie jestem wreszcie Aloisem Pokorą, ani jeden z tych bohaterów nie jest też moim porte-parole, jednak każdy z nich jest mną właśnie w tym, co ich łączy, mimo że dzieli ich wszystko inne, każdy z nich jest mną, bo każdy z nich toczy tę walkę, moją walkę o godność".

KIM NIE JESTEŚMY

Bardzo to piękne, ale prawdziwe tak sobie. Alois Pokora, tytułowy bohater nagrodzonej powieści Szczepana Twardocha, Polskę odrzuca, „bo to nie jest poważna sprawa dla poważnych ludzi", co najwyżej jakieś państwo sezonowe. Tatuś bohatera powtarzał, „że Niemcy w ogóle gówno, a Polska jeszcze gorsze gówno", z czym Alojz nawet się nie zgadzał. Ale co mu z tego przyszło, skoro i płaczliwe zapewnienia, że jest Polakiem, nie ocaliły mu życia odebranego, oczywiście, przez tych gównianych Polaków? A wykorzeniony był podwójnie, bo nie tylko narodowo, lecz także jako biologiczny syn miejscowego księdza.

Kazimierz Kutz przy każdej okazji wywodził, jak to niecna Polska wykorzystuje biednych Ślązaków, natomiast autor „Pokory" w zeszłym roku oznajmił, że „nie świętuje 11 listopada", bo „niepodległa Polska nie dała Ślązakom i Górnemu Śląskowi nic dobrego, część Śląska przyłączyła wbrew wynikom demokratycznego plebiscytu, złamała wiele, jeśli nie wszystkie ze złożonych nam obietnic i od stu bez mała lat darzy nas głównie pogardą, niszcząc świadomie i przez zasiedlania naszą tożsamość i język, naszymi zasobami naturalnymi gospodarując tak, jak gospodaruje się w koloniach. Dlatego to nie moje święto. Czy kiedyś stanie się moim, tego nie wiem – to zależy od Rzeczypospolitej i jej polityki".

Szczepan Twardoch do szerzenia demokracji obywatelskiej rozumianej jako maszerowanie w kółko do wtóru skandowanego apelu: „Wypierdalać!" się nie kwapił, w końcu jednak się przełamał i w zeszłym roku zaszczycił swoją osobą spęd LGBT

Nie zważając na te słowa, prof. Ryszard Koziołek, rektor Uniwersytetu Śląskiego, literaturoznawca zresztą, twierdzi, że: „Trzech jest pisarzy Ślązaków, artystów, którzy narzucili Polakom Śląsk jako temat, problem, kwestię poprzez swoje dzieła. To Gustaw Morcinek, Kazimierz Kutz i Szczepan Twardoch. I wszyscy, którzy piszą czy myślą o Śląsku z perspektywy ogólnopolskiej, europejskiej czy światowej, muszą odnieść się do tych trzech pisarzy, a w przypadku Kutza mówmy tu nie tylko o pisarzu, lecz także twórcy, którego spektrum działań wykracza poza jeden obszar sztuki. Póki co tych troje jest punktem odniesienia, jeśli chodzi o tematykę Śląska. Wnieśli oni Śląsk do polskiego uniwersum symbolicznego. A to udaje się jedynie twórcom wybitnym".

Mój Boże, a cóż to za egzotyczna triada? Z „roztomiłym Gustliczkiem", rzeczywiście zasłużonym dla Śląska, Cieszyńskiego zwłaszcza, po wojnie wsławionym słowami wypowiedzianymi z trybuny sejmowej po śmierci przywódcy miłującej pokój ludzkości, Józefa Wissarionowicza Stalina: „Lud śląski – serce przemysłu Polski – pragnie, by przemianować Katowice na Stalinogród". Słowa te stały się ciałem, na szczęście nie na długo.

Kazimierz Kutz, syn powstańca śląskiego Franciszka Kuca, w 1994 r. wyreżyserował film „Śmierć jak kromka chleba", martyrologiczną opowieść o pacyfikacji kopalni Wujek, którą – jak wielokrotnie powiadał – był winny Ślązakom, co jednak nie przeszkadzało mu, też wielokrotnie, przekonywać, że gdyby nie stan wojenny, byłoby znacznie gorzej, a komunistyczni generałowie uratowaliby nas przed bratobójczą wojną. Ten zwycięzca plebiscytu „Gazety Wyborczej" na najwybitniejszego żyjącego Ślązaka wspierał też – bywało – Ruch Autonomii Śląska. „Autonomia nie jest przestępstwem – przekonywał. – Umniejsza tylko władzę państwa na korzyść demokracji obywatelskiej".

Szczepan Twardoch do szerzenia demokracji obywatelskiej rozumianej jako maszerowanie w kółko do wtóru skandowanego apelu: „Wypierdalać!" się nie kwapił, w końcu jednak się przełamał i w zeszłym roku zaszczycił swoją osobą spęd LGBT, który odbył się w Krakowie. Z właściwą sobie nonszalancją oznajmił wówczas, że dotąd na manifestacje nie chodził, a teraz poszedł. Niestety, jak się okazało, za późno!

Gdyby autor „Pokory" rzucał zgniłymi jajami w Jarosława Kaczyńskiego czy choćby prezydenta Dudę, zachwycał się platformerstwem i robił w TVN za eksperta od spraw wszelakich, nie tylko na Nagrodę im. Kazimiera Kutza by zapracował, lecz także należałby już do żelaznych kandydatów do Nobla, rokrocznie wymienianych przez „Gazetę Wyborczą" jako murowanych pewniaków do tego najwyższego literackiego wyróżnienia. A statuetki Nike mógłby kolekcjonować. Że jest jednak inaczej, musi w worku pokutnym pochodzić jeszcze trochę, bo i grzechy prawicowej młodości trzeba odpokutować.

O Kazimierzu Kutzu, obecnej ikonie antypisu, dla niepoznaki demokracją zwanego, Tadeusz Konwicki napisał kiedyś: „Moczarowcy potrzebowali jakiegoś symbolu w filmie, jakiegoś chrześcijanina skrzywdzonego przez Żydów. Człowieka z ludu, którego wykończyła czy uniemożliwiła mu karierę warszawka. Kazio został przez nich wyniesiony na rękach". Przez całe lata reżyser „Pułkownika Kwiatkowskiego" (skądinąd rozliczającego się z samym Moczarem) miotał jako Ślązak pioruny na warszawkę, usilnie dbając o swoją pozycję w tejże warszawce. Szczepan Twardoch idzie nawet dalej, odcinając się i od warszawki, i od Warszawy, od Polski wreszcie. W tekście „Święto Wojska Polskiego w Katowicach" rzecz ujął następująco: „Nawet jeśli nie wiemy, kim jesteśmy, to moglibyśmy pamiętać, kim nie jesteśmy".

Nie mają racji krytycy decyzji przyznającej prozaikowi z Pilchowic Nagrodę im. Kazimierza Kutza. Należała mu się jak żadna inna. Jak psu buda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Narodowy Bank Polski informuje:

NBP chce silnego złotego

W wypowiedzi dla agencji PAP (2.02.2022) Prezes NBP prof. Adam Glapiński stwierdził, że „[…] W obecnej sytuacji **gospodarczej umocnienie złotego byłoby spójne z zacieśnianiem polityki pieniężnej, którego dokonujemy i wspierałoby obniżenie inflacji”.** Dodał, że wahania nastrojów na międzynarodowych rynkach finansowych wpływają na poziom kursu naszej waluty, szczególnie groźba agresji Rosji na Ukrainę, jednak „[…] fundamenty polskiej gospodarki są tak silne, że i w takiej hipotetycznej sytuacji nasz wzrost gospodarczy byłby szybki, a gospodarka zrównoważona”.

Odpowiadając na pytania agencji Bloomberg (1.02.2022), Prezes NBP wskazał, że „Opublikowane właśnie wstępne szacunki PKB za 2021 r., a także dane za ostatnie miesiące potwierdzają, że **mamy w Polsce silne ożywienie aktywności gospodarczej.** Przypomnę, że wzrost PKB w całym ubiegłym roku jest szacowany przez GUS na 5,7%. To oznacza przyspieszenie rocznej dynamiki PKB w IV kwartale w okolice 7%, a więc znakomite wyniki. Do tego **mamy bardzo dobre dane z rynku pracy, w tym niskie bezrobocie i silny wzrost płac.** […] Aprecjacja kursu wspierałaby zacieśnienie monetarne i byłaby spójna z kierunkiem działań banku centralnego. Jednocześnie jednak na kurs walutowy wpływają obecnie czynniki zewnętrzne, jak choćby sygnalizowane zacieśnienie polityki pieniężnej w Stanach Zjednoczonych czy utrzymujące się napięcia geopolityczne na linii Rosja-Ukraina”.

Odpowiadając na pytania agencji Reuters (31.01.2022) dotyczące kursu naszej waluty, Prezes NBP zapewnił w imieniu Narodowego Banku Polskiego, że „[…] **gdyby sytuacja na Wschodzie się pogarszała, to mamy narzędzia, aby wspierać polską gospodarkę i polską walutę”.**

Kurs złotego jest całkowicie wolny i płynny

Podczas konferencji prasowej (5.01.2022) Prezes NBP przypomniał, że „Narodowy Bank Polski […] przyjął wiele lat temu płynny kurs złotego. […] Możemy sobie na to pozwolić, bo jesteśmy silną, nie najmniejszą gospodarką […]”. „[…] Jako Narodowy Bank Polski zastrzegamy sobie prawo w założeniach polityki pieniężnej do prowadzenia interwencji na rynku walutowym, ograniczonych interwencji, o ile uzasadniają to warunki rynkowe. […] To jest standardowa polityka stosowana przez wiele banków na świecie, w tych małych, szczególnie otwartych gospodarkach […]” – wyjaśnił Prezes NBP (3.12.2021).

Działania NBP są korzystne dla polskiej waluty

W wywiadzie dla „Hungarian Business Daily” (16.11.2021) Prezes NBP podsumował: „[…] nie ma wątpliwości, że **działania NBP są korzystne dla polskiego złotego.** […] NBP przyczynia się do tworzenia atrakcyjnych i stabilnych warunków dla realizacji średnio- i długoterminowych projektów inwestycyjnych”.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 4e28c29d7b

Koszmar biurowy

Piotr Gociek

Czarna komedia, dystopia, thriller, gorzka antykorporacyjna satyra – „Rozdzielenie" to opowieść mądra i bardzo niepokojąca

Znamy ten problem nie tylko z powieści czy seriali kryminalnych, gdzie dyżurną figurą jest detektyw twardy i niewzruszony w pracy, acz zagubiony w życiu prywatnym. Z podobnym kłopotem borykają się lekarze, prokuratorzy, strażacy – wszyscy ci, którym zdarza się w pracy zetknąć z rzeczami ekstremalnymi. Jak oddzielić to wszystko – okaleczone ofiary morderstw, pacjentów umierających na stole, zwęglone zwłoki – od tego, co się dzieje w domu? Jeszcze przed momentem było się świadkiem przerażających rzeczy, teraz trzeba wrócić do siebie, uśmiechać się od progu, sprawdzać dzieciom lekcje, przytulić żonę, śmiać się podczas wieczornego oglądania telewizji. Zdusić w sobie wszystko. Nie przynosić pracy do domu.

„Rozdzielenie" („Severance"), nowy serial Apple TV+, bierze się do problemu podobnego, ale pokazuje go z innego punktu widzenia. I proponuje radykalne rozwiązanie.

Czego oczekuje od nas pracodawca? Abyśmy byli idealnym pracownikiem: pilnym, pracowitym, posłusznym. Żebyśmy nie marnowali czasu, który zdaniem firmy w całości do niej należy. Chore dzieci, umierający rodzice, bezrobotna żona, rak ciotki, wypadek wujka… A cóż to obchodzi przełożonych, którzy przed własnymi przełożonymi muszą wykazać się odpowiednią wydajnością personelu, którym zarządzają? Płacimy ci za pracę, a nie za twoje problemy – mało kto usłyszy to wprost, ale wiemy, że tak naprawdę tabliczka z podobnym hasłem powinna wisieć przed wejściem do biura każdej firmy na świecie.

Ludzie, jak wiadomo, są jednak istotami nieznośnie ludzkimi, więc targają ze sobą wszędzie swój ludzki bagaż. Uśmiechają się do ustawionych na biurku zdjęć dzieciaków, rozpamiętują miłosne klęski i podboje, martwią się tym, co u rodziców albo co powie lekarz podczas następnego spotkania. (Aż przypomina się stary rysunkowy dowcip Mleczki – groźny szef mówi do zasmarkanego podwładnego: „Jak to, jesteście chorzy, mimo że wyraźnie życzyłem wam dobrego zdrowia?").

DWIE OSOBY, JEDNO CIAŁO

Tutaj w sukurs szefom przychodzi procedura rozdzielenia. Spójrzmy na głównego bohatera serialu – jeszcze przed chwilą widzieliśmy go zapłakanego i w depresji, ale już kilka chwil po wejściu do biurowego labiryntu uśmiecha się, spojrzenie ma spokojne, idzie pewnie, jak zdobywca. Mark Scout (w tej roli Adam Scott) pracuje w tajemniczej i potężnej korporacji Lumon Industries, a swoją firmową pewność zawdzięcza właśnie „rozdzieleniu". Niewiele wiemy o szczegółach tego zabiegu (na razie dostępne są trzy odcinki serialu) – dokonuje się go chirurgicznie, do mózgu trafia maleńka ampułka z metalowymi wąsami i już, gotowe. Oraz nieodwracalne. Co? Separacja naszych wspomnień, ostateczne rozdzielenie życia prywatnego i biurowego.

Mark Scout jest więc de facto dwoma różnymi osobami w jednym ciele. Pierwsza mieszka w niewielkim domku na przedmieściach i pamięta tylko to, co wydarzyło się między chwilą, w której wychodzi z pracy, a chwilą, w której do pracy powróci. Druga świadoma jest od momentu przekroczenia progu sekretnego podziemnego piętra Lumon Industries do chwili, kiedy kończy swoją ośmiogodzinną szychtę. Brzmi to ciekawie, może nawet intrygująco lub pociągająco, ale szybko odkrywamy, że takie życie to koszmar, podwójny koszmar. Nawet gdy chcemy od czegoś uciec, wyzwolenie daje nam zarówno świadomość tego, od czego uciekamy, jak i doświadczanie czegoś innego, nowego. Obydwie połówki Marka są tego luksusu pozbawione. Dla biurowej

eprasa.pl 4e28c29d7b

wersji bohatera serialu całe życie, cały wszechświat zamykają się w firmowej przestrzeni, między biurkami, szafkami, maszyną z przekąskami i wąską grupką współpracowników. Dla domowego Marka życie to tylko spanie, jedzenie, konwersacja z siostrą i alkohol. Dużo alkoholu.

Dwa osobne życia czy raczej półżycia. Ale idźmy dalej: poznajesz kogoś, nawiązujesz przyjaźń, może nawet się zakochujesz. Przechodząc granicę zapomnienia między światami, pozostawiasz wszystkie wspomnienia i uczucia po tamtej stronie. Po drugiej możesz polubić czy pokochać kogoś zupełnie innego, nie mając świadomości, że w „tamtym życiu" jesteś w innej relacji. Co więcej – ludzie, z którymi pracujesz, podobnie jak ty pozbawieni są wiedzy na temat tego, gdzie żyją i co robią poza biurem. Być może twój najlepszy kumpel z firmy jest po drugiej stronie twoim największym wrogiem, a może miłość twego życia w tym innym świecie nie wie nawet, że istniejesz. Jedna z najbardziej wzruszających scen w serialu to ta, w której jeden z biurowych współpracowników Marka opowiada, jak wyobraża sobie siebie w tym drugim życiu.

NIEPOKOJĄCE PYTANIA

Pomysł, na którym oparto „Rozdzielenie", jest genialny w swej prostocie, a metafora czytelna. Sprawdziłby się jako film krótkometrażowy, sprawdziłby się jako film kinowy. Żyjemy jednak w czasach seryjnych przyjemności, więc do znakomitego pomysłu trzeba było dodać fabułę na tyle długą, by dało się ją rozpisać na cały sezon. Metafora zmienia się więc w thriller. W biurze Marka pojawia się nowa pracowniczka, Helly (Britt Lower), która uważa, że popełniła błąd, i która za wszelką cenę chce rozdzielone życie porzucić. Jej poprzednik zniknął – chory, awansowany, umarł – nigdy tego wiedzieć nie będą. Z wyjątkiem Marka, bo jemu Petey (Yul Vasquez), dawny przyjaciel (jak mówi, „najlepszy przyjaciel"), niespodziewanie objawia się po drugiej stronie, czyli poza biurem. Dla Marka to oczywiście zupełnie obcy facet, który dosiada się do niego w restauracji i opowiada herezje: że się świetnie znają, że procedurę rozdzielenia można jednak cofnąć i – co najważniejsze – że wszystko, co wiedzą o działalności Lumon Industries, nie jest prawdą.

Paranoiczny koszmar biurowy zamienia się w paranoiczny thriller spiskowy. Widz jest mądrzejszy od bohatera, bo ogląda na ekranie obydwie połówki życia Marka Scouta. Szybko więc dostrzeże mnóstwo niepokojących sygnałów. Zacznijmy od części biurowej – pracownicy sortują dane na ekranach dziwnie archaicznych komputerów, nieświadomi, czemu ten wysiłek służy. Za sukcesy nagradzani są banalnymi drobiazgami, ale kiedy coś przeskrobią, trafiają do „break roomu", którego nazwa jest dwuznaczna: niby „pokój odpoczynku", ale przecież „break" to także łamać. Duszę? Ciało? Tego na razie nie wiemy, ale są powody, by przypuszczać, że może to być coś równie mrocznego jak pokój numer 101 w Ministerstwie Miłości, gdzie łamano Winstona Smitha, bohatera powieści Orwella „Rok 1984". Dziwne sesje terapeutyczne przeprowadzane w ramach nagradzania wyróżniających się pracowników także winny budzić niepokój, ich forma jest mocno nietypowa.

Biurowe partie „Rozdzielenia" są znakomite, widzom udziela się chora atmosfera biura/więzienia/obozu/pracy/miejsca eksperymentu (każde wytłumaczenie na razie jest uprawnione).

Po drugiej stronie sprawy nie wyglądają lepiej. Zadziwiająco wielu pracowników Lumon Industries mieszka w osiedlu domków zbudowanych przez firmę. Czy i w jaki sposób są kontrolowani? Jak dobiera się kandydatów do pracy? Jakie muszą mieć talenty? Jakie właściwie są owoce działania korporacji w prawdziwym świecie? Co produkuje? Czym handluje? No i wreszcie podstawowa sprawa: Jaki długotrwały efekt będzie miało owo chirurgiczne rozdzielenie? Czy ludzki umysł jest to w stanie wytrzymać? Z rozsianych w różnych miejscach tropów wnioskować można, że przydatność pracownika (niewolnika?) Lumon Industries kończy się po kilku latach. Co się z nimi dzieje? Dokąd trafi kolega zza biurka, starzejący się maruda grany przez Johna Turturro, gdy jego drzemki nad klawiaturą staną się normą, a nie wyjątkiem? Dlaczego, gdy tylko przyśnie, śnią mu się koszmary?

★★★★★☆
SEZON 1
„ROZDZIELENIE" („SEVERANCE")
USA 2022

wyst. Adam Scott, Britt Lower, John Turturro, Apple TV+

UDANE DZIEŁO DEBIUTANTA

„Rozdzielenie" to jeden z najlepszych seriali, jakie powstały w ostatnich miesiącach, opowieść pełna pytań bez odpowiedzi (miejmy nadzieję – tylko na razie), czarna satyra, dystopia biurowa, thriller. Zadziwiające jest to, że to dzieło debiutanta. Dan Erickson, twórca serialu i jego scenarzysta, debiutuje nim w Hollywood. Jako inspiracje wskazuje „Czekając na Godota" Becketta, „Brazil" Terry'ego Gilliama, „Matrix", filmy Charliego Kaufmana. Mnie smutek krainy zamieszkiwanej przez bohaterów „Rozdzielenia" przypomina nastrój debiutanckiej powieści Kurta Vonneguta „Pianola".

Współproducentem i reżyserem wybranych odcinków jest Ben Stiller, wielka gwiazda amerykańskiej komedii, a na ekranie pojawiają się w pomniejszych rolach m.in. Patricia Arquette i Christopher Walken. Efekt jest godny uwagi. Kilka tygodni temu, podczas zorganizowanego przez Television Critics Association internetowego panelu, Ben Stiller stwierdził, że finał pierwszego sezonu pozostawi w widzach wielką ochotę na ciąg dalszy. Dan Erikson dodał, że szykuje sezon drugi, choć początkowo przekonany był, że to pomysł na film lub miniserial. Czekam na efekty z nadzieją i niepokojem. Nadzieją, bo „Rozdzielenie" warte jest naszej uwagi. Z niepokojem, bo nawet najlepsze pomysły nadmiernie rozciągnięte szybko tracą swój urok.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Polska dopłaca do unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji

Nie ustaje dyskusja na temat sprawiedliwości unijnego systemu ETS, czyli handlu uprawnieniami do emisji CO_2. Słuszna w założeniu idea w obecnej formie sprawia, że kraje, w których występuje deficyt uprawnień, płacą za nie do budżetów państw dysponujących ich nadwyżką, również tych, które mają już za sobą kosztowne inwestycje w zieloną energię

Unijny system handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS) to najważniejszy element polityki Unii Europejskiej na rzecz walki ze zmianą klimatu, a także podstawowe narzędzie do zmniejszania emisji gazów cieplarnianych. Jest jednocześnie pierwszym i największym na świecie rynkiem uprawnień do emisji dwutlenku węgla. Rynkiem, który wypacza występująca w nim nierównowaga.

Środki ze sprzedaży uprawnień do emisji CO_2 trafiają, zgodnie z założeniami, do budżetów państw członkowskich. Problem w tym, że niekoniecznie do budżetu tego państwa, w którym opłacona tona dwutlenku węgla została wyemitowana. Rynek handlu emisjami nie ma bowiem ograniczeń w ramach Unii Europejskiej.

Z danych Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami wynika, że latach 2008–2020 nadwyżka na rynku uprawnień do emisji CO_2 wyniosła w całej Unii łącznie 753,92 mln sztuk. Ich największymi dysponentami były Rumunia (312 mln uprawień), Francja (302 mln) i Hiszpania (230 mln). Na drugim biegunie znalazły się Niemcy z deficytem na poziomie 666 mln, Polska (238 mln) i Holandia (72 mln).

Oznacza to, że niektóre kraje, w tym Polska, wyemitowały więcej CO_2, niż wynikało z przyznanych uprawnień, a te brakujące należało kupić. Część wydanych na ten cel środków trafiła nie do budżetów tych państw, tylko do tych, które mogły wykazać się nadwyżkami. Właśnie w taki sposób pieniądze z polskich elektrowni kupujących uprawnienia do emisji CO_2 mogą zasilić bezpośrednio budżety np. Francji.

CIĘŻAR DEFICYTU

Wróćmy na chwilę do założeń systemu ETS. Zgodnie z początkową ideą środki pozyskiwane w ramach handlu emisjami miały wspierać zieloną transformację energetyki, czyli przejście w kierunku niskoemisyjnych i zeroemisyjnych źródeł energii. Jego działanie ma dwojaki charakter. Z jednej strony cel miał być osiągany poprzez zapewnianie wspomnianych środków, a z drugiej przez zniechęcanie do dalszego korzystania z energii wysokoemisyjnej poprzez zwiększanie kosztów emisji CO_2.

Ten rodzaj bata działa, bo 300-procentowy wzrost kosztów uprawnień na przestrzeni ostatnich 12 miesięcy to skuteczna mobilizacja do inwestycji w odnawialne źródła energii (OZE), ale też zmuszanie do oszczędności energii zarówno przedsiębiorstw, jak i zwykłych konsumentów. Gorzej z tym pierwszym założeniem, bo środki

eprasa.pl 4e28c29d7b

z handlu zamiast całkowicie wspierać transformacje w krajach, które są jeszcze na początku tej drogi, mogą trafiać do krajów, które tę drogę już w dużej mierze przebyły.

Bardziej od nas zamożne kraje, takie jak Niemcy i Holandia, nie odczuwają aż tak dotkliwie tego problemu. Mimo znacznych deficytów uprawnień nadal stać je na realizację unijnych celów w kwestii redukcji emisji CO_2. Dla Polski taki deficyt jest już jednak znacznie większym ciężarem.

POLSKA CHCE OZE

Spójrzmy na rozwój OZE w Polsce na przestrzeni ostatnich 15 lat. Łączna moc pochodząca z tych źródeł wzrosła w tym czasie dziesięciokrotnie do 10,5 tys. MW osiągniętych w połowie 2021 r., z czego aż 4,5 tys. MW to wzrost zanotowany od 2014 r. Dane te wyraźnie pokazują, że OZE w Polsce rozwija się dynamicznie, i rokują, iż ten rozwój będzie postępował. Udział odnawialnych źródeł w ogólnej energetyce mógłby być jednak obecnie jeszcze większy, gdyby całość środków z zakupów uprawnień do emisji przez polskie firmy trafiała do polskiego budżetu, a następnie na wsparcie zielonej transformacji.

Jak wskazują eksperci Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej (PKEE), to właśnie w ostatnich latach deficyt uprawnień na naszym rynku jest największy. Nie licząc pierwszego roku pandemii, od 2013 r. polska gospodarka każdego roku potrzebuje coraz więcej uprawnień, niż dysponuje nimi państwo. Rekordowy pod tym względem był rok 2016. Polskie podmioty musiały wówczas pozyskać aż 87,5 mln uprawnień. Ich cena wynosiła wówczas 6 euro za tonę wyemitowanego CO_2. W grę wchodziły więc olbrzymie kwoty, jednak są one niczym w porównaniu z dniem dzisiejszym, gdy za tę samą tonę w styczniu tego roku trzeba już zapłacić 90 euro.

Z raportu Instytutu Ekonomii Energii i Analiz Finansowych wynika, że odejście od węgla w energetyce do 2030 r. pozwoliłoby Polsce zaoszczędzić co najmniej 141 mld euro. To jednak wciąż perspektywa odległa, tymczasem problem nierówności systemu ETS dla państw w okresie transformacji energetycznej istnieje tu i teraz.

KOSZTOWNA PRODUKCJA ENERGII

Wspomniane drastyczne podwyżki doprowadziły do sytuacji, w której obecnie aż 59 proc. kosztów produkcji energii elektrycznej w Polsce stanowią koszty zakupu uprawnień do emisji. Tylko 25 proc. to tzw. pozostałe koszty związane z produkcją energii. Kolejne 8 proc. to koszty OZE i efektywności energetycznej, które również mają bezpośredni związek z polityką klimatyczną Unii Europejskiej. 6 proc. to koszty własne sprzedawców energii, takie jak obsługa klienta czy zatrudnienie pracowników. Ostatnie dwie składowe to: marża sprzedawców energii, która wynosi 1 proc., i akcyza, która została czasowo obniżona przez rząd dla gospodarstw domowych do zera.

Eksperci PKEE zwracają uwagę, że to drożejąca emisja CO_2 jest główną przyczyną wzrostu cen energii, który obecnie dotyka zarówno polskie firmy, jak i gospodarstwa domowe. Wysokie koszty emisji pobudzają również nienaturalny wzrost ceny na giełdach energii i są odczuwalne w całej Europie. Nie tylko w krajach, w których energetyka oparta jest na węglu, lecz także nawet w najmniej emisyjnych gospodarkach, gdzie źródła takie jak atom i OZE dominują w miksie energetycznym.

SYSTEM DO ZMIANY

Polski rząd nie neguje samego faktu konieczności transformacji energetycznej, ale zdecydowanie negatywnie ocenia sposób, w jaki działa system EU ETS. Od 2020 r. przedstawiciele naszych władz zwracają uwagę na panującą nierównowagę, a na początku stycznia Polska złożyła do KE wniosek o kompleksową reformę obecnego systemu.

„Obecna koncepcja unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS) jest błędna. Zamiast służyć zrównoważonej i sprawiedliwej polityce klimatycznej, handel emisjami CO_2 stał się narzędziem spekulacji" – pisał premier Mateusz Morawiecki w tekście opublikowanym w styczniu na portalu euractiv.com.

„Wzrost cen wymyka się spod kontroli i uderza w domowe budżety obywateli UE. Zagraża bezpieczeństwu finansowemu zwykłych ludzi, którzy już ucierpieli w wyniku pandemii. Przede wszystkim podważa zaufanie obywateli do koncepcji polityki klimatycznej UE" – podkreślał premier polskiego rządu.

Na razie problem został jedynie dostrzeżony na poziomie Rady Europejskiej. Zdecydowano jednak, że temat zostanie podjęty w ramach przyszłego ustawodawstwa. Musimy więc wciąż czekać, a tymczasem rachunki za energię uderzają po naszych kieszeniach każdego miesiąca. Więcej o kształtowaniu się cen energii, a także o sposobach na oszczędności możemy przeczytać na przygotowanej przez PKEE stronie liczysieenergia.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Serce generała

★★★★☆☆

SEZON 2
„SIŁY KOSMICZNE" („SPACE FORCE")
USA 2022

wyst. Steve Carell, John Malkovich

W finale pierwszego sezonu „Sił Kosmicznych" gen. Naird i jego podwładni ocalili świat przed wybuchem wojny amerykańsko-chińskiej oraz ocalili astronautów, którym groziła śmierć na Księżycu. Stało się to jednak kosztem niewykonania rozkazów. W prawdziwym świecie skończyłoby się sądem i więzieniem, ale jako że to serial komediowy, Naird ucieknie spod topora. Co dalej, zwłaszcza że Pentagon obciął budżet o połowę, misję marsjańską trzeba będzie zamknąć, a w dodatku na stanowisko generała mają chrapkę inni, z dużo lepszymi koneksjami w Waszyngtonie?

Serial wymyślony przez Grega Danielsa i Steve'a Carella zadebiutował w maju 2020 r., teraz przyszła pora na sezon drugi (krótszy – zaledwie siedem odcinków). W pierwszych odcinkach twórcy mieli kłopot z odnalezieniem właściwego tonu, nie wiedząc, czy ma to być satyra na armię, ambicje Trumpa, kpina z naukowców, komediowy thriller szpiegowski czy może coś jeszcze innego. Drugi sezon przynosi odpowiedź: to workplace comedy. Służbowe i prywatne perypetie grona bohaterów, których zdążyliśmy już polubić, stają się ważniejsze od wątków politycznych, szpiegowskich czy wojskowych.

Opinie na temat „Sił Kosmicznych" są podzielone, we mnie gromada dziwaków służących pod Nairdem wzbudziła natychmiastową sympatię. Jest tu zadufany w sobie i genialny naukowiec (John Malkovich), jest pierwsza czarnoskóra astronautka na Księżycu (Tawny Newsome), która nie potrafi znaleźć sobie miejsca po powrocie na Ziemię, jest mistrz spinu i szef działu PR (niezawodny Ben Schwartz), jest wreszcie zagubiona w tym wszystkim córka generała (Diana Silvers, która nie zdecydowała jeszcze, czy chce być drugą Anne Hathaway czy następną Liv Tyler). No i jest przede wszystkim sam gen. Naird, grany przez Steve'a Carella, jeden z najsympatyczniejszych wojaków, jakich mieliśmy okazję zobaczyć na małym i dużym ekranie. Może nie ma zbyt głębokiej wiedzy, może za często częstuje nas absurdalnymi porównaniami, ale to przede wszystkim człowiek uczciwy i prawy. Serce też ma we właściwym miejscu. ©℗

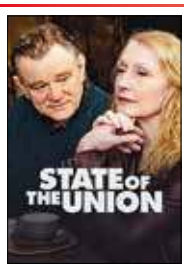

NOWE SERIALE: „STATUS ZWIĄZKU"

Drugi sezon antologii o nietypowym formacie. Odcinki są krótkie (9–10 minut), całość składa się w coś na kształt epizodycznego filmu fabularnego. Za scenariusz odpowiada autor bestsellerów Nick Hornby, za reżyserię Stephen Frears („Niebezpieczne związki"). Sezon drugi to rozmowy małżonków po sześćdziesiątce – w ich role wcielają się Brendan Gleeson i Patricia Clarkson. Aktorska robota przednia, rytm opowieści zgrabny, ale ładunek ideologicznej perswazji nie do zniesienia. Obiektem potępienia jest oczywiście biały, mięsożerny i heteroseksualny Amerykanin. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***sezon 2 „Status związku", Wielka Brytania 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 ***„Wikingowie: Walhalla" („Vikings: Valhalla")***, Kanada/USA 2022
- sezon 4 ***„Obsesja Eve" („Killing Eve IV")***, Wielka Brytania 2022
- miniserial ***„Podejrzane" („The Unusual Suspects")***, Australia 2021

eprasa.pl 4e28c29d7b

Pułapka na profesora

KINO

Trzy nowele, śmiałe jak na wyobrażenie, jakie mamy o Japończykach – zawsze uprzejmych, skrytych i akuratnych. Jak się okazuje, pod twardą skorupą płonie ogień emocji oraz żądz, których nawet 100 lat nie wyziębi. Rodaczki Yoko Ono potrafią „myśleć i działać poza granicami zdrowego rozsądku". Czy im się to jednak opłaca? Meiko, słuchając zwierzeń przyjaciółki zauroczonej poznanym w pracy mężczyzną, zaczyna jej zazdrościć. Nao na prośbę kochanka próbuje skompromitować wykładowcę. Natsuko przyjeżdża na zjazd absolwentów, by po 20 latach szczerze porozmawiać z niegdysiejszym obiektem miłosnych pragnień. Już z tej wyliczanki widać, że film eksploatuje kobiecy punkt widzenia. I całe szczęście, gdyż pojawiający się przed kamerą panowie są bierni, wredni lub w najlepszym wypadku pocieszni, jak ów pisarz, który w środku książki umieścił scenę wysoce perwersyjną, licząc, że dzięki temu ludzie przeczytają powieść do końca. Reżyser dopuścił się wykroczenia znacznie poważniejszego. Zamiast polegać na sile obrazu, zawierzył potędze słowa.

★★★★☆☆

REŻ. RYÛSUKE HAMAGUCHI
„W PĘTLI RYZYKA I FANTAZJI" („GÛZEN TO SÔZÔ")
JAPONIA 2020

wyst. Kotone Furukawa, Katsuki Mor, Fusako Urabe

Mimochodem zadał też kłam opinii, że mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni są zamerykanizowani do imentu. Gdyby tak było, bohaterki przed podjęciem każdej ważniejszej decyzji truchtałyby do gabinetu psychoterapeuty i Ryûsuke Hamaguchi nie miałby, o czym kręcić filmów. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LISBON STORY

TVP VOD

Szwajcarski belfer rzuca wszystko, by podążyć tropem autora książki, wydanej przed 40 laty w Lizbonie. Niegdysiejsi znajomi „złotnika słów" otwierają serca przed wścibskim cudzoziemcem, wspominając czasy, gdy ojczyzna jęczała w okowach dyktatury, młodzi ludzie zaś, otumanieni lekturą dzieł Marksa i Sartre'a oraz zapachem goździków, marzyli o rewolucji. Aktorska międzynarodówka (z symbolicznym udziałem Portugalczyków) stara się uwiarygodnić dziwactwa fabuły. Film dobrze oddaje dwoistą naturę powieści Paula Merciera, pozornie wyrafinowanej w formie i treści, lecz w gruncie rzeczy banalnej. Powielaniu melodramatycznych schematów towarzyszy nostalgia za epoką, w której idealistów nikt nie oskarżał o naiwność, a życie było „pełniejsze". Taki literacki retropop w stylu Zafona, podlany pseudofilozoficznym sosem à la Coelho, ma wielu amatorów, więc życzę im smacznego.

★★★★★☆

REŻ. BILLE AUGUST
„NOCNY POCIĄG DO LIZBONY" („NIGHT TRAIN TO LISBON")
NIEMCY/ PORTUGALIA/ SZWAJCARIA 2013

wyst. Jeremy Irons, Jack Huston, Mélanie Laurent

W IMIĘ DZIECKA

KINO

Nie minęło nawet pięć lat i „Mon garçon" („Mój synek") przepoczwarzył się w „Mojego syna". Reżyser ten sam, powtórzono też zabieg, który miał odróżnić francuski dreszczowiec od podobnych mu produkcji. Odtwórca głównej roli, pozbawiony dostępu do scenariusza, znowu musiał improwizować. Najbardziej zmieniła się sceneria. Góry Kaledońskie nie dorównują Alpom wysokością, są jednak bardziej posępne, zwłaszcza po sezonie turystycznym. Gdy w takich okolicznościach przyrody znika bez śladu siedmioletni Ethan, trudno być optymistą. W przypadku kidnapingu czas jest czynnikiem kluczowym, więc zdesperowany ojciec wszczyna prywatne śledztwo. Drżyjcie, podejrzani! Za pierwszym razem ciężar fabuły dźwigał na swych barkach Guillaume Canet i efekt był średni. James McAvoy może i nie jest najlepszym aktorem w Zjednoczonym Królestwie, wzrostem ustępuje Canetowi o całe 10 cm, ale kamera i tak go kocha. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. CHRISTIAN CARION
„MÓJ SYN" („MY SON")
FRANCJA/WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. James McAvoy, Claire Foy, Gary Lewis

GRA TYGODNIA: „TOTAL WAR: WARHAMMER 3" ★★★★★☆

Wszystko, co najlepsze w serii „Total War" w połączeniu z klimatem „Warhammera", który czuć od pierwszej do ostatniej minuty rozgrywki. Z klimatem cięższym niż w poprzedniej części (akcja toczy się albo w spaczonych zakątkach świata, albo na nieprzyjaznych ziemiach, gdzie śnieg nie topnieje), większym światem i nowymi frakcjami oraz nowymi możliwościami podczas bitew (które w dodatku mają jeszcze większy rozmach) i licznymi, acz drobniejszymi usprawnieniami. A na horyzoncie jest już DLC. Czy oprawa wizualna mogłaby być lepsza? Owszem. Czy zdarzają się psujące trochę krwi potknięcia techniczne? Tak. Ale te nieliczne „plusy ujemne" nie przysłaniają tych „dodatnich". ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor PL:*** *Creative Assembly, Cenega*

eprasa.pl 4e28c29d7b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zapoznan(ń)e piękno

Trudno w to dziś uwierzyć, ale przez lata secesja w sztuce, a więc i w architekturze traktowana była jako przejaw złego smaku, uznawano ją – pisze współautor wydanego właśnie albumu „Secesja w Poznaniu" Jan Skuratowicz – „za niemal chory wytwór dekadenckiego przełomu wieków". Ten lekceważący i w gruncie rzeczy barbarzyński stosunek do historii, w tym wypadku historii sztuki, prowadził w Poznaniu do – czytamy – „niszczenia dekoracji kamienic, które traciły swą tożsamość i urodę. Od roku 1977 styl ten podlega ochronie konserwatorskiej, ale czy przekłada się to na rzeczywistą poprawę stanu secesyjnych obiektów i dekoracji? Chyba nie, o czym świadczą smutne przykłady między innymi upstrzonych reklamami elewacji pięknych kamienic przy ulicy Roosevelta, wymieniane masowo na plastikowe wspaniałe okna, resztki witraży straszących w rzekomo odremontowanych sieniach czy niszczone przez nieznajomość rzemiosła znakomite, wielopłaszczyznowe tynki charakterystyczne dla tej epoki".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JANA SKURATOWICZA

Poznańska secesja wzięła się z Niemiec. To polskie miasto w wyniku rozbiorów wcielone zostało do Prus, stając się twierdzą, której fortyfikacje wstrzymywały naturalny rozwój miasta. Paradoksalnie to tragiczna w skutkach wielka powódź z 1888 r. otworzyła Poznań, ożywiając budownictwo, gdzie akurat dał o sobie znać styl nazywany art nouveau czy Jugendstil – secesja właśnie. Odmieniła ona architektoniczną nie tyle strukturę, ile dekorację. A pozostawiła po sobie tak wybitne osiągnięcia jak – w Poznaniu właśnie – zespół kamienic przy ulicy Roosevelta i na jej tyłach.

Niemców żyło w Poznaniu znacznie mniej niż Polaków, ale to oni dominowali w środowisku architektonicznym, kończyli studia w Berlinie, Darmstadcie czy Kassel, zapatrzeni byli w dokonania swoich mistrzów, głównie z Charlottenburga. Niemniej od nacjonalizmu wielkoniemieckiego byli dalecy: „Robotnik pracujący na budowie był Polakiem, a strajk polskich robotników mógł zniszczyć niemieckie firmy [na 22 firmy budowlane wymieniane w dokumentach z lat 1900–1917 tylko sześć było polskich – przyp. K.M.]. Architekci żydowskiego pochodzenia byli nieliczni, podobnie jak nieliczne początkowo były inicjatywy budowlane tej grupy mieszkańców. Ale i tu dbano o posiadanie własnych kadr, o czym świadczą kariery Teodora Jaretzkiego, Martina Sonnabenda czy Alfreda Grottego – wykładający także w poznańskiej Szkole Budowlanej". I żeby nie było wątpliwości: ok. 1920 r. większość architektów, których dzieła przedstawione są w omawianym albumie, wyjechała z polskiego już Poznania.

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w 2008 r., obecne – już trzecie – w porównaniu z pierwszym bogatsze jest o kilkadziesiąt zdjęć i informacji uwzględniających renowacyjne zmiany zachodzące w architektonicznej materii miasta. Trudno jednak nie dostrzec, że ten świetnie zilustrowany album największy nacisk kładzie wcale nie na prezentację rzeczywiście świetnych poznańskich kamienic, lecz na ukazanie piękna detalu, w którym – powiada Jan Skuratowicz – „najpełniej odbija się styl art nouveau". Stąd książka robi wrażenie wręcz dekoracyjnego katalogu, tego wszystkiego, co znajduje się zarówno na elewacjach, jak i we wnętrzach zachowanych mieszkań i reprezentacyjnych sieni. [...] Odrębny rozdział został poświęcony secesyjnej stolarce, przepięknym kratom na balkonach i w sieniach, dekoracjom wnętrz".

„Secesja w Poznaniu" dowodzi, że ekspansja tego stylu pozostawiła po sobie znacznie więcej wartościowych dokonań niż jedna kamienica z ulicy Roosevelta, dokładnie Roosevelta 5, wymieniana w zdominowanych przez łódzkie obiekty spisach osiągnięć secesji na ziemiach polskich. Zwiedzając Poznań, koniecznie trzeba zajrzeć na ulice Chełmońskiego i Staszica, obejrzeć willę przy Gajowej czy sień w posesji przy ulicy Wyspiańskiego, zachowaną w niemal nienaruszonym stanie, a to jednak rzadkość. Naprawdę warto spojrzeć na stolicę Wielkopolski przez secesyjny pryzmat. Może skala naszych odkryć nie będzie tak wielka jak choćby we Lwowie, ale i mniej może przygnębiająca, gdy zdamy sobie sprawę z dokonanych dewastacji i zaniedbań. A tych też nie brakowało, czego autorzy książki nie kryją.

Bezwzględnie chronić trzeba to zaklęte w dawnym budownictwie Poznania piękno. Zarówno – punktuje Jan Skuratowicz – „przed niszczącym działaniem czasu, jak i przed zalewem współczesnej brzydoty i bylejakości". ©℗

★★★★★☆

JAN SKURATOWICZ, MAGDALENA ADAMCZEWSKA, PIOTR WALICHNOWSKI „SECESJA W POZNANIU" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2022

eprasa.pl 4e28c29d7b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Życie to koszmar

Nazwano kiedyś Philipa K. Dicka „Dostojewskim science fiction". Nie widzę powodu, by Williama Lindsaya Greshama nie nazwać „Dostojewskim kryminału noir". „Zaułek koszmarów" to powieść znakomita i wybijająca się ponad typowe bestsellery literatury gatunku. Zasługuje na równie wielką uwagę co najlepsze książki Raymonda Chandlera czy Jamesa Ellroya.

Książka ukazała się oryginalnie w roku 1946, natychmiast budząc uznanie i kontrowersje, ale – jak dodaje autor świetnego wstępu Nick Tosches – była „jednocześnie potępiana i zakazana. W ciągu następnych trzydziestu lat każde kolejne wydanie było zniekształcane i cenzurowane". Wszystko to z powodu dosadnego języka Greshama, autora niesłychanie wyczulonego na niuanse rozmaitych slangów, opisującego świat oszustów, szarlatanów i naciągaczy słowami, na jakie zasługują.

Przywykliśmy w kryminałach do sytuacji, w której rozwiązanie zagadki przynosi równowagę w opisywanym świecie, zniszczony porządek zostaje przywrócony, gdy winny ponosi karę. W „Zaułku koszmarów" amerykański noir jest naprawdę mroczny – niemal wszystkie postaci nie zasługują na współczucie i nie mają szans na odkupienie. Świat jest ponurym, okrutnym miejscem, grasz takimi kartami, jakie dostałeś, a jeśli rozdanie ci się nie podoba – to cóż, inni mają równie źle. Pozostaje oszukiwać i żywić się krzywdą innych. Główny bohater wędrujący w górę społecznej drabiny dzięki brakowi skrupułów i zdolnościom do okręcania sobie naiwnych wokół palca szybko przekona się, że w mrokach oceanu zawsze czai się większa ryba. Stana Carlisle'a, bohatera powieści, wykorzysta bezlitośnie dr Lilith Ritter, „najnikczemniejsza psycholożka w historii literatury" (znów cytuję świetny wstęp Toschesa).

Podobnie jak fantastyczne powieści Dicka, który sięgał po wyświechtane pomysły rozrywkowej SF, by wytapiać z nich wielką literaturę, „Zaułek koszmarów" jest katalogiem motywów z literatury pulpowej. Cyrki, objazdowe gabinety osobliwości, wróżbici, mentaliści, zawodowi naciągacze, występni lekarze – wszystko pod ręką Greshama zamienia się w genialnie napisaną, szaloną opowieść o brudnej pianie ludzkich uczynków, o duszach tak nieszczęsnych i brudnych, że – jak to podkreślił w finale ekranizacji Guillermo del Toro – zasłużyły na wszystko, co je spotkało. ©℗

★★★★★☆

WILLIAM LINDSAY GRESHAM „ZAUŁEK KOSZMARÓW" WYDAWNICTWO MOVA 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Głośny reportaż sławnego rosyjskiego pisarza, efekt podróży z roku 1890. Szczera, bolesna opowieść o ponurym życiu katorżników wywołała w Rosji skandal i falę dyskusji. Kształt gułagu wykuwał się już za carów. Klasyka.

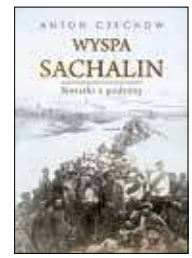

ANTON CZECHOW „WYSPA SACHALIN" ZYSK I S-KA

Seria wykładów wygłoszonych w 2000 r. na Uniwersytecie w Cambridge zamieniła się w jedną z najmądrzejszych i najzabawniejszych książek o tym, dlaczego piszemy, co ocala literatura i co się dzieje w głowie pisarza. Klasyka.

MARGARET ATWOOD „O PISANIU" WYDAWNICTWO KARAKTER

Zbiór opowiadań autora proroczej powieści „Obóz świętych". „Są tu teksty, na których szczególnie mi zależy" – pisał autor, rekomendując „Złoty klucz" czy „Ataulfa", ale wszystkie są bezkompromisowe, mądre i warte przeczytania.

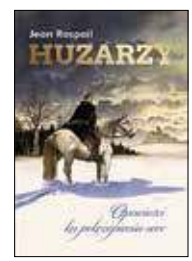

JEAN RASPAIL „HUZARZY" WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA

W latach 70. XX w. tak wyglądały zmagania o przekształcenie rozrywkowej SF w nowatorską literaturę. Harrison korzysta z klisz space opery, ale proponuje opowieść nihilistyczną, łajdacką i zabawną, choć jest to śmiech ponury. ©℗ ***Piotr Gociek***

M. JOHN HARRISON „URZĄDZENIE CENTAURYJSKIE" MAG

KOMIKS TYGODNIA: „O CZYM SZUMIĄ WIERZBY"

Opowieść inspirowana słynną powieścią Kennetha Grahame'a, jednak znana miłośnikom dziecięcej klasyki fabuła uległa daleko idącym zmianom. Francuski rysownik Michel Plessix stworzył pięciotomowy cykl (2005–2013), którego pierwsza część – „W puszczy" – właśnie ukazuje się po polsku. To także premierowa praca tego twórcy na polskim rynku. Warto czekać na kolejne, bo Kreta i Szczura czeka wiele nowych przygód w bardzo egzotycznych realiach. Komiks Plessixa zachwyca subtelną kreską, a jego scenariusz zmienił ton opowieści na lżejszy. ©℗

poleca Piotr Gociek

MICHEL PLESSIX „O CZYM SZUMIĄ WIERZBY" EGMONT 2022

eprasa.pl 4e28c29d7b

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pluszowe talizmany

Niepozorny pluszak, jamnik Waldi, przeszedł do historii sportu jako pierwsza oficjalna maskotka igrzysk olimpijskich. Było to w roku 1972 w Monachium, podczas pamiętnych dla Polaków igrzysk, z których nasi piłkarze pod wodzą Kazimierza Górskiego przywieźli złoto. Umaszczenie Waldiego było trójkolorowe, co w zamyśle organizatorów miało symbolizować błękit nieba, zieleń łąk i żółtą barwę pól Bawarii.

FOT. PAWEŁ OPRZĄDEK

Waldi był pierwszą maskotką zatwierdzoną przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski, ale najróżniejsze talizmany towarzyszą sportowcom od zarania dziejów. Maskotkami igrzysk olimpijskich bywały żywe zwierzęta, a czasem sportowcy używają osobistych, dość osobliwych talizmanów. Andrzej Supron na przykład miał swoją szczęśliwą… chusteczkę.

Wszystko to niezwykle ciekawe, a więc i wystawa maskotek olimpijskich w Muzeum Sportu w Warszawie cieszy się zainteresowaniem. Tak dużym, że ekspozycja, która miała być dostępna do końca igrzysk w Pekinie, będzie prezentowana do końca marca. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie***
KIEDY? ***do 31 marca***

FOT. ANNA HEBDA/MGS

MORZE CZY GÓRY?

Na tak postawione pytanie Lidia Rosińska-Podleśny, szefowa Miejskiej Galerii Sztuki im. Władysława hrabiego Zamoyskiego w Zakopanem odpowiedziałby zapewne: „Tak!". A w zasadzie już to zrobiła, powołując do życia cykl wystaw „Góry-Morze-Morze-Góry", których celem jest promowanie współczesnych artystów z Wybrzeża i Podhala. Dzielą ich setki kilometrów, inne są wpływy kulturowe, społeczne i intelektualne. Co ich łączy oprócz gościnnych progów galerii na Krupówkach? Warto na chwilę odpiąć narty i sprawdzić. ©℗

GDZIE? ***Miejska Galeria Sztuki im. Władysława hrabiego Zamoyskiego w Zakopanem***
KIEDY? ***do 18 marca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Na bogato

Płyta, której produkcją zajął się Andrew Watt, znany ze współpracy z popowymi gwiazdami Justinem Bieberem czy Miley Cyrus, nie tylko jest muzycznie zróżnicowana, lecz także została przygotowana na bogato. Wprawdzie na „Earthling" znajdziemy typowe dla Pearl Jam wymiatacze („Power of Right"), ale dominują radiowo przystępne ballady w średnim tempie. Płyta przypomina przegląd rockowej stylistyki lat 80. Otwierający „Invincible" jest w duchu hymnów Petera Gabriela, „Long Way" to hołd dla Toma Petty'ego, „The Dark" nawiązuje do popularnego wówczas college rocka, a jako całość album wskrzesza czasy świetności U2.

★★★★☆☆
EDDIE VEDDER
„EARTHLING"
VIRGIN

Kolejnym ruchem promocyjnym było zaproszenie znamienitych gości. Pojawiają się muzycy Red Hot Chili Peppers i The Heartbreakers, w „Mrs. Mills" na perkusji gra Ringo Starr, a w „Try" na ustnej harmonijce Stevie Wonder. „Picture" jest wesołkowatym duetem z Eltonem Johnem utrzymanym w rytmice boogie-woogie. Co więcej, w promocję albumu zaangażował się Bruce Springsteen. Kolejnym patentem było wykorzystanie w finałowym utworze, „On My Way", głosu biologicznego ojca Veddera.

Słychać, że 57-letni wokalista nie chce już odgrywać roli zbuntowanego rockmana. Obecnie woli proste, przewidywalne piosenki, które czasem mają nawet relaksujący charakter. ©℗

★★★★☆☆
ANIMAL COLLECTIVE
„TIME SKIFFS"
DOMINO

Po 10-letniej przerwie zespół nagrał płytę w oryginalnym składzie i do tego najbardziej popową. Liderzy nowojorskiej alternatywy czarują wokalnymi harmoniami i nieprzewidywalnymi aranżacjami. Piosenki są bardziej okiełznane, a teksty opisują „dorosłe" zmartwienia.

★★★★☆☆
TRUPA TRUPA
„B FLAT A"
GLITTERBEAT

Czwarty międzynarodowy album gdańskiego kwartetu dostrzegła prasa światowa w tym sam „Rolling Stone". Grupa, inspirując się „Trzecią częścią nocy" Żuławskiego, opisuje codzienne zło, przy czym doskonale balansuje między mroczną psychodelią a lirycznymi wstawkami. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

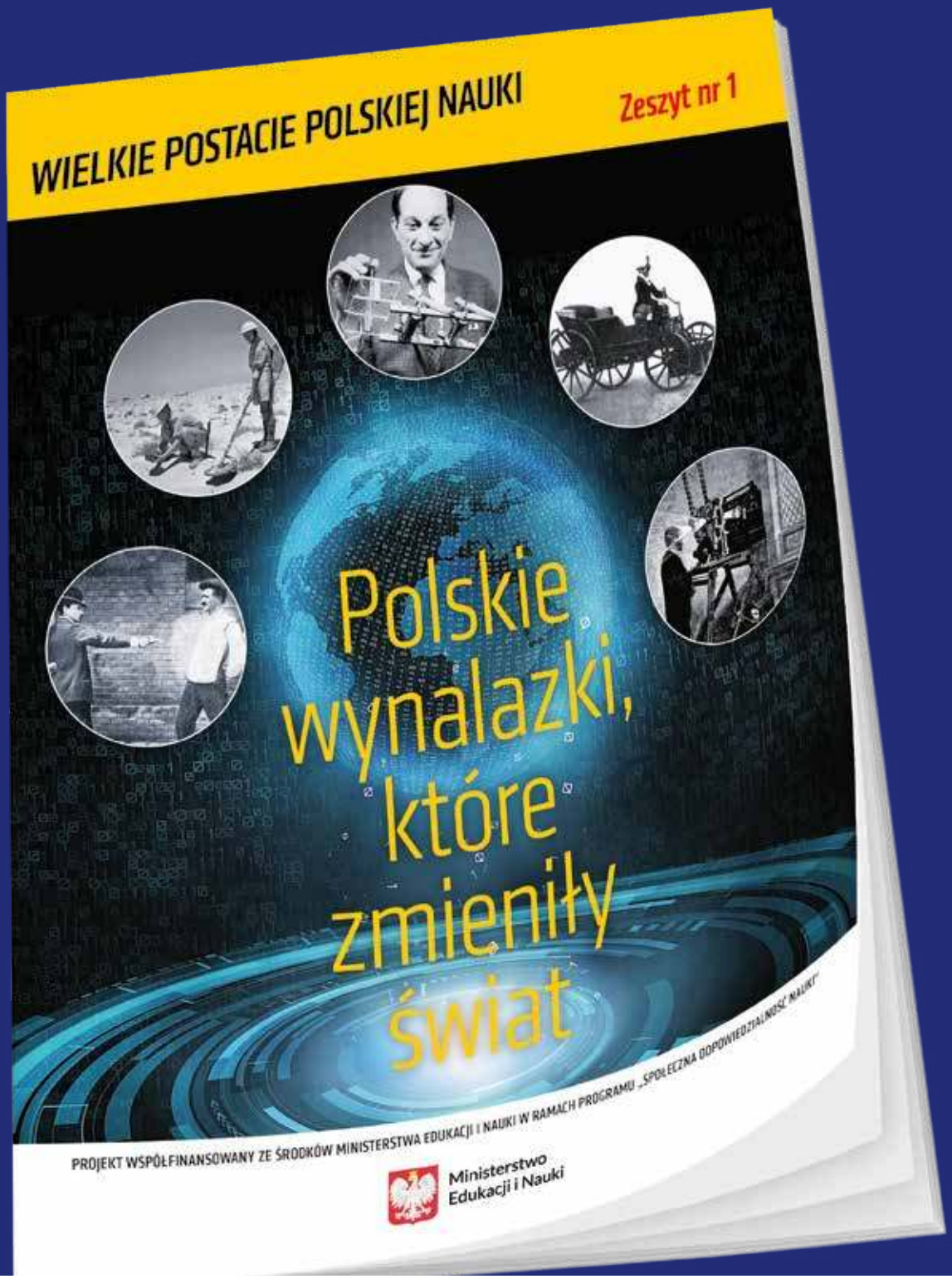

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 4e28c29d7b

Kadr z filmu „Świnia" z Nicolasem Cage'em FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Chciejstwo popisowe

Krzysztof Masłoń

Polacy mają skrzywione ryje i wieprzowe karki" – dostrzegła wnikliwa, jak widać, obserwatorka naszego życia społecznego Kinga Dunin, wiele lat temu uważana za literackiego krytyka, a właściwie krytyczkę, bo to i feministka, i ekolożka, i kobieta wyzwolona, i w ogóle siła postępu. Zamiast przyjrzeć się w lustrze swym świńskim obliczom, zainteresowani doradzili Dunin, by raczej zajęła się własną aparycją.

Mało kto zwrócił uwagę – a znaczy to, że nie przeczytał tekstu w nieocenionej „Krytyce Politycznej", gdzie znalazły się przywoływane tutaj myśli – że te głębokie refleksje snute są na marginesie dwóch omawianych przez współzałożycielkę Partii Zielonych książek, w których ma miejsce „rzyganie Polską", a to nasze spécialité de la maison jakoby się już autorce przejadło. Kto chce, niech wierzy, a kto wiarę ma szczególnie głęboką, niech nawet sięgnie do „recenzowanych" przez Dunin tytułów, których przez szacunek dla czytelników nie wymienię.

Tak czy inaczej w literaturze dzieje się, a dzieje, co nie dziwi, bo przecież zajmują się nią suchanowy, vargi i duniny, autorzy zaliczani do tych, od których – zgodnie z kategoryzacją zaproponowaną przez Mariana Hemara – nie można się opędzić. Za to oni sami mają o sobie nader wysokie mniemanie, niemal tak dobre jak rodzimy maestro egocentryzmu, były polityk Sikorski, który właśnie nabluzgał redaktorowi Sakiewiczowi od wieprzy, wytykając mu, że spasł się na PiS-owskiej kasie. Co by wskazywało już ewidentnie na jakąś antyświńską kampanię i dlatego odnotować warto emisję w Canal Plus filmu „Świnia", w którym Nicolas Cage rozpacza po stracie najbliższej mu istoty, a była nią świnia właśnie.

My jednak mamy, jak widać, swoje priorytety. Niestety. I dlatego jedni chcą wierzyć, że są literatami (raz jeszcze zacytuję Hemara: „Cóż za szmata / Pod pozorami literata"), drudzy, że politykami. I to jakimi! Tomasz Lis orzekł na przykład, że „Tusk jest wybitnym liderem partyjnym i politycznym. Musi chwycić i wznieść w górę biało-czerwoną flagę". Trochę żal mi ekspremiera: w kółko coś musi. Już Janina Paradowska zaklinała go: „Tusku, musisz!", teraz męczy go o to samo Lis, a on się stara przecież, jak może, tylko że wychodzi mu jak zawsze, a potem Kaczyński powtarza, że wszystko to jego wina.

Artystom (ha, ha) wydaje się znów, że sprawują rząd dusz, w co niektórzy, zda się, skłonni są wierzyć, jak choćby Fundacja Batorego, która sprawiła sobie najmimordę w osobie Macieja Stuhra, przekonującego, że najlepiej naprawić demokrację, przekazując 1 proc. podatku rzeczonej fundacji, a ta już zdemokratyzuje nas, że mucha nie siada. Oczywiście, wywodzi Stuhr, można też pójść na protest. Najlepiej pewnie na taki, który poprawiająca demokrację fundacja sfinansuje.

Wszystko są to klasyczne przykłady chciejstwa. Grający w bambuko chcieliby, żeby uważano ich za arcymistrzów królewskiej gry w szachy, politycy domagają się szacunku i uznania publicznego, a wzbudzają albo politowanie, albo nienawiść, aktorzy nazywani dramatycznymi z tego, w czym grają, czynią farsę, komedianci występują w maskach tragicznych, filmem „Listy do M. 4" zachwyca się Empik, podobnie jak prozaikiem Żulczykiem okrytym wiekopomną sławą za nazwanie prezydenta Dudy „debilem", Monika Strzępka zostaje dyrektorką Teatru Dramatycznego, a prezes Jacek Kurski gra jeden i ten sam spektakl na „największej scenie, jaką jest telewizja", wciąż nie mogąc się zdecydować, czy jest to widowisko sportowe czy discopolowe i kto ma w nim zostać głównym wodzirejem – Babiarz czy Brzozowski. Trwa jeden wielki popis chciejstwa i tylko osiągane efekty przypominają odchudzanie się serialowego męża Bożenki z „Klanu", który mimo drakońskiej diety i wyczerpujących treningów zaokrągla się niczym pączek w maśle.

Dzisiejsze gwiazdy szklanego ekranu nie są już jednak od grania, ale od gadania, a ponieważ nie ma już dnia, by złote myśli tych podopiecznych Melpomeny nie wbijały narodu w osłupienie, zacytuję jeszcze jednego artystę, który podzielił się refleksjami nieoczekiwanie całkowicie zgodnymi ze społecznymi odczuciami. Otóż Artur Barciś, bo o nim mowa, odniósł wrażenie – powiedział – „że w polskich filmach gra tylko wąska grupa aktorów, ciągle tych samych. Zaczyna to być już po prostu nudne".

Pełna zgoda, tylko nie „zaczyna", a trwa tak już od dziesięcioleci, tyle że ostatnio mniej w tych wszystkich udających filmowe produkcjach zauważa się Artura Barcisia. I, jak się zdaje, to go boli najbardziej. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 11

Walka z nienawiścią

czy walka z rodziną

- Jak samorządy wdrażają „ideały" LGBT?
- Pieniądze za ideologizację
- George Soros – sponsor LGBT

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 4e28c29d7b

KRYSTIAN KRATIUK

WSTĘP

Indianie kontra LGBT

Wszyscy wiedzą, że tzw. strefy wolne od LGBT są kłamstwem i antypolskim happeningiem (jeśli mierzyć miarą skuteczności – udanym).

Wszyscy wiedzą również, po co ten happening został przygotowany. Lewicowym aktywistom od lat chodzi przecież o wywołanie nienawiści do nich wśród Polaków, tak by mogli pokazać się w Brukseli i Waszyngtonie z prawdziwymi obrażeniami, bo do tej pory nie udało się przecież nikomu udowodnić rzekomej homofobii polskiego społeczeństwa. Dlatego właśnie homoaktywiści nieustannie prowokują Polaków: a to parodiując msze św. w durszlakach na głowie, a to wpisując w nimb Matki Boskiej Częstochowskiej wielokorowy symbol grzechu sodomskiego, a to w końcu atakując świątynie, ścinając krzyże czy dewastując kapliczki.

Jesteśmy jak Indianie. Trzymamy się swojej kultury, swojej tradycji i swojego rozumienia rodziny

Wszyscy wiedzą także, dlaczego polskie społeczeństwo stawia opór homopropagandzie. Uznajemy bowiem w swej masie za rodzinę związek kobiety i mężczyzny, uważamy, że jest on najlepszy dla wychowania dzieci (również tych przysposabianych), a co się dzieje u kogoś w domu, to w to jako Polacy generalnie nie wnikamy. Dlatego też nie ma u nas aktów agresji wobec homoseksualistów. Mamy ich homoseksualizm w nosie. Na tym polega tolerancja. Postulaty ruchów LGBT Polacy uznają raczej za uzurpowanie sobie przywilejów. I na to zgody nie ma. To właśnie wzbudza zagniewanie homoaktywistów, a nie agresja, której po prostu nie ma.

Skoro przypomnieliśmy sobie o tym, co wszyscy wiedzą, to spróbujmy teraz uświadomić sobie coś, z czego rzadko zdajemy sobie sprawę. Jako Polacy stanowimy bowiem w świecie zachodnim ewenement.

Spójrzmy tylko na dane opublikowane przez IPSOS w 2021 r. na podstawie badań w 27 krajach świata. Zapytano o dopuszczalność w prawie krajowym tzw. małżeństw homoseksualnych. Za ich legalizacją opowiedziało się 29 proc. Polaków. Mniejsze poparcie homomałżeństwa otrzymały tylko wśród badanych… Rosjan, Turków i mieszkańców Malezji. W Szwecji, Holandii, Hiszpanii i Belgii poparcie dla takiego pomysłu wyrażało grubo ponad 70 proc. ankietowanych, więcej niż 60 proc. w pozostałych badanych krajach Europy Zachodniej (oprócz Francji – tam bowiem „tylko" 59 proc. popierać ma ideę małżeństw osób tej samej płci). Średnia dla badanych państw na świecie (bez krajów tzw. trzeciego świata) to 54 proc. poparcia. A w Polsce – powtórzmy – zaledwie 29 proc.!

Dwadzieścia osiem z 50 państw Europy uznaje już dziś niektóre rodzaje związków jednopłciowych, wśród nich większość państw Unii Europejskiej. Piętnaście państw uznaje możliwość zawarcia tzw. małżeństwa osób tej samej płci. Kolejnych 20 krajów uznaje związki partnerskie lub nierejestrowane konkubinaty homoseksualistów. Polska nie znajduje się w żadnej z tych grup – nasza konstytucja bowiem ogranicza małżeństwo do związku kobiety i mężczyzny, a prawodawstwo nie przewiduje formy „związków partnerskich" ani żadnych innych zakamuflowanych form prawnych relacji paramałżeńskich.

Zaprawdę stanowimy ewenement. Ale powinniśmy wreszcie uświadomić sobie, że stanowi to powód do dumy, a nie do wstydu! Postanowiliśmy jako społeczeństwo utrzymać własną tożsamość i robimy to w bardzo trudnych warunkach – utrzymujemy ten status quo mimo zmasowanej międzynarodowej akcji (unijnej, amerykańskiej czy 48 ambasadorów różnych państw), mającej przekonać rządzących Polską do akceptacji nowej światowej mody. Mimo bombardowania nas obcymi zwyczajami we wszystkich już niemal dziełach popkultury.

Jesteśmy jak Indianie. Trzymamy się swojej kultury, swojej religii, swoich tradycji i swojego rozumienia rodziny. A zwróćmy uwagę, że gdy jakikolwiek kraj Zachodu próbuje kolonizować zachowujące do dziś własną tożsamość i obyczaje indiańskie plemiona, natychmiast podnosi się rwetes. Natychmiast krzyczy się o krzywdzie tubylców i o potrzebie utrzymania ich unikatowej kultury, ONZ prowadzi programy pomocowe dla prymitywnych ludów, by – dla utrzymania w świecie różnorodności kultury i ocalenia ich wyjątkowości – nie dopuścić do ich wyginięcia.

A nasze, polskie zwyczaje, tradycje i tożsamość? Według tych samych obrońców Indian – mają zginąć.

Trwajmy więc przy swoim jak ostatni Mohikanie. Mając przy tym świadomość, że ci, którzy kiedyś chcieli i którzy nadal chcą pogrzebać unikatową kulturę Indian, w realizacji swojego planu zawsze opierają się na pomocy zdrajców znajdowanych wśród członków tych plemion. Zdrajców, którzy sprzedają swoich rodaków, swoją religię i swoje zwyczaje za garść kolorowych paciorków albo za złudną obietnicę przejęcia władzy nad plemieniem. Oczywiście przy ścisłej kontroli najeźdźców. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 4e28c29d7b

Z europosłem PiS prof. Ryszardem Legutką
rozmawia Wojciech Golonka

Pieniądze za ideologizację

WOJCIECH GOLONKA: Bruksela raz po raz przywołuje temat rzekomych „stref wolnych od LGBT" w Polsce – ostatnio 27 stycznia mówił o tym Didier Reynders, komisarz ds. sprawiedliwości. Skąd ta obsesja?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Z tego samego powodu, dla którego przejmuje się ostatnio użyciem w Polsce Pegasusa – każda broń, która pozwoli uderzyć w polski rząd możliwie dotkliwie, jest dobra, nawet jeśli opiera się na kłamstwie czy insynuacji. Kto obcuje z Unią Europejską, widzi ją z bliska i umie patrzeć na to, co się w niej dzieje, ten natychmiast dostrzeże, że kwestia prawdy lub fałszu i kwestia prawa kompletnie nie mają w niej znaczenia. Nie istnieje i nie istniało coś takiego jak „strefy wolne od LGBT" w Polsce, natomiast wyprodukowano kilka, może nawet kilkanaście rezolucji, które potępiały polskie „strefy wolne od LGBT". Pani Ursula von der Leyen też się o nich wypowiadała w tonie potępiającym. Jak widać, również dla niej prawda nie ma znaczenia. Mamy w Unii do czynienia ze światem zakłamanym, gdzie kłamstwo stało się narzędziem tępienia wszystkich, którzy myślą inaczej, a szczególnie narzędziem służącym gnębieniu wszystkich ruchów, partii, rządów i poglądów o tendencjach konserwatywnych. Natomiast w przypadku kwestii LGBT mamy jeszcze wątek dodatkowy.

Jaki?

To jest jedna z najświętszych idei, które konstytuują mentalność współczesnego człowieka Zachodu. Jest to umysł, niestety, dość prymitywny, powiedziałbym nawet: zbarbaryzowany w wyniku upadku edukacji i wszechobecności ideologii lewicowej. Dzisiejszy człowiek Zachodu jest słabo wykształcony, nie posiada elementarnej wiedzy o historii i kulturze, ma natomiast kilku idoli, do których się modli. Jednym z nich jest właśnie LGBT, czyli ideologia gender, a drugą klimat i związane z nim ideologie zielone. Koncepcja gender mówi, że nie ma czegoś takiego jak płeć, że całe biologiczne uwarunkowanie płci to jest sprawa czwartorzędna. W istocie zamiast płci mamy gender, czyli pewien konstrukt, który może występować w dowolnych odmianach. Ta ideologia określa się jako emancypacyjna, ponieważ ma służyć wyzwoleniu nas z podziału na dwie płcie. Do tej pory człowiek był przekonany, że jest albo kobietą, albo mężczyzną i że ludzkość dzieli się na kobiety i mężczyzn, a teraz okazuje się, że było to więzienie, w którym tkwiliśmy, i z tego więzienia się nas wyzwala.

Czy na europejskich salonach próbowano chociaż ustalić stan faktyczny w kwestii rzekomych „stref wolnych od LGBT"?

Nie ma żadnego dociekania. Gdy pojawia się choćby najdrobniejsza informacja, że polski rząd sprzeciwia się LGBT, to natychmiast cały potężny buldożer zostaje puszczony w ruch. I żadne merytoryczne argumenty nie mają znaczenia. Pytano panią von der Leyen lub którąś z pań komisarz, czy mogłaby wskazać, gdzie dokładnie znajdują się takie miejsca w Polsce. Odpowiedzi oczywiście nie było, lecz ataki kontynuowano. Gdy zabierałem w tej kwestii głos, podałem europejskie dane na temat ofiar ataków motywowanych płcią za 2020 r. W Niemczech to było prawie 300 przypadków, w Holandii dwa razy więcej, a w Polsce, jeśli dobrze pamiętam, 13. Tak wygląda rzeczywistość. W Polsce osoby o skłonnościach homoseksualnych nie są przedmiotem ostracyzmu czy ataku. Można podawać statystyki jednoznacznie tego dowodzące, lecz tutaj fakty się nie liczą. Spektakl zawsze przebiega według jednego schematu: wychodzi komisarz albo przewodnicząca i mówi, że „my, Europejczycy, będziemy bronić wartości europejskich i potępiamy strefy wolne od LGBT". A potem zaczyna się seans orwellowski: przychodzą szefowie grup i powtarzają to samo, a po nich inni posłowie i także mówią to samo. A jeśli niekiedy znajdzie się ktoś mówiący, że to jest kłamstwo, to i tak jego głos ginie we wrzaskliwych potępieniach kilkudziesięciu kolejnych mówców. A na koniec znowu występuje komisarz czy pani przewodnicząca i dziękując za debatę (?), podkreśla, że „my, Europejczycy, będziemy bronić naszych wartości i potępiamy strefy wolne od LGB…". Kto pamięta dawne czasy, temu zaraz przychodzą na myśl Komitet Centralny lub Plenum Partii i liczne rzesze towarzyszy potępiających rewizjonizm czy coś innego. Tu i tam mamy świat orwellowski: uporczywe wtłaczanie w głowy jednego wątku i orkiestrowanie politycznej nienawiści do wroga, który przedstawiany jest w formie karykaturalnej. A do tego seansu orwellowskiego dołączają dzisiaj inni: Rada Europy, jeden trybunał, drugi trybunał, jakieś stowarzyszenia europejskie, Politico, „Le Monde" itd. Tak działa dzisiaj świat, który kiedyś, za komuny, nazywaliśmy światem wolnym.

Czy pana koledzy biorący udział w tym spektaklu w europarlamencie rzeczywiście wierzą w to, co mówią?

Kiedyś, w dawnych czasach, moja koleżanka, Brytyjka, powiedziała, że nie widzi różnicy między Margaret Thatcher a Hitlerem. Zapytałem ją więc, ile osób zamordowała Margaret Thatcher. Usłyszałem w odpowiedzi: „Co prawda, nie zamordowała, ale byłaby do tego zdolna". Na podstawie moich rozmów sądzę, że niektórzy z moich kolegów europejskich, ci bardziej cyniczni i inteligentniejsi, mówią mi prywatnie, mrugając okiem: „You know, it's politics", przecież

eprasa.pl 4e28c29d7b

zdaje pan sobie sprawę, że to polityka. A u innych zachodzi myślenie trochę jak u mojej koleżanki: co prawda nie ma stref wolnych od LGBT w Polsce, co prawda dane w kwestii przestępstw na tle płci są takie, jakie są, ale polski rząd jest zdolny do tego, żeby takie strefy stworzyć, jeśli go nie powstrzymamy. Bo przecież konserwatyści, to wiadomo, jak poskrobać, to zaraz wyjdzie na wierzch kolor brunatny i pojawi się faszyzm. Sądzę, że ludzi tak myślących w świecie zachodnim jest wielu.

Mamy w Brukseli 52 europosłów, którym winno zależeć przynajmniej na ustaleniu prawdziwych faktów, tymczasem część z nich bez skrupułów brała udział w tym orwellowskim przedstawieniu.

To jest zjawisko, które widać nie tylko w Brukseli, lecz także w Polsce… Mamy właściwie dwie Polski – jedną, która broni suwerenności ojczyzny, jej dobrego imienia, samodzielności, interesu i zdrowego rozsądku, oraz drugą, która chce poddać Polskę podmiotom zewnętrznym, a jednym z warunków tej kapitulacji jest podpis pod ideologią LGBT oraz walka z polskim rządem. Demoralizacja, której uległa polska opozycja, jest niemal zupełna, a w tym demoralizowaniu Unia odgrywa niemałą rolę. Gdy obserwuję opozycję, to widzę trzy cechy: po pierwsze, nienawiść do przeciwników politycznych tak gwałtowną, jakiej dotąd jeszcze nie znaliśmy, wyzbytą już jakichkolwiek powściągów; po drugie, kompletny cynizm pozwalający nawet na największe kłamstwo, żeby zdobyć władzę; a po trzecie, kompletna atrofia patriotyzmu. To, co oni nazywają patriotyzmem, to jest patriotyzm w stylu Wandy Wasilewskiej, która sama się nazywała polską patriotką i twierdziła, że najwyższym, najszlachetniejszym przejawem tego polskiego patriotyzmu były poddanie Polski pod kuratelę Związku Sowieckiego oraz walka z polskimi reakcjonistami i burżuazją. Oni podobnie uważają, że najwyższą formą polskiego patriotyzmu są poddanie Polski instytucjom międzynarodowym oraz innym rządom oraz bezwzględna walka z polskim rządem.

Czy wspomniane przez pana rezolucje mają jakieś realne znaczenie oprócz symbolicznej „fatwy"?

Nie mają skutków bezpośrednich, ale pośrednie jak najbardziej. Nie miałyby nawet i takich, gdyby w Unii panowały prawo i szacunek dla prawa. Ale ponieważ Unia coraz głębiej stacza się w bezprawie, jedyne, co się liczy, to władza, a ta robi,

FOT. MOU-CEN/EP/EU

eprasa.pl 4e28c29d7b

co chce. Monopolistyczną władzę w Unii posiada tzw. główny nurt, zdominowany ideologicznie przez lewicę, który lekceważy wszelkie ograniczenia i ucieka się coraz częściej do pogróżek i szantażu. Stąd podchwycono hasło „praworządności", które nigdzie nie jest zdefiniowane, a więc może oznaczać cokolwiek, co rządzącym Unią przyjdzie do głowy. Strefy wolne od LGBT? To jest łamanie „rule of law"… I choć stref nie ma, to może coś innego się znajdzie, jakieś deklaracje samorządów w obronie rodziny, i to już wystarczy. Ogłasza się, że zasada „rule of law" została złamana, i samorządy nie dostaną pieniędzy. Więc ten mechanizm potępienia ma realne pośrednie skutki i wprowadza dodatkowo atmosferę mobilizacji do walki z polskim rządem wszelkimi środkami, a także rozgrzesza postępujące bezprawie. Chuligaństwo polityczne? Oczywiście. Ale ponieważ główny nurt opanował wszystkie instytucje, przestały już istnieć mechanizmy kontrolne, które podobne praktyki mogłyby napiętnować i powstrzymać.

Bo cała ta nagonka i szantaż finansowy nie mają umocowania w traktatach?

Najmniejszego: sprawy moralne są wyłączone z kompetencji unijnych. Nic to jednak nie znaczy. Pani Urszula von der Leyen w swoim exposé powiedziała, że musimy doprowadzić do tego, że kto jest rodzicem w jednym kraju Unii, ten będzie rodzicem w każdym innym kraju Unii. Co oczywiście stanowiło nawiązanie do tzw. małżeństw homoseksualnych. Karta praw podstawowych Unii Europejskiej, która jest częścią traktatów, w artykule dziewiątym mówi, że rzeczy związane z rodziną i małżeństwem są wyłączoną kompetencją państw członkowskich. Zatem jej wypowiedź była nawoływaniem do oczywistego naruszenia traktatów. No ale co z tego? Wyobrażam sobie, że jeżeli Komisja stworzy taki akt, nakazujący państwom nieuznającym małżeństw homoseksualnych zaakceptowanie ich, i jakiś rząd, na przykład polski, zaskarży ów akt do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, to TSUE nigdy nie stanie po stronie obrońców małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Nigdy. To widać zresztą w tych krajach zachodnich, gdzie w konstytucji zapisano, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny, a ich trybunały nigdy nie broniły tego związku. TSUE też tego nie zrobi, a wręcz chętnie przywłaszczy sobie władzę rozstrzygania kwestii moralnych. Ostatnio prezydent Macron mówił o aborcji jako o prawie człowieka, co znowu jest nawoływaniem do gwałtu na traktatach. Jeśli rzeczywiście takie uregulowanie powstanie, to założę się, że Unia Europejska to przyjmie, a TSUE przyklepie. Ten lewiatan, który zbudowano, a któremu na imię Unia Europejska, postępuje coraz bezwzględniej i brutalniej.

Czy kwestie światopoglądowe są głównymi problemami Europejczyków?

Unia zajmuje się oczywiście innymi sprawami, ale kwestie światopoglądowe stały się bardzo ważne i wyrażają stan ducha i umysłu współczesnego Zachodu. Ktoś mógłby powiedzieć: no dobrze, parlament zwariował (hipoteza, pod którą zresztą byłbym skłonny się podpisać), natomiast cała reszta tymi sprawami się nie interesuje. Ale ten ktoś nie miałby racji. To przecież nie tylko parlament, lecz także Komisja… A gdy chodzimy po ulicach miast zachodnioeuropejskich, to wszędzie widzimy flagi tęczowe, nieustanne pochody równości i manifestacje. Media pełne są tych spraw. A korporacje? Kto jest pracownikiem korporacji, ten musi od czasu do czasu chodzić na treningi z różnorodności genderowej, bo inaczej wyrzucą go z pracy. Zatem to nie jest tak, że to tylko parlament zwariował. Ideologizacja jest powszechna, co pokazuje staczanie się cywilizacji zachodniej w stan szalenie niebezpieczny. Z jednej strony można patrzeć na to jak na degrengoladę ducha Zachodu, który stracił swoją powagę i oddaje się absurdom, z drugiej – obserwujemy powstawanie nowego despotyzmu.

Degrengolada raczej nie pojawia się z dnia na dzień.

Oczywiście, że nie. Rodzina była od dłuższego czasu przedmiotem ataków rewolucjonistów – tak było w czasie rewolucji francuskiej, rewolucji bolszewickiej. Zachód przeżył swoją wielką rewolucję w 1968 r. i ogromna część tego, co dzieje się dzisiaj na Zachodzie, jest konsekwencją tego rewolucyjnego myślenia. Myśmy z tej rewolucji seksualnej trochę kpili, mówiąc, że były to fanaberie rozpuszczonych w dobrobycie młodzieńców, lecz nie mieliśmy racji. Rzeczywiście najpierw pojawili się zbuntowani młodzieńcy, których interesowały eksperymenty seksualne. To byli hippisi, dzieci kwiaty, grupy żyjące w komunach, a wszyscy walczyli z burżuazyjnym konformizmem w imię wolnej miłości, spontaniczności, swobody. Ten etap chwilę potrwał, a potem przyszli biurokraci, politycy, prawodawcy i zaczęli to wprowadzać w życie. Dziś już nie ma żadnej spontaniczności, nie ma kwiatów ani swobody, tylko bezwzględny rygor. „Jak się, człowieku, nie podporządkujesz zdobyczom rewolucji seksualnej, regulacjom LGBT, feministycznej cenzurze itd., to będziesz miał kłopoty – stracisz pracę, a niekiedy nawet możesz pójść do więzienia". Coś, co zawsze zaczyna się jako ruch spontaniczny, nierzadko kończy się po zwycięstwie wstrętnym, ponurym ideologicznym biurokratyzmem. Kto by przypuszczał, że sprawy najprywatniejsze z prywatnych wejdą w sam środek polityki i że doczekamy czasów, kiedy nie tylko seks, lecz także toalety będą problemem ideologicznym regulowanym na poziomie centralnym? Za komuny chroniliśmy się przed ideologiczną machiną w naszej prywatności. Ale od czasu rewolucji 1968 r. i rewolucji feministycznej nie ma czegoś takiego jak prywatność, bo polityka jest wszędzie. Stąd ten dzisiejszy świat jest światem ponurym, ponieważ nie ma zeń ucieczki, nawet we własnym domu człowiek nie czuje się bezpiecznie.

Przetrwamy ponure czasy?

No cóż, przede wszystkim nie wolno się poddawać. Nie wolno popadać w panikę, że skoro najpotężniejsze siły na świecie się zjednoczyły, by to szaleństwo narzucać, to już nic nie da się zrobić. Mimo wszystko są jeszcze ludzie, którzy się temu opierają. Polska jest w sytuacji fortunnej i niefortunnej jednocześnie. Fortunnej, gdyż u nas te siły rozsądku, zachowujące związek z tradycją europejską, są dość znaczne i posiadają duże wpływy, a niefortunne dlatego, że oczy całego postępowego świata są na nas zwrócone, i to są oczy pełne nienawiści, gniewu i żądzy odwetu. Nie należy jednak z tym światem iść na kompromisy. On żadnych kompromisów nie chce i nie zadowoli go nic poza naszą bezwarunkową kapitulacją. To samo dotyczy dzisiejszej Unii. Można się pocieszyć, że przecież zdarzało się w polskiej historii, iż broniliśmy dobra cywilizacji zachodniej. Mam przekonanie, że również obecnie mamy taką szansę. Czy jednak obronimy Europę czy też ona w obecnym stanie degeneracji nas pożre, czas pokaże. Ciągle jeszcze wiele zależy od nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ADOBE STOCK

Deklaracja LGBT+ w Warszawie

Paweł Ozdoba

Warszawa pod rządami Rafała Trzaskowskiego wielokrotnie dawała wsparcie postulatom środowisk LGBT. Kwintesencją tego jest deklaracja Warszawska Polityka Miejska na rzecz Społeczności LGBT+, zakładająca m.in. wprowadzenie edukacji seksualnej dla dzieci w szkołach podstawowych czy wspieranie takich inicjatyw jak tzw. Parada Równości

W 2018 r. głównymi kontrkandydatami w wyborach na fotel prezydenta Warszawy byli Rafał Trzaskowski oraz Patryk Jaki. Można było się spodziewać, że ewentualny wybór wiceszefa PO na urząd prezydenta Warszawy będzie oznaczał zwiększenie działań promujących postulaty LGBT. Już w kampanii wyborczej sztab Trzaskowskiego angażował się w prace nad programem mającym na celu wspieranie żądań organizacji lewicowych. Owocem tych prac był dokument kierunkowy polityki samorządowej, wprowadzający do dyskursu kryterium seksualności jako wiodące.

W OPARCIU O NIEWIARYGODNE DANE

W lutym 2018 r., a zatem zaledwie kilka miesięcy po wygranych wyborach samorządowych, Rafał Trzaskowski podpisał deklarację Warszawska Polityka

eprasa.pl 4e28c29d7b

Miejska na rzecz Społeczności LGBT+, potocznie określanej Deklaracją LGBT+. Dokument ten jest efektem współpracy ze Stowarzyszeniem Miłość Nie Wyklucza, promującym legalizację związków partnerskich, a także tzw. homomałżeństw. Akt ten wywołał wiele szumu medialnego i kontrowersji, ponieważ zakładał wprowadzenie rewolucyjnych zmian w polityce samorządowej, na czele z obowiązkową edukacją seksualną, opartą na standardach Światowej Organizacji Zdrowia.

Deklaracja Warszawska Polityka Miejska na rzecz Społeczności LGBT+ składa się z dwóch części. W pierwszej Rafał Trzaskowski uzasadnia, dlaczego zdecydował się na jej podpisanie, natomiast w drugiej można już znaleźć konkretny program wspierania postulatów środowiska LGBT, który zamierza realizować prezydent Warszawy.

Szokujące jest to, że już na samym początku powołuje się na niewiarygodne informacje o rzekomej liczbie osób LGBT żyjących w Warszawie. Według nich w mieście stołecznym ma przebywać aż 200 tys. osób LGBT, co stanowi 10 proc. całej populacji Warszawy. Eksperci zwracają uwagę – wśród nich m.in. socjolog prof. Radosław Zenderowski z UKSW – że dane te są niewiarygodne i „wyssane z palca". Dodaje, że nie ma twardych statystyk potwierdzających, że polityka LGBT dotyczy aż 10 proc. mieszkańców Warszawy.

EDUKACJA CZY DEPRAWACJA?

Jednym z głównych obszarów, o który chcą „zatroszczyć się" pomysłodawcy Deklaracji LGBT+, jest edukacja. Dokument podpisany przez Rafała Trzaskowskiego zakłada wprowadzenie do wszystkich szkół tzw. edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej, „uwzględniającej kwestie tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej, zgodnej ze standardami Światowej Organizacji Zdrowia".

Standardy WHO, na których ma być oparta edukacja dla uczniów warszawskich szkół, to – jak zwracają uwagę organizacje broniące życia i rodziny – jawna seksualizacja i ideologiczna deprawacja. Program nakazuje bowiem nauczycielom przekazywanie dzieciom w wieku do czterech lat wiedzy o „radości i przyjemności z dotykania własnego ciała". Z kolei dzieci w wieku cztery–sześć lat według standardów WHO powinny otrzymać informacje o związkach i stylach życia, w tym „związkach osób tej samej płci".

Standardy WHO zakładają również, że w wieku sześciu–dziewięciu lat dzieci mają otrzymać podstawowe informacje dotyczące antykoncepcji. Pociechy swoich rodziców dzięki „seksualizującemu programowi" poszerzą swoją wiedzę już w wieku 9–12 lat, ponieważ w tym czasie standardy WHO nakazują nauczenie dziecka „skutecznego stosowania prezerwatyw i środków antykoncepcyjnych".

Ta „niezbędna wiedza" będzie dostępna dla dzieci tuż obok informacji o „pierwszych doświadczeniach seksualnych, masturbacji i orgazmie". „Edukatorzy seksualni" chcą, aby kolejnym krokiem w tym samym przedziale wiekowym była pomoc w rozwijaniu „akceptacji i rozumienia różnorodności dotyczącej seksualności i orientacji seksualnych".

To tylko część bulwersujących postulatów zawartych w „Standardach edukacji seksualnej WHO", które znalazły się jako swego rodzaju „podstawa programowa" dla dzieci warszawskich szkół. Deklaracja podpisana przez Rafała Trzaskowskiego wskazuje, że edukacja seksualna ma zostać wprowadzona „w każdej szkole". Oznacza to zagrożenie deprawacją ponad 200 tys. dzieci i młodzieży w Warszawie.

JAK BRONIĆ DZIECI?

Pomimo złożonej obietnicy wprowadzenia tego rodzaju zajęć do programu warszawskich szkół ratuszowi wciąż nie udało się tego zrobić. Dzięki protestom rodziców, mieszkańców Warszawy, a także prorodzinnych organizacji – w tym Centrum Życia i Rodziny – standardy edukacji seksualnej WHO wciąż nie są tymi wiodącymi i obowiązującymi w warszawskich placówkach. Trzeba jednak trzymać rękę na pulsie, ponieważ środowiska LGBT kilkakrotnie wysyłały publicznie sygnały niezadowolenia z powodu „niezałatwienia tej sprawy".

Całe szczęście, że po stronie rodziców i dzieci stoi jeszcze prawo, które chroni je przed deprawacją. – Konstytucja RP gwarantuje prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami – mówi adw. Marcin Iwanowski z warszawskiej kancelarii Prokurent. – Wychowanie dziecka obejmuje także jego edukację. Jeżeli zatem w szkole przekazuje się treści niezgodne z wolą rodzica, to ma on prawo nie tylko sprzeciwić się udziałowi dziecka w zajęciach, lecz także skierować wprost roszczenie wobec dyrekcji o naruszenie jego dóbr osobistych, do których należy prawo do wychowania dziecka według własnych przekonań.

OFENSYWA TRWA, „TĘCZOWA REWOLUCJA" POSTĘPUJE

To jednak nie koniec zakusów „tęczowych aktywistów". Jeszcze w 2019 r. Aldona Machnowska-Góra, ówczesna koordynator ds. kultury i komunikacji społecznej w Urzędzie m.st. Warszawy, pisała, że „ratusz ani prezydent nie wycofują się ze wspierania mniejszości". Wskazała, że magistrat realizuje kolejny etap programu „Szkoła przyjazna prawom człowieka. Jak przeciwdziałać wykluczeniu i przemocy w szkole". W ramach zajęć słuchacze dowiadują się m.in. o tym, czym są homofobia, orientacja psychoseksualna, transwestytyzm oraz czym przejawia się bycie osobą „queer".

Podpisując Kartę LGBT+, Rafał Trzaskowski zobowiązał się również do wprowadzenia do stołecznych szkół „latarników", a więc nauczycieli lub pedagogów mających na celu „monitorowanie" sytuacji uczniów LGBT. Pytaniem otwartym pozostaje, czy do zadań tych „latarników" ma należeć rzeczywista troska o uczniów czy może umacnianie ich w przekonaniu o byciu homo-, transczy biseksualistą.

Ważnym elementem deklaracji Warszawska Polityka Miejska na rzecz Społeczności LGBT+ było również wsparcie oraz objęcie honorowym patronatem tzw. Parady Równości. Wiceszef Platformy Obywatelskiej dotrzymał obietnicy dwukrotnie – w 2019 oraz w 2021 r. Ta decyzja była symbolicznym aktem publicznego wsparcia dla środowisk ostentacyjnie wyrażających swoje „niestandardowe zamiłowania seksualne".

Warszawskiemu magistratowi udało się również spełnić inny z postulatów zawartych w dokumencie. Jesienią 2021 r. swą działalność rozpoczął hostel interwencyjny dla osób LGBT. Miasto powierzyło prowadzenie tego miejsca stowarzyszeniu Lambda Warszawa, jednej z najważniejszych organizacji promującej związki partnerskie i tzw. homomałżeństwa. Tym razem na nic zdały się wcześniejsze protesty organizacji społecznych, które zwracały uwagę na niejasne zasady finansowania tego przedsięwzięcia.

eprasa.pl 4e28c29d7b

Deklaracja LGBT+ to jednak nie tylko wprowadzanie do szkół edukacji seksualnej. Rafał Trzaskowski zobowiązał się bowiem do wdrożenia Karty Różnorodności w urzędzie i jednostkach m.st. Warszawy. Ta ma wspierać prowadzenie polityki „równego traktowania", ale obok braku dyskryminacji ze względu na wiek czy stan zdrowia pojawiają się również postulaty dotyczące płci, orientacji psychoseksualnej czy tożsamości płciowej.

Dokument sygnowany przez prezydenta miasta zakłada również „współpracę z pracodawcami przyjaznymi dla osób LGBT+, w tym w szczególności z tzw. tęczowymi sieciami pracowniczymi – grupami przedsiębiorców i koncernów w szczególny sposób popierających postulaty środowisk LGBT. To jednak nie wszystko, ponieważ w deklaracji Warszawska Polityka Miejska na rzecz Społeczności LGBT+ zawarto informację o stosowaniu tzw. klauzul antydyskryminacyjnych w umowach z kontrahentami. Może to budzić niebezpieczeństwo, że przedsiębiorcy startujący w przetargach i sympatyzujący z postulatami LGBT będą przez miasto faworyzowani.

ILE TO WSZYSTKO KOSZTUJE?

Tajemnicą poliszynela pozostają koszty wielu przedsięwzięć i aktywności prowadzonych przy współpracy jednostek samorządu terytorialnego oraz lewicowych organizacji promujących subkulturę LGBT. Na stronach warszawskiego ratusza niełatwo odnaleźć kwoty, które przeznaczane są na realizację projektów wspierających LGBT. Można jednak podejrzewać, że są one znaczące, szczególnie gdy przyjrzymy się różnym dotacjom przekazywanym na podobne cele w minionych latach.

Jak wynika z analizy prawników z Instytutu Ordo Iuris, w latach 2014–2018 stowarzyszenie Lambda Warszawa otrzymało z budżetu miasta 366 485 zł. Kwota ta miała zostać wydana m.in. na „poradnictwo" oraz „edukację zdrowotną". Z kolei Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego, promujące przywileje dla środowiska LGBT, otrzymało w podobnym okresie 147 200 zł.

Raport „Finansowanie warszawskich organizacji LGBT" wydany przez Ordo Iuris wskazuje, że tylko od 22 listopada 2018 r. do 30 września 2019 r. „organizacjom głoszącym postulaty ideologiczne LGBT zagwarantowano 876 500 zł z miejskich programów grantowych". To oznacza, że w ciągu zaledwie 10 miesięcy urzędowania Rafała Trzaskowskiego przekazano na wsparcie środowisk LGBT więcej środków niż przez całą drugą kadencję Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Według informacji zawartych w raporcie wspomniane wyżej stowarzyszenie Lambda Warszawa miało wraz ze Stowarzyszeniem Interwencji Prawnej otrzymać dotację na realizowanie projektu „Razem przeciwko dyskryminacji", a kwota przeznaczona na ten cel z budżetu miasta miała wynieść 96 tys. zł. Z kolei aż 151 tys. zł miało zostać przeznaczone na szkolenia antydyskryminacyjne dla pracowników jednostek organizacyjnych i Urzędu m.st. Warszawy.

Warto również odnotować wyniki raportu przygotowanego przez wiceministra sprawiedliwości Sebastiana Kaletę, byłego radnego m.st. Warszawy, który poinformował, że w latach 2017–2019 łączna kwota dofinansowań dla organizacji promujących postulaty LGBT miała wynieść aż 7 mln zł. Polityk wskazywał wówczas, że środki mogły płynąć z różnych źródeł, tzn. konkretnych biur, dzielnic, a także spółek miejskich.

NIEBEZPIECZNE KONSEKWENCJE

Jak wskazuje psycholog Agnieszka Marianowicz-Szczygieł z Instytutu Ona i On, skutki wprowadzenia do szkół edukacji seksualnej według modelu WHO, będącej elementem przyjętej przez Rafała Trzaskowskiego Deklaracji LGBT+, mogą być wielostronne. Ekspert podkreśla, że u młodzieży mogą wystąpić „zachęta do eksperymentowania z nienormatywną seksualnością i zaburzenie naturalnego rozwoju". Może również pojawić się „obserwowana już w statystykach na świecie eksplozja zaburzeń tożsamości płci i częstszych nieheteroseksualnych tożsamości".

– Prowadzenie takiej polityki może oznaczać spadek spójności społecznej, wzrost podziałów oraz pogłębienie katastrofy demograficznej. Z kolei dla biznesu i nauczycieli może oznaczać ograniczenie swobód obywatelskich. Taka polityka to także odbieranie rodzicom prawa do wychowywania dzieci zgodnie z ich wartościami – podkreśla psycholog z Instytutu Ona i On.

Interesujące spostrzeżenia na ten temat ma również prof. Radosław Zenderowski z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zwraca uwagę na to, że w dyskursie politycznym to seksualność staje się wiodącym kryterium. Socjolog przewiduje, że prowadzenie tego rodzaju polityki będzie miało bardzo poważne konsekwencje dla społeczeństwa. – To będzie prowadziło do dyskryminacji osób, które mają inne poglądy. Pytanie, czy powstanie inna deklaracja na rzecz osób, które czują się dyskryminowane przez społeczność LGBT – komentuje prof. Zenderowski.

– Dlaczego wrażliwość osób LGBT ma być wrażliwością uprzywilejowaną? Na czym polega wyższość przekonań ideologów LGBT nad przekonaniami chrześcijan? – pyta. Profesor Radosław Zenderowski na pytanie, dlaczego politycy i samorządowcy tak usilnie promują postulaty środowisk LGBT, odpowiada wprost: „W moim przekonaniu jest to ideologia". – To jest planowanie pewnej wizji świata bez chrześcijaństwa, bez Boga – tłumaczy.

ZATRZYMAĆ REWOLUCJĘ KULTUROWĄ

Nie ulega wątpliwości, że presja światowej rewolucji i próba zaordynowania poglądów pro-LGBT politykom na całym świecie będzie postępowała. Wszechogarniająca nas poprawność polityczna stopniowo zamienia się w „dyktaturę mniejszości" i dyktaturę relatywizmu. W tym świecie antywartości nie ma miejsca dla Boga, porządku naturalnego i prawdy obiektywnej. Są za to interesy, wielkie dotacje i fundusze pochodzące z potężnych koncernów. Problem wykluczenia społecznego coraz częściej wcale nie dotyczy tych grup, o których tak dużo zostało powiedziane w warszawskiej Deklaracji LGBT+, ale osób chcących zachować swoją tożsamość narodową i chrześcijańskie przekonania.

Przykłady państw Europy Zachodniej pokazują, że rewolucja postępuje i wkrótce może trwale przeorać także Polskę. Metody działania rewolucji są dokładnie takie same jak 30 lat temu we Francji, w Hiszpanii czy Irlandii. Te niegdyś bardzo katolickie kraje są dziś forpocztą tzw. postępu. Odpowiedzialnością naszego pokolenia jest nie dopuścić, aby ten los dosięgnął Polskę. Dlatego tak ważne jest reagowanie na próby realizacji postulatów środowisk LGBT oraz działanie na rzecz odbudowy Christianitas.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Centrum Życia i Rodziny.

eprasa.pl 4e28c29d7b

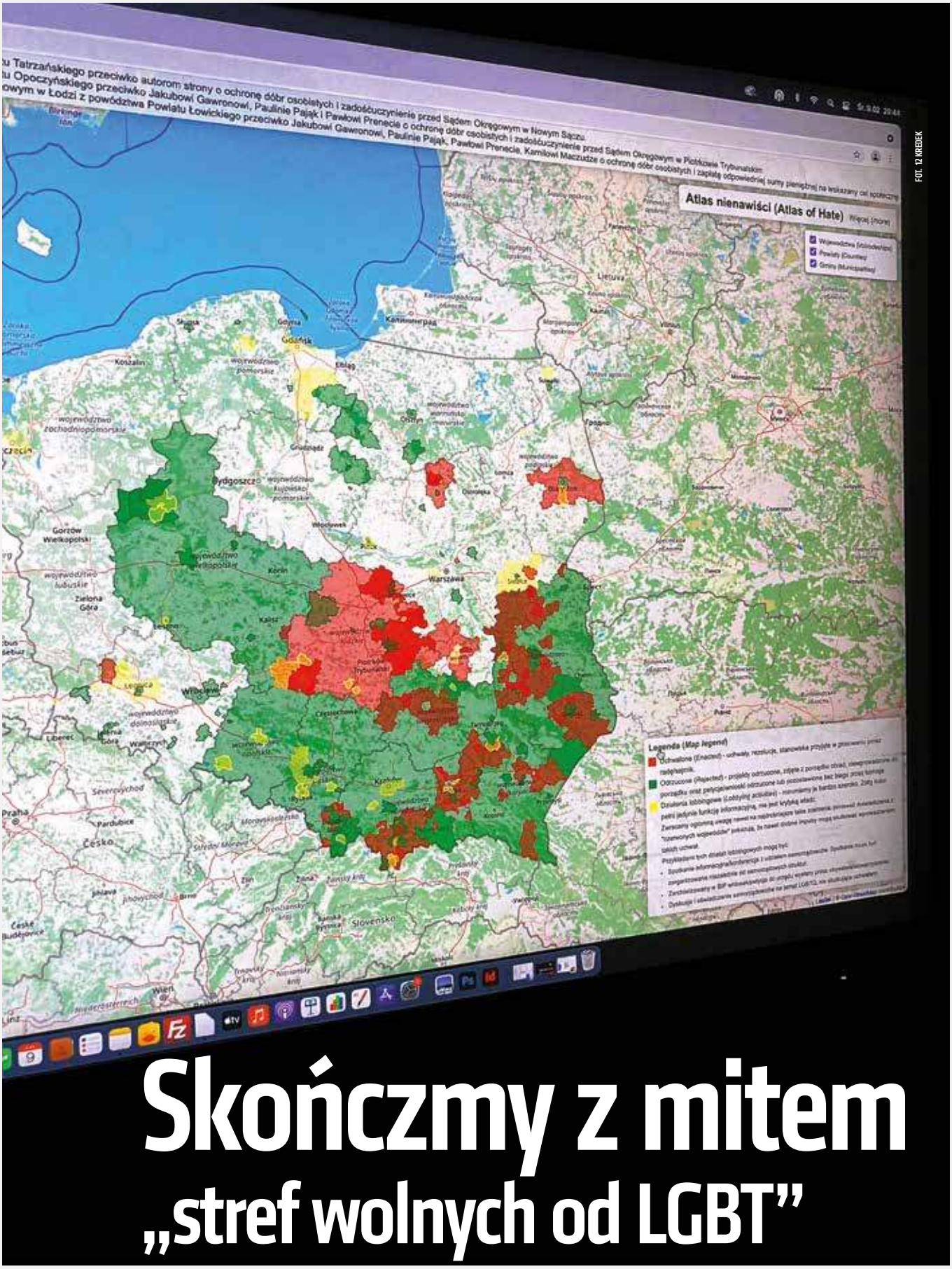

FOT. 12 KREDEK

Skończmy z mitem „stref wolnych od LGBT”

eprasa.pl 4e28c29d7b

Nikodem Bernaciak

Po warszawskiej Deklaracji LGBT+ wiele samorządów uchwaliło deklaracje sprzeciwu wobec „ideologii LGBT". Przypisano im fałszywe miano rzekomo wykluczających „stref"

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski 18 lutego 2019 r. podpisał osławioną Deklarację LGBT+, której jednostronne ogłoszenie nie dokonało się w przewidzianej prawem formie zarządzenia lub projektu uchwały ani nie zostało poprzedzone szerokimi konsultacjami społecznymi. Dokument momentalnie wzbudził olbrzymie protesty społeczne – nie tylko ze strony środowisk tradycyjnie kojarzonych z obroną małżeństwa i rodziny. Już 25 lutego 2019 r. warszawska Branżowa Komisja Dialogu Społecznego ds. Równego Traktowania wystosowała list, w którym stwierdziła, że „sytuacja, w której jedna z grup mniejszościowych jest bardziej chroniona niż pozostałe, rodzi pytanie o rzeczywiste równe traktowanie i niedyskryminację mieszkanek i mieszkańców stolicy przez władze samorządowe".

Polska opinia publiczna szybko dostrzegła, że aktywiści ruchu LGBT, zamiast zmierzać w kierunku rzeczywistego równego traktowania, rozpoczęli walkę polityczną, usiłując przeforsować postulaty radykalnie godzące w naturę gatunku ludzkiego oraz sprzeczne z przekonaniami większości Polaków. Obawy te potwierdził ówczesny wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej, który 4 marca 2019 r. zapowiedział, że propagowanie elementów ideologii ruchu LGBT „trzeba zacząć w przedszkolu", a 15 marca zapowiedział „etapowanie" znane później jako „plan Rabieja": „Najpierw przyzwyczajmy ludzi, że związki partnerskie to nie jest samo zło, że nie niszczą tkanki społecznej i polskiej rodziny. Potem łatwiej będzie o kolejne kroki, o równość małżeńską z adopcją […]. Jestem za etapowaniem: najpierw wprowadźmy związki partnerskie, potem równość małżeńską, a na koniec przyjdzie czas na adopcję dzieci".

Właśnie w reakcji na te niepokojące zapowiedzi 18 marca 2019 r. podczas Warszawskiego Protestu Rodziców przed stołecznym ratuszem ogłoszono projekt Samorządowej Karty Praw Rodzin (SKPR), przygotowany z udziałem Instytutu Ordo Iuris oraz innych prorodzinnych organizacji społecznych. Dokument ten stanowił pozytywną merytoryczną propozycję promowania i wdrażania na poziomie samorządowym ustrojowej zasady ochrony rodziny, małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, rodzicielstwa i macierzyństwa (art. 18 Konstytucji RP), ochrony życia rodzinnego (art. 47) i ochrony dzieci przed demoralizacją (art. 72), a także szczególnej ochrony prawa rodziców do wychowywania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami (art. 48). W latach 2019–2021 przyjęło go aż 40 polskich samorządów.

Radni 50 samorządów w Polsce (gmin, powiatów lub województw) obrali natomiast inną drogę, przyjmując niewiążące prawnie deklaracje sprzeciwu wobec „ideologii LGBT", przygotowane bez udziału Ordo Iuris. W treści uchwał wskazywano trzy przykłady działań inspirowanych – zdaniem radnych – „ideologią LGBT": 1) sprzeczne z prawem instalowanie w szkołach tzw. latarników LGBT, 2) wykorzystywanie szkół przez gorszycieli zainteresowanych wczesną seksualizacją polskich dzieci w myśl tzw. standardów WHO, 3) wywieranie administracyjnej presji na rzecz stosowania poprawności politycznej (tzw. homopropagandy) w wybranych zawodach. Tym trzem bezprawnym zachowaniom radni przeciwstawiali afirmację zachowania zgodnego z prawem – strzeżenie prawa do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniami rodziców.

FAŁSZYWE OSKARŻENIA

26 listopada 2019 r. w siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, pod patronatem eurogrupy Zjednoczona Lewica Europejska, odbyła się konferencja prasowa, podczas której zaprezentowano mapę zatytułowaną „Atlas nienawiści". Oznaczono na niej wszystkie polskie samorządy, które przyjęły prorodzinne uchwały, niezależnie od ich rodzaju (oprócz wymienionych dziewięćdziesięciu pięć samorządów przyjęło akty własnego autorstwa), tworząc dla nich zbiorcze, nieprawdziwe określenie „stref wolnych od LGBT". To właśnie ta mapa stała się pierwszym elementem szeroko zakrojonej kampanii propagandowej przeciwko państwu polskiemu, jakoby dyskryminowało ono osoby o skłonnościach homoseksualnych lub cierpiące na zaburzenia tożsamości płciowej. Parlament Europejski dał wiarę tym fałszywym oskarżeniom, używając wprowadzającego w błąd sformułowania o „strefach" w rezolucjach przeciwko Polsce z 18 grudnia 2019 r., 17 września 2020 r., 11 marca, 14 września i 11 listopada 2021 r.

W rzeczywistości słowo „strefa" nie pada w żadnej z uchwalonych deklaracji. Takie określenie niezgodnie z prawdą sugerowałoby, jakoby radni odmawiali wstępu na dane terytorium jakiejkolwiek osobie lub grupie osób, oddzielając je fizycznie od reszty Polski. Zjawiska typu „no-go zone" faktycznie istnieją, ale nie w Polsce, tylko na Zachodzie. „Strefy" przybierają czasem również charakter pośredni – przykładowo w Europie forsowane są od lat antyizraelskie uchwały określane publicystycznie jako „strefy wolne od izraelskiego apartheidu". W formie uchwały nawołującej do bojkotu, wycofania inwestycji oraz podjęcia sankcji przeciwko państwu Izrael przyjęli je radni licznych miejscowości lub prowincji w Wielkiej Brytanii, Irlandii czy Hiszpanii. W odróżnieniu od uchwał antyizraelskich, nawołujących do rzeczywistego i konkretnego działania, zdecydowanie wykraczającego poza ustawowe kompetencje poszczególnych samorządów, polskie deklaracje sprzeciwu wobec „ideologii LGBT" nie charakteryzują się tymi cechami.

Na przełomie lat 2019 i 2020 do tej dezinformującej kampanii przyłączył się także ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, składając do wojewódzkich sądów administracyjnych dziewięć skarg na samorządowe deklaracje sprzeciwu wobec „ideologii LGBT". Warto wspomnieć, że oprócz Bodnara pięć skarg złożyła także osoba prywatna – wszystkie zostały odrzucone już w pierwszej instancji. W postanowieniu z dnia 22 września 2021 r. (III OSK 4685/21) Naczelny Sąd Administracyjny potwierdził prawomocnie, że „zaskarżona uchwała nie jest aktem prawa miejscowego", co powinno stać się cenną wskazówką dla kolejnych tego typu orzeczeń. Natomiast spośród dziewięciu skarg RPO trzy wciąż czekają na rozpatrzenie, a sześć zostało uwzględnionych przez wojewódzkie sądy administracyjne. Sądy te posługiwały się w większości zideologizowaną argumentacją

eprasa.pl 4e28c29d7b

zaczerpniętą z pism RPO lub aktywistów ruchu LGBT. Krakowski WSA stwierdził w kuriozalnym uzasadnieniu, że zdanie „będziemy chronili nauczycieli przed narzucaniem im nieprofesjonalnych kryteriów działania np. w pracy wychowawczej, przy doborze pracowników czy kontrahentów" oznacza… zakaz zatrudniania homoseksualistów w szkołach (!). Żadne z tych orzeczeń nie jest jednak prawomocne – wszystkie zostały zaskarżone do NSA, który jak do tej pory (luty 2022 r.) nie wydał ani jednego prawomocnego orzeczenia stwierdzającego nieważność deklaracji.

Instytut Ordo Iuris uczestniczy w każdym z tych postępowań, jednak jako samodzielny uczestnik, a nie reprezentant samorządów. W swoich pismach procesowych podkreśla, że w żadnym wypadku intencją radnych nie było nadanie deklaracjom mocy prawnej. Prawo uchwalania, oprócz uchwał sensu stricto, również tego typu dokumentów mieści się w zakresie kompetencji samorządowych ciał prawodawczych, co potwierdził Naczelny Sąd Administracyjny wyrokiem z dnia 25 maja 2017 r. (I OSK 297/17): „Uchwała jest nie jedyną, lecz główną formą uzewnętrzniania woli rady. W praktyce organ stanowiący podejmuje także apele, wnioski, rezolucje, stanowiska itp. Takie apele czy deklaracje mieszczą się w mającej kilkaset lat tradycji prawa do petycji".

KLUCZOWY AKRONIM

Główny problem z deklaracjami dotyczy nazewnictwa. Teoretycznie sami samorządowcy wielokrotnie podkreślali, że użyte przez nich określenie „ideologia LGBT" nie dotyczy jakiejkolwiek grupy osób. Przykładowo radni miasta Tuchowa w uchwale z dnia 18 marca 2020 r. stwierdzili, że jako „ideologię LGBT" rozumieją zespół „kontrowersyjnych i niepodzielanych przez znaczną część społeczeństwa poglądów na małżeństwo, rodzinę, sposób okazywania ludzkiej seksualności, wczesną seksualizację dzieci" oraz „próby ich forsowania w edukacji, kulturze i życiu społecznym". Jednym z podstawowych założeń ruchu LGBT jest odrzucenie zakorzenionej w konstytucji zasady dychotomicznego podziału na płeć męską i żeńską. Jest oczywiste, że nie wszystkie osoby o skłonnościach homoseksualnych lub z zaburzeniami tożsamości płciowej odrzucają tę zasadę. W skrócie rzecz ujmując: nie każda osoba o skłonnościach homoseksualnych lub z zaburzeniami tożsamości płciowej jest członkiem ruchu LGBT, a zarazem nie każdy członek ruchu LGBT jest osobą o skłonnościach homoseksualnych lub z zaburzeniami tożsamości płciowej.

Fakt przynależności do ruchu LGBT osób niebędących „osobami LGBT" potwierdzał np. marksistowski filozof Slavoj Žižek w swoim głośnym artykule „The sexual is political" (2016). Innym przykładem istnienia takiego rozróżnienia jest brytyjski ruch społeczny „Get the L out of LGBT", zrzeszający lesbijki sprzeciwiające się uzurpowaniu sobie przez ruch LGBT prawa do reprezentacji ich interesów. Profesor Jacek Bartyzel wprost definiuje ideologię LGBT jako „prawne, moralne i społeczne zrównanie wszelkich form aktywności w sferze płciowej, bazujące na uznaniu równoprawności i równorzędności tzw. orientacji seksualnych. Jej swoista »oryginalność« polega na tym, że jest to pierwsza w historii ideologia, która w centrum swojego zainteresowania postawiła akceptację dla każdego czy prawie każdego sposobu uzyskiwania satysfakcji płciowej oraz nadania tym praktykom statusu prawno-publicznego".

W praktyce jednak urzędnicy nie są skłonni wdawać się w dysputy filozoficzne, a samo użycie w uchwale akronimu „LGBT" oprócz semantycznej kapitulacji wiąże się często z niebezpieczeństwem zakwestionowania legalności danej uchwały przez sąd lub utraty przez samorząd finansowania zagranicznego, np. z Funduszy Norweskich albo środków UE. Jedynym dokumentem bezpiecznym z tego punktu widzenia pozostaje SKPR, która w ogóle nie zawiera tego akronimu. Cennym punktem odniesienia jest tu przypadek rady miejskiej w Wilamowicach, która – w odpowiedzi na podobne zarzuty – uchwałą z dnia 30 kwietnia 2021 r. uchyliła uchwałę zawierającą stwierdzenie o „podważaniu przez przedstawicieli środowisk LGBT pojęcia modelu rodziny", zastępując ją właśnie Kartą, która nie wzbudzała już zastrzeżeń przedstawicieli Królestwa Norwegii. Obawy nielicznych samorządów, które decydowały się na uchylenie Karty, były zatem bezzasadne.

Żadna spośród 40 uchwał przyjmujących SKPR nie została nigdy skutecznie zaskarżona do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Treść SKPR nigdy nie była przyczyną stwierdzenia nieważności uchwały przez któregokolwiek z wojewodów. Aby ułatwić wprowadzanie proponowanych rozwiązań w życie, eksperci Instytutu Ordo Iuris przygotowali nawet kilkudziesięciostronicowy poradnik „Jak realizować Samorządową Kartę Praw Rodzin?", dostępny bezpłatnie zarówno w Internecie, jak i w wersji papierowej. O pełnej zgodności SKPR z Konstytucją RP zaświadczyli również uznani profesorowie prawa konstytucyjnego – Anna Łabno oraz Jacek Zaleśny.

Samorządowcy mogą wciąż przyjmować Samorządową Kartę Praw Rodzin jako najbezpieczniejszą formę obrony małżeństwa

POSELSKI PROJEKT WCIĄŻ CZEKA

Prorodzinni samorządowcy liczyli, że dobre rozwiązania proponowane w SKPR zostaną przeszczepione na grunt ogólnopolski – tak jak uczyniono to 10 lat wcześniej z Kartą Dużej Rodziny, przyjętą najpierw w poszczególnych samorządach, a dopiero w 2014 r. przez Sejm dla całego kraju. Od stycznia 2021 r., a zatem już ponad rok, w Sejmie czeka na uchwalenie poselski projekt ustawy o polityce prorodzinnej jednostek samorządu terytorialnego „Samorząd dla Rodziny" (druk nr 869), o postulatach zbliżonych do SKPR, zawierający jednoznaczną definicję rodziny jako „wspólnoty osób związanych pokrewieństwem, powinowactwem, przysposobieniem lub związkiem małżeńskim".

Samorządowcy wciąż mogą przyjmować Samorządową Kartę Praw Rodzin jako najbezpieczniejszą formę pomocy rodzinom i obrony naturalnej tożsamości małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, przede wszystkim zamiast uchwał zawierających niefortunny akronim „LGBT". Również polscy posłowie na Sejm powinni jednak stanąć na wysokości zadania i jak najszybciej „odmrozić" projekt prorodzinnej ustawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Jak samorządy wdrażają ideały LGBT?

Agnieszka Gracz

Otwartość włodarzy miast sprzyja realizacji postulatów i projektów środowisk LGBT nie tylko w dużych ośrodkach, lecz także coraz częściej w miastach powiatowych, a nawet niektórych gminach

Cele organizacji LGBT są jasno sprecyzowane w tzw. Karcie LGBT+, która ma być programem realizowanym we współpracy z samorządami. Główne postulaty to sieć hosteli interwencyjnych, centrów społeczno-kulturalnych. To także obszar współdziałania z pracodawcami oraz Karta Różnorodności, a więc wytyczne dla urzędów, które będą określać sposób traktowania społeczności LGBT. Chodzi też o stworzenie „systemu monitorowania przestępstw przeciw społeczności", a deliktem, jak obserwujemy na przykładzie Finlandii, może okazać się nawet przywołanie fragmentów Pisma Świętego w odniesieniu do aktywności homoseksualistów, co zostało uznane za mowę nienawiści. Środowiska LGBT oczekują również powołania swoich pełnomocników w każdym regionie oraz „latarników", którzy będą wspierać dzieci i młodzież. Organizacje LGBT nie ukrywają, że pośród priorytetów ich działalności jest równość małżeńska edukacja seksualna.

Każdego roku organizacje LGBT prowadzą cykliczne imprezy w miastach: warsztaty, pokazy filmów, szkolenia, prelekcje, spektakle teatralne i parady równości. Odbywają się one głównie podczas imprez takich jak Queerowy Maj w Krakowie, Poznań Pride Week, wielu festiwali przeciwko wykluczeniom, jak Szczecin Pride Festiwal czy Miesiąc Dumy w czerwcu.

KRAKÓW, POZNAŃ, WARSZAWA

Niewątpliwie otwartość włodarzy miast sprzyja realizacji postulatów i projektów środowisk LGBT nie tylko w dużych ośrodkach, lecz także coraz częściej w miastach powiatowych, a nawet niektórych gminach. Wsparcie ze strony organów samorządowych odbywa się na wielu płaszczyznach. Dotyczy okazjonalnego współfinansowania inicjatyw w ramach różnych programów, udostępniania pomieszczeń czy udzielania patronatu prezydenta miasta nad Paradą Równości, tak jak to było w przypadku parady w Warszawie, ale i obecności włodarza. Po raz pierwszy uczynił to w 2015 r. Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, a w ostatnim czasie i prezydent stolicy. Te imprezy to jedne z pierwszych rozpoznawalnych inicjatyw środowisk LGBT, które odbywają się też pod nazwą marszów czy wieców. Społeczność LGBT wyszła na ulice stolicy w 2001 r., potem Poznania (2004), Krakowa (2004), Wrocławia (2009) i mniejszych miast Polski.

Od pewnego czasu organizacje reprezentujące środowiska LGBT lobbowały na rzecz współpracy z samorządami. Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza prowadziło rozmowy z samorządowcami, które dotyczyły podpisania tzw. Karty LGBT+. Zawiera ona zobowiązania do podejmowania wielu działań w obszarze edukacji, kultury, sportu czy administracji na rzecz społeczności LGBT. Taką współpracę zadeklarowały samorządy Warszawy i Krakowa, dołączyły do nich też Częstochowa, Łódź i Poznań. Wrocław przyjął natomiast Deklarację Szacunku i Praw Człowieka i choć nie pociąga ona za sobą rozwiązań prawnych, to jest deklaracją solidarności ze środowiskami LGBT.

Jednym z realizowanych zobowiązań Karty LGBT+ są hostele interwencyjne, przeznaczone dla młodych ludzi ze społeczności LGBT w kryzysie bezdomności. W Krakowie taka placówka rozpoczęła oficjalnie działalność z początkiem 2021 r. Miasto zagwarantowało ośrodkowi finansowanie na dwa lata w wysokości 184 tys. zł. Niedługo potem uruchomiono hostel w stolicy. Ta inwestycja również otrzymała dotacje z budżetu na trzy lata. Na początku 2022 r. również Wrocław zaplanował otwarcie takiego punktu, który poprowadzi Stowarzyszenie Kultura Równości, a dofinansowanie uzyskano z programu „Aktywni Obywatele – Fundusz Regionalny". Przy wsparciu samorządu w Poznaniu uruchomiono niedawno pilotażowy program mieszkania interwencyjnego.

Aktywiści LGBT przeszczepili na polski grunt również „Żywe Biblioteki", a żywymi książkami są tu zaproszeni goście, którzy reprezentują np. mniejszości seksualne, grupy, które czują się dyskryminowane. Celem spotkań ma być przeciwdziałanie uprzedzeniom i stereotypom. Pierwsze takie wydarzenie odbyło się w stolicy w 2007 r.

„Żywe Biblioteki" organizowane są nie tylko w większych miastach, lecz także w mniejszych miejscowościach,

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ADOBE STOCK

takich jak Nowa Wieś Ełcka, gdzie w lutym w Bibliotece Publicznej Gminy Ełk odbędzie się takie spotkanie w ramach projektu „Lokalnie dla różnorodności". Wydarzenia są organizowane zwykle w budynkach, które podlegają samorządom.

EDUKACJA SEKSUALNA CZY SEKSUALIZACJA DZIECI?

Niepokój wielu rodziców i organizacji zajmujących się ochroną rodziny budzą coraz częstsze próby wkraczania organizacji LGBT do szkół. Pośród ich propozycji są zwykle zajęcia z edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej, która uwzględnia kwestie tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej, według standardów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

Wytyczne WHO w przypadku zajęć z edukacji seksualnej, do których nawiązuje Karta LGBT+, zakładają uczestnictwo w nich najmłodszych do czwartego roku życia. Dzieci w tym czasie miałyby mieć kształtowaną „świadomość związaną z tożsamością płciową". Z kolei maluchom w wieku przedszkolnym od czwartego do szóstego roku życia edukatorzy mieliby przekazywać informacje o rolach płciowych, poznawaniu własnego ciała, czerpaniu przyjemności z masturbacji, a także antykoncepcji i akceptacji bądź też nie wczesnych stosunków seksualnych.

I choć zajęcia z podobnymi wytycznymi nie są prowadzone dla najmłodszych dzieci, to niektóre elementy pojawiają się w programach zajęć dla nastolatków. Te programy wywołały oburzenie rodziców i wielu środowisk. Stowarzyszenie Odpowiedzialny Gdańsk protestowało przeciw edukacji seksualnej „Zdrove Love" w pomorskich szkołach ponadpodstawowych, które zainicjowano w roku szkolnym 2018/2019. Materiały do warsztatów tych zajęć zostały sfinansowane z funduszy miasta. W minionym roku samorząd gdański dofinansował też kwotą 55 tys. zł program „Na równych zasadach". To z kolei szkolenia dla nauczycieli i dyrektorów szkół, których celem jest zapobieganie dyskryminacji dzieci i młodzieży LGBT+, a prowadziło je stowarzyszenie na rzecz osób LGBT Tolerado.

Próby aktywności organizacji deklarujących się jako LGBT i promujących postulaty ideologii gender w szkołach oburzają nie tylko rodziców. Niepokoją również środowiska osób odpowiedzialnych za edukację i wychowanie młodych ludzi. Małopolska kurator oświaty Barbara Nowak, choć wskazuje, że w jej regionie to marginalny problem, wielokrotnie zwracała uwagę, że programy edukacji seksualnej proponowane przez organizacje LGBT mają charakter szkodliwy i demoralizujący dzieci i młodzież. Dlatego też, aby przeciwdziałać próbom ideologizacji dzieci, w ostatnim czasie przygotowano nowelizację ustawy Prawo oświatowe. Jej zapisy wzmacniają nadzór pedagogiczny nad programami proponowanymi szkołom przez organizacje pozarządowe.

ZADANIA SAMORZĄDU

– Przekazywanie uczniom treści dotyczących płciowości, seksualności, małżeństwa, rodziny i rodzicielstwa jest objęte rozporządzeniem ministra edukacji wydanym na podstawie przepisów ustawy o planowaniu rodziny – przypomina mec. Rafał Dorosiński, członek zarząd Instytutu Ordo Iuris. Zagadnienia te, jak mówi, należą do zakresu przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie.

Prawnicy Ordo Iuris skutecznie interweniowali tam, gdzie istniało podejrzenie przekraczania przez samorząd swoich kompetencji. Jednym z przykładów jest Poznań, gdzie w 2021 r. wojewoda wielkopolski stwierdził nieważność zarządzenia o wprowadzeniu do tamtejszych szkół zajęć z tzw. edukacji antydyskryminacyjnej. – Wydatkowanie przez niektóre samorządy środków publicznych na ideologiczne działania realizowane bez wiedzy rodziców uczniów budzi nasze największe wątpliwości – mówi mec. Dorosiński. – Spotykamy się z problemem prób ingerencji władz samorządów w treści programowe. Jest to sprzeczne z elementarnym podziałem kompetencji w zakresie oświaty między kuratoria a jednostki samorządu terytorialnego. Te ostatnie, zgodnie z ustawą, odpowiadają za aspekt administracyjno-finansowy funkcjonowania oświaty, co wynika wprost z prawa oświatowego – zaznaczył. Ponadto działalność w obszarze kultury również powinna być zgodna z przepisami prawa. – Organy administracyjne mogą podejmować tylko takie działania, do których są wyraźnie uprawnione. Brak podstawy prawnej oznacza niemożność podjęcia przez samorząd kwestionowanej aktywności – podkreślił mec. Dorosiński.

MARSZ PRZEZ INSTYTUCJE

Trudno ocenić skalę wsparcia środkami publicznymi inicjatyw, które promują postulaty LGBT, chociażby ze względu na to, że niektóre z nich odbywają się w ramach różnych wydarzeń. Taki raport przygotował Instytut Ordo Iuris, analizując lata 2014–2018 w samorządach. Najbardziej aktywne w tym zakresie były województwa: dolnośląskie, małopolskie, mazowieckie, śląskie i zachodniopomorskie.

Obserwując jednak sposoby działania organizacji LGBT, trudno nie odnieść wrażenia, że ideologowie LGBT stosują sprawdzone już metody przenikania do świata kultury, polityki, ale przede wszystkim edukacji. Ewa Thompson, znakomita amerykańska slawistka, która przypomniała, że „Notatki z więzienia" Antonia Gramsciego i „Zasady dla radykałów" Saula Alinsky'ego nadal uczą młodych ludzi, jak walczyć o zwycięstwo lewicy, słusznie przypomniała, że trzeba demaskować próby rozbijana jednostek i rodzin, ale trzeba również działać. Dziś możemy obserwować w wielu państwach Europy destrukcję, którą niesie młodym ludziom i rodzinom wdrażanie postulatów ideologii gender.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem Centrum Życia i Rodziny, dziennikarzem portalu Marsz.info.

eprasa.pl 4e28c29d7b

George Soros – sponsor LGBT

Piotr Relich

Rewolucja mierzona liczbą tęczowych toreb na ulicach nie zaczęłaby się, gdyby nie potężne pieniądze, płynące nieprzerwanie głównie z jednego źródła

Prowadzący rewolucję pod sześciokolorowym sztandarem i błyskawicą nie mieliby co liczyć na poparcie wychowanych – jeszcze – w katolickiej i konserwatywnej tradycji mas, gdyby nie obsypywanie paciorkami tubylców i przejmowanie władzy nad umysłami ich dzieci.

Dziś jest ich Legion; uzależniające od swoich produktów megakorporacje, zbulwersowane poziomem naszego „zacofania" organizacje międzynarodowe, fundacje i stowarzyszenia odkręcające kurek z pieniędzmi na działalność rodzimych wywrotowców oraz oszalała z rewolucyjnego zacietrzewienia kultura. Jednak zanim rozpoczęto przekształcanie „krnąbrnych" i „zaściankowych" Polaków w „światłych Europejczyków", ktoś wcześniej musiał przetrzeć szlaki.

Mowa o nikim innym jak o amerykańsko-węgierskim finansiście żydowskiego pochodzenia, „straszaku i chochole polskiej prawicy" – George'u Sorosie. Najpilniejszy uczeń Karla Poppera wciąż pozostaje nestorem nie tylko finansistów, lecz także samozwańczych filantropów opętanych wizją przekształcania świata na swoją modłę. Działając na chwałę i sławę „społeczeństwa otwartego" – utopii, której bronił jeszcze w zeszłym roku (In Defense of Open Society) – rozpoczął on rewolucję nad Wisłą na lata przed kapitulacją komunistów.

W 1988 r. funkcjonowanie rozpoczęła Fundacja Stefana Batorego, nowatorski NGOs, odnoga potężnego Open Society Foundations (wtedy Open Society Institute) na Europę Wschodnią. Instytucja do dziś odgrywa rolę zarówno dystrybutora środków przekazywanych przez samego założyciela, innych „filantropów" (Fundacja Forda, Bosha), jak i narzędzia zapewniającego odpowiednie wykorzystanie środków z programów Komisji Europejskiej czy Funduszy EOG. Pomoc realizowana w formie dotacji, grantów czy stypendiów wynosi od kilkunastu do kilkudziesięciu milionów złotych rocznie.

Pod koniec lat 80. środki przeznaczano na wspieranie opozycji i „przygotowywanie nowych kadr dla demokracji i gospodarki rynkowej". Później w centrum zainteresowania znalazło się tzw. równouprawnienie kobiet, przygotowywanie polskiego społeczeństwa do wstąpienia w szeregi Unii Europejskiej, rozbudzanie demokratycznych postaw czy tropienie ksenofobii i antysemityzmu, o którym – jak czytamy w raportach fundacji – „było dużo wiadomo".

Jednocześnie przekazywano ogromne pieniądze na działalność charytatywną, domy dziecka czy wsparcie dla biednych rodzin. Wielu szlachetnych ludzi, w tym kapłanów, dało się uśpić tą pozorną

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ADOBE STOCK

dobroczynnością, nie dostrzegając zagrożenia ideologicznego. Wyrazista zmiana nastąpiła dopiero ok. 2008 r., kiedy za nieodłączny element budowy społeczeństwa demokratycznego uznano mniejszości seksualne zgromadzone pod czteroliterowym (pięcio-, sześcio-?) akronimem.

KŁADZENIE FUNDAMENTÓW

Pierwszą „historyczną" dotację w wysokości ponad 100 tys. zł, udzieloną przez Sorosa z jego środków, otrzymała założona przez Roberta Biedronia Kampania przeciw Homofobii. Środki przeznaczono na „działania statutowe dotyczące przeciwdziałania dyskryminacji i nietolerancji". Zanim jej przewodniczący zajął się dużo bardziej dochodowym biznesem – polityką, KPH otrzymała jeszcze dwie dotacje. Do dzisiaj stowarzyszenie odpowiedzialne m.in. za przeprowadzanie w szkołach słynnych „tęczowych piątków" otrzymuje z kieszeni „Batorego" regularne wsparcie.

Do grona pierwszych „klientów" Sorosa dołączyła bodaj najstarsza organizacja LGBT w Polsce – Stowarzyszenie Lambda Warszawa. W 2014 r. na „działania antydyskryminacyjne" otrzymała z rąk Fundacji Batorego prawie 200 tys. zł., natomiast dodatkowe 157 tys. przeznaczono na „hostel interwencyjny dla osób LGBT". Jednak dopiero dzięki zaangażowaniu stołecznego ratusza we wrześniu 2021 r. ogłoszono, że inwestycja przeszła do fazy realizacji. Z grantu Fundacji Batorego „hostel interwencyjny" o wdzięcznej nazwie Dom-Eq powstał natomiast w Krakowie.

W 2016 r. Lambda Warszawa pozyskała 166 tys. zł na opracowanie podręcznika trenerskiego „Szkoła bez homofobii", stanowiącego podstawę dla edukatorów „antydyskryminacyjnych" oraz sygnalistów w miejscach pracy, na uczelniach i w szkołach. Z kolei Miłość Nie Wyklucza (w której strukturach działa autor tablic ze „strefami wolnymi od LGBT", Bart Staszewski) otrzymała 205 tys. zł na projekt „Równość małżeńska"; długofalową strategię wprowadzenia w Polsce do 2025 r. pseudomałżeństw homoseksualnych. W tym samym roku na program „Tęczowe rodziny pełne sił i blasku", zainicjowany przez Stowarzyszenie na rzecz Osób LGBT Tolerado z Gdańska, Fundacja Batorego przekazała 154 tys. zł.

„PRZEŁOM"

W 2018 r. z ponad miliona złotych wsparcia skorzystały m.in. KPH, Miłość Nie Wyklucza, Akceptacja Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Osób Homoseksualnych, Biseksualnych i Transpłciowych (Warszawa), Federacja Znaki Równości (Kraków), Fundacja Akceptacja (Poznań), Fundacja na rzecz Różnorodności Polistrefa (Kraków), Fundacja Równość.org.pl (Kraków), Kultura Równości (Wrocław), Tolerado (Gdańsk) czy Queerowy Maj (Kraków). W następnym roku do grona beneficjentów dołączyły Stowarzyszenie Tęczówka z Katowic oraz Stowarzyszenie Tęczowe Opole.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Lata 2017–2019 same tęczowe organizacje uznają za „przełom"; w końcu udało się wyjechać poza duże metropolie. Tak zwane parady równości zawitały do Białegostoku, Rzeszowa, Torunia, Konina, Opola, Częstochowy, Szczecina, Lublina, Zielonej Góry, Gdyni, Koszalina, Gniezna, Bydgoszczy, Olsztyna, Kielc, Płocka, Radomska, Gorzowa Wielkopolskiego, Słupska, Kalisza i Elbląga.

To w tym okresie dokonywano profanacji mszy świętych, bezczeszczenia wizerunku Matki Bożej i Najświętszego Sakramentu, promowano seksedukację opartą na wytycznych WHO, powstał „Atlas nienawiści", po Europie zaczęło krążyć kłamstwo o „strefach wolnych od LGBT", a zagraniczne media przyjeżdżały, by kręcić dokumentalne paszkwile porównujące Polskę do III Rzeszy.

Co ciekawe, w sprawozdaniach finansowych beneficjentów zagranicznej pomocy najczęściej przewija się cel „rozbudowy infrastruktury fundraisingowej". Najwidoczniej uznano, że rewolucja w Polsce może utrzymywać się już sama; pionierem w tej materii okazał się kolektyw STOP Bzdurom, zbierający w krótkim czasie ok. 400 tys. zł.

W PIERWSZEJ LIDZE

Teraz przenieśmy się na poziom międzynarodowy. Ruch spod znaku sześciokolorowej tęczy posiada niesamowity potencjał polityczny, skrzętnie wykorzystywany chociażby przez Unię Europejską. Nieustanna wrzawa garstki hałaśliwych krzykaczy stanowi pretekst umożliwiający batożenie niepokornych krajów, które jeszcze niedostatecznie wpoiły sobie „wartości europejskie". Przykładowo wystarczyło zagrozić pozbawieniem środków z Funduszy Norweskich, by niektóre samorządy rakiem wycofały się z deklaracji o przeciwdziałaniu szkodliwej seksedukacji.

Ze względu na przyjęcie „uchwał anty-LGBT" zamrożeniu uległy również niektóre środki na Krajowy Plan Odbudowy. Komisja Europejska zawiesiła rozmowy z pięcioma polskimi województwami na temat wypłat środków z programu „REACT-EU". A chodzi o, bagatela, 47 mln zł.

Gorącym zwolennikiem mechanizmu „pieniądze za praworządność" jest przede wszystkim George Soros, który nie pozostawił na eurokratach suchej nitki za lipcowe ustępstwa wobec Polski i Węgier. Od sprzeciwu wobec naszego kraju uzależnił nawet przyszłość Unii jako „społeczeństwa otwartego, wiernego wartościom, na których zostało założone". O jego wpływach w Radzie Europy i wśród sędziów TSUE pisał swego czasu Instytut Ordo Iuris.

Jednak mimo coraz większych pieniędzy pompowanych w tęczową rewolucję w Polsce efektów – poza szumem medialnym i przekrzykiwaniem w europarlamencie – brak. Można więc ze stuprocentową pewnością spodziewać się przyspieszenia procesu w przyszłości. W końcu skoro ktoś płaci, to wymaga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Tomasz Cukiernik

Czy bojkot konsumencki może być skuteczny?

Bojkot konsumencki jest właściwą odpowiedzią na promowanie przez międzynarodowe koncerny zachowań dewiacyjnych, ale aby był skuteczny, musi być odpowiednio przygotowany

W 2019 r. Coca-Cola zorganizowała na Węgrzech kontrowersyjną kampanię reklamową. W budapeszteńskim metrze oraz na dworcach kolejowych i autobusowych pojawiły się wizerunki obejmujących się mężczyzn, a także butelki napoju w tęczowych barwach podpisane hasłem: „Miłość to miłość. Zero cukru, zero przesądów". Kampania wywołała wśród Węgrów wzburzenie. Wzywano do bojkotu produktów Coca-Coli. Protestował István Boldog, parlamentarzysta rządzącej partii Fidesz, a na stronie CitizenGO pod petycją przeciwko reklamom promującym ideologię LGBT zebrano ponad 41 tys. podpisów. Co więcej, działacze węgierskiej partii Nasza Ojczyzna zablokowali wjazd do fabryki Coca-Coli w miasteczku Dunaharaszti pod Budapesztem. Jeszcze tego samego roku władze uznały, że kampania złamała przepisy, które zakazują reklam mogących zaszkodzić fizycznemu, duchowemu, emocjonalnemu lub moralnemu rozwojowi dzieci i młodzieży. Koncern ukarano grzywną w śmiesznej wysokości 500 tys. forintów (niecałe 6,5 tys. zł), ale zobowiązano go, by więcej nie zamieszczał takich reklam.

Nieco wcześniej w USA sieć McDonald's na cześć Gay Pride zaoferowała klientom frytki w opakowaniach z tęczą, na co środowiska chrześcijańskie odpowiedziały bojkotem, który rozprzestrzenił się na Facebooku. Ludzie byli oburzeni szczególnie faktem, że w ten sposób deprawuje się dzieci i młodzież, które są klientami restauracji.

Z kolei polscy konserwatyści decydują się na rezygnację z usług banków, które na swoich profilach w portalach społecznościowych doklejają tęczowe flagi.

Z bojkotem konsumenckim wielokrotnie zmagała się Ikea. Sklepy tej marki miały być omijane szerokim łukiem po tym, jak w maju 2019 r. meblowy koncern zwolnił w Krakowie swojego pracownika. Stało się to po tym, jak w odpowiedzi na promocję przez sklep homoseksualizmu i ideologii LGBT przytoczył dwa cytaty z Pisma Świętego. Kolejny bojkot Ikei miał miejsce dwa lata później, kiedy to koncern z okazji Międzynarodowego Dnia przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii wprowadził do sprzedaży tęczowe torby. „Nie tylko nie kupię tej szpetnej torby, ale w ogóle nic już nie kupię w Ikei. I do tego namawiam wszystkich, którzy nie życzą sobie, żeby strugacze mebli pouczali ich w sprawach światopoglądowych" – napisał wtedy na Twitterze poseł Dobromir Sośnierz.

KONCERNY NA TYM ZARABIAJĄ

Koncerny wspierają LGBT, bo na tym procederze po prostu zarabiają. Jak zauważa Karol Skorek, prezes Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Rolników SWOJAK, człowiek bezrefleksyjny, bez zobowiązań, wyzuty z tradycji jest znacznie lepszym klientem niż konserwatysta i tradycjonalista. Dlaczego? Ponieważ mniej myśli o przyszłości i całość dochodów wydaje na bieżące przyjemności, często na drogie oraz niekoniecznie potrzeb-

eprasa.pl 4e28c29d7b

ne przedmioty luksusowe i markowe. „Forbes" podał, że siłę nabywczą społeczności LGBT+ na świecie szacuje się na 4,6 bln dol. rocznie. To więcej niż PKB Niemiec. Homoseksualni mężczyźni zarabiają więcej niż ich heteroseksualni koledzy. To o ich pieniądze toczy się walka. Po prostu promocja LGBT przez koncerny to jeszcze jedna z form reklamy. A że przy okazji przynosi negatywne skutki

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

społeczne? Który koncern to interesuje? Najważniejsze, że zgadza się kasa na koncie firmy i są dodatkowe premie do wypłaty dla pracowników.

Promocja ideologii LGBT i gender to demoralizacja społeczeństwa, niszczenie więzi rodzinnych i uderzanie w podstawy państwa. – Propagowanie idei prowadzących do masowej demoralizacji i rozkładu społecznego można śmiało uznać za formę agresji i dywersji ideologicznej, a organizacje propagujące i finansujące ów rozkład uznać za dywersantów i obłożyć sankcjami. Pamiętamy przecież, że bez wsparcia ze strony wielkiego kapitału z Zachodu nie byłoby rewolucji Lenina, która pociągnęła za sobą miliony ofiar. Niestety, większość współczesnych rządów jest po uszy zadłużona u wielkiego kapitału, dlatego toleruje propagowanie rozkładowych idei przez współczesnych zdegenerowanych plutokratów reprezentujących stan umysłowy Nerona albo Kaliguli. Pozostaje nam jedynie bojkot konsumencki, czyli niekupowanie towarów od producentów, którzy finansują wrogie nam idee – uważa ekonomista Marcin Janowski z kanału Na Argumenty.

Jednak zdecydowana większość bojkotów konsumenckich była nieudana, czego przykładem jest choćby casus Ikei. Obserwowałem ten przypadek i widziałem, jak dzień po ogłoszeniu bojkotu tłumy waliły do Ikei w Katowicach, bo była jakaś promocja. I rzeczywiście, jak przyznawał sam koncern, bojkot nie był skuteczny, a jego przychody były wyższe niż rok wcześniej. Z wielu powodów. Część społeczeństwa ma inny pogląd i nie utożsamia się z bojkotującymi, co może wynikać zarówno z głębokich przemyśleń, jak i z braku świadomości pewnych spraw. Innych ludzi problem w ogóle nie interesuje. Jeszcze inni nie są solidarni ani konsekwentni albo rozdzielają sprawy światopoglądowe od korzyści z kupna taniego produktu. Można temu zaradzić.

WARUNKI SKUTECZNEGO BOJKOTU

Bojkot konsumencki zadziała tylko wtedy, gdy zostanie dobrze przygotowany i właściwie przeprowadzony. Po pierwsze, najpierw należy zrobić staranne przygotowanie propagandowe, żeby skupić uwagę ludzi. I co ważne – nie rozpraszać się, tzn. bojkotować nie wszystkie towary czy firmy, a tylko jedną. – Dotychczas takie działania obliczone były na „spontan i odlot". Na zasadzie: rzucimy hasło i wszyscy się przyłączą. A to tak nie działa. Nie wszyscy nawet wiedzieli, że jest coś takiego. Akcję trzeba przygotowywać kilka miesięcy. Konieczne jest bombardowanie propagandowe dzień w dzień za pomocą wszystkich dostępnych środków przekazu, żeby uwaga ludzi skupiła się na tym jednym punkcie. Wtedy ten punkt jest bardzo jasno oświetlony. Dopiero wtedy należy uderzyć z bojkotem – radzi publicysta Stanisław Michalkiewicz.

Po drugie, żeby bojkot był skuteczny, musi być powszechny. Dlatego z inicjatywą bojkotu nie może wystąpić ktoś, kto ma niewielkie wpływy w społeczeństwie. Muszą to zrobić osoby mające duży wpływ na zachowanie ludzi, których przynajmniej część obywateli posłucha, np. episkopat czy autorytety moralne. Po trzecie, to muszą być działania skoordynowane, bo oderwane inicjatywy skończą się fiaskiem i zniechęcą tylko tych, którzy by się w nie zaangażowali.

Gdyby w rezultacie bojkotu konsumenckiego sprzedaż danego koncernu spadła o 10 proc., to zarząd by się zreflektował, że właściwie nie bardzo mu się to opłaca. Firma może zostać wyparta z rynku przez konkurencję, która by wypełniła powstałą lukę. – Gdyby się pojawił sukces, każdego by zachęcił, by ten sukces powtórzyć. To mogłoby się stać metodą dyscyplinowania: jeżeli chcecie z nami handlować, jeżeli chcecie tu istnieć, to musicie zachowywać się tak, jak my chcemy, a nie tak, jak by wyście chcieli nam narzucić. Wtedy inni będą się bać. Będą uważać – zaznacza Michalkiewicz.

Innym sposobem walki z deprawacją społeczeństwa może być odgórna administracyjna regulacja, jak to się stało na Węgrzech. W końcu promocja dewiacji uderza w podstawy nie tylko publicznej moralności, lecz także dalszego rozwoju całego społeczeństwa. Ale to rozwiązanie ma poważną wadę: istnieje niebezpieczeństwo, że zadziała w dwie strony. Otóż nastawienie ideologiczne rządów jest zmienne, a co gorsza – taka interwencja państwa zagrażałaby i swobodzie działalności gospodarczej, i wolności obywatelskiej. – Takie decyzje należy zostawić konsumentom, a nie rządowi. Rząd będzie tego nadużywał politycznie. Na dodatek, jeśli rząd prowadzi działalność gospodarczą (spółki Skarbu Państwa), to takie rzeczy będzie zwalczał nie z powodów ideologicznych, lecz merkantylnych. Nie można do tego dopuścić – uważa Michalkiewicz.

Poza tym problem z administracyjnym uderzeniem w zachodnie koncerny jest jeszcze taki, że jeśli doszłoby do niego, to Unia Europejska, która sama promuje dewiacyjne i niemoralne zachowania, stanie po ich stronie. A w państwo członkowskie uderzy szantażem wstrzymania unijnych dotacji albo konsekwencjami rzekomego łamania unijnego prawa, czego skutkiem mogą być wysokie kary finansowe orzeczone przez TSUE, z czym już wielokrotnie mieliśmy do czynienia. Niestety, musimy brać pod uwagę to, że Polska, będąc w Unii, nie jest suwerennym państwem i musi wypełniać dyrektywy z Brukseli. Bojkotu konsumenckiego Unia zabronić nie może.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

Z Päivi Räsänen, byłą minister spraw wewnętrznych Finlandii, parlamentarzystką sądzoną w Helsinkach za szerzenie „mowy nienawiści" w związku z cytowaniem Listu św. Pawła do Rzymian dotyczącego potępienia homoseksualizmu
rozmawiają Ryszard i Tomasz Gromadzcy

Jestem dumna, że mogę bronić wiary

FOT. ARCHIWUM PÄIVI RÄSÄNEN

RYSZARD GROMADZKI, TOMASZ GROMADZKI: Czy proces, który toczy się w pani sprawie przed sądem w Helsinkach, jest uczciwy? Czy może pani liczyć na sprawiedliwość?

PÄIVI RÄSÄNEN: Ufam fińskiemu wymiarowi sprawiedliwości. Postanowienie w mojej sprawie ma zapaść 30 marca o godz. 13. Jestem pewna, że wygram. Wierzę, że konwencje międzynarodowe i fińska konstytucja chroniące wolność słowa i religii są po mojej stronie. Jednak nawet jeśli nie wygram, to myślę, że pewien ciąg zdarzeń już się rozpoczął pod wpływem mojej historii. Nie ugnę się w moich przekonaniach, które wywodzę z Biblii. Zapewne zarzuty będą dalej powtarzane w wyższych instancjach, nie wyłączając Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ja w każdym razie jestem gotowa bronić wolności słowa i religii przed dowolnym sądem.

Mam nadzieję, że chrześcijanie nie będą obawiać się wyrażać swoich przekonań w tych trudnych czasach, i ufam, że moja sprawa będzie stanowić precedens i ośmieli chrześcijan, aby mieli odwagę korzystać z wolności wypowiedzi. Z tego, co mi wiadomo, moja sprawa jest pierwszą tego typu, gdzie sąd pochyla się nad tym, czy ktoś może cytować Biblię, i ustosunkowuje się do tego. Sędziowie poruszają się tu na gruncie zarówno praw podstawowych, jak i prawa karnego oraz wzajemnych relacji między jednym i drugim. Orzeczenie w tej sprawie wyznaczy ważny precedens z punktu widzenia legislacji na poziomie europejskim.

Jeśli zostanie pani uznana przez sąd za winną „mowy nienawiści" z powodu przywołania fragmentu Listu św. Pawła do Rzymian dotyczącego homoseksualizmu, to będzie to równoznaczne z cenzurą Pisma Świętego w Finlandii?

Po pierwsze, nie istnieje coś takiego jak jakaś uniwersalna definicja „mowy nienawiści". Nikt w zasadzie nie wie, co to jest. Myślę, że ewentualną, najgorszą konsekwencją mojej sprawy będzie nie tyle grzywna czy nawet kara więzienia, ile właśnie usankcjonowanie cenzury. Dla mnie to jest nie do pomyślenia, że klasyczne chrześcijańskie poglądy czy doktryny większości chrześcijańskich denominacji mogą stać się nielegalne. A najgorsze jest to, że ta sprawa, mimo że formalnie nie doszło jeszcze do ukarania, już ma swoje reperkusje, bo wielu chrześcijan czerpiących z Biblii zaczęło stosować takie czy inne formy autocenzury. Nie wiem, w jaki sposób miałabym się dopuścić defamacji homoseksualistów, skoro szanuję ich i jestem gotowa bronić ich godności ludzkiej i praw człowieka. W chrześcijaństwie naszym niezbywalnym prawem jako ludzi jest to, że jesteśmy równi. Jednak Biblia mówi jasno i wyraźnie, że małżeństwo jest przymiotem zarezerwowanym wyłącznie dla kobiety i mężczyzny.

Czy zgodzi się pani z twierdzeniem, że w Europie – w której rządy na każdym kroku podkreślają przywiązanie do wolności, równości i tolerancji – na naszych oczach rodzi się totalitaryzm, którego przejawem jest łamanie praw obywatelskich, np. poprzez ograniczanie wolności religii i wolności słowa?

Wolność słowa i wolność religijna są gwarantowane przez międzynarodowe traktaty o prawach człowieka oraz fińską konstytucję. W demokracji różne ośrodki wolności słowa ścierają się ze swoimi koncepcjami i na gruncie debaty wypracowują konsensus. Te postępowania karne są zaś próbami ograniczenia wolności słowa i wolności religijnej. Ten proces jest obserwowany w całej Europie. Jednakże dziwi, że tak daleko to zaszło w Finlandii. To przywodzi mi na myśl czasy „finlandyzacji', kiedy to wzbranialiśmy się z krytyką Związku Sowieckiego. Obecnie jest politycznie niepoprawne powiedzenie czegokolwiek negatywnego odnośnie do ideologii gender. Rozrost „cancel culture", która skazuje na infamię i wywiera nacisk na każdego, kto wyraża określone poglądy – czy to poprzez media społecznościowe, czy na gruncie zawodowym – jest zagrożeniem dla wolnego społeczeń-

eprasa.pl 4e28c29d7b

stwa, które uważa siebie za tolerancyjne i równe. W państwie demokratycznym powinniśmy mieć możliwość niezgadzania się ze sobą w kwestiach budzących kontrowersje. W przeciwnym razie takie państwo zmierza w stronę totalitaryzmu.

Wielu ludzi na świecie jest zdania, że agenda realizowana przez większość rządów w związku z pandemią COVID-19, przejawiająca się m.in. forsowaniem przymusu szczepień, ma doprowadzić do „wielkiego resetu", stworzenia nowego modelu społeczeństwa poddanego totalnej kontroli rządów i mediów sprzymierzonych z wielkimi korporacjami z sektorów Big Pharma, Big Finance, Big Tech. Czy to realne niebezpieczeństwo?

W naszym parlamencie głosowałam przeciwko paszportom covidowym i przeciwko obowiązkowym szczepieniom pielęgniarek. Jestem z zawodu lekarką i ufam szczepionkom, gdyż zmniejszają potrzebę hospitalizacji osób chorych na COVID oraz zmniejszają ryzyko poważnych powikłań. Cieszę się, że przyjęłam trzy dawki szczepionki. Mam jednak nadzieję, że uda nam się uzyskać wysoki stopień zaszczepienia bez uciekania się do przymusu. Spierałam się, że propozycja i zmiany legislacyjne związane z obowiązkowymi szczepieniami zostały źle sformułowane, i przestrzegałam, że może to mieć swoje negatywne reperkusje społeczne. Wyrażałam także swoje zaniepokojenie, że te zmiany i związany z nimi odpływ pracowników mogą uderzyć w te sektory gospodarki, które już teraz borykają się z niedoborami pracowników. Moja partia, Chrześcijańscy Demokraci, postulowała, by zamiast tego położyć większy nacisk na częstsze testy pracownicze i pracowników służby zdrowia.

Gdzie pani upatruje przyczyn duchowego kryzysu zachodnich demokracji?

Gdy byłam dzieckiem, szkoły niedzielne były czymś powszechnym i dzieci do nich uczęszczały. Zaledwie w przeciągu kilku dekad wiara Finów w podstawowe prawdy chrześcijańskie dramatycznie podupadła. Obecnie zarówno w Finlandii, jak i całej Europie jesteśmy na takim etapie historii, że zewsząd próbuje się rugować jakiekolwiek wpływy chrześcijaństwa. To jest widoczne zarówno w dyskusjach politycznych, jak i w procesie decyzyjnym, gdy tylko poruszana jest kwestia ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Wyrażenie opinii, że małżeństwo przynależy wyłącznie do kobiety i mężczyzny, albo opinii o grzeszności aktów homoseksualnych stało się politycznie niepoprawne. Próba zniszczenia podwalin systemu społecznego opartego na dwóch różnych płciach uderza szczególnie w dzieci. To jest straszne, jak bezkrytycznie nawet Kościoły oswoiły się z liberalnym dyskursem wymierzonym w chrześcijaństwo i wpisały się w aktywizm grup LGBT. Prawdziwym problemem jest to, że wielu ludzi o poglądach konserwatywnych milczy na temat ważnych spraw, podczas gdy przedstawiciele mniejszości seksualnych są bardzo agresywni oraz dobrze zorganizowani i odciskają swoje coraz większe piętno na Kościele i mediach.

Ta bitwa o wartości rozgrywa się na płaszczyźnie językowej, poprzez nadawanie słowom takim jak „miłość", „wolność", „równość" czy nawet „tęcza" zupełnie nowych znaczeń. My, chrześcijanie, zostaliśmy niejako wyobcowani z codziennego życia i nasze wartości często są postrzegane jako niebezpieczne. Kiedy ludzie nie znają kochającego i miłosiernego Boga, pozostaje im bardzo wybrakowany obraz wiary chrześcijańskiej. Budzi mój niepokój to, że w przyszłości chrześcijanie będą mieli jeszcze większe trudności z przekazywaniem nauk zawartych w Biblii. Jeśli teraz nie będziemy korzystać z naszego prawa do swobodnej wypowiedzi, to zakres naszej wolności w tej kwestii jeszcze bardziej się skurczy w przyszłości. Jest sprawą fundamentalną, by chrześcijanie mieli prawo nauczać i mówić o Słowie Bożym, zwłaszcza w czasach, gdy chrześcijaństwo i wywodzące się z niego zasady idą pod prąd współczesnej etyce i myśleniu. Prawo rodziców do wychowywania dzieci według własnych wartości musi być wzmocnione i jasno wyartykułowane.

Czy Zachód potrzebuje rechrystianizacji?

Tak, to kwestia rdzenia chrześcijańskiej wiary, spójności nauk biblijnych i w końcu tego, jak człowiek może się zjednoczyć z Chrystusem w życiu wiecznym dzięki Jego zbawiennej ofierze. Każdy ma prawo usłyszeć całą prawdę o Słowie Bożym. Problem leży w tym, że wielu ludzi nie potrafi przyjąć koncepcji grzechu. To jest taki marketingowy problem chrześcijaństwa.

Musimy mieć świadomość, że wartości takie jak ochrona praw dzieci, ludzkiej godności, ochrona praw człowieka i fundamenty cywilizacji jako takie, wywodzą się z chrześcijaństwa. Musimy bronić tej prawdy.

Oskarżyciel w mojej sprawie próbował podważyć przesłanie biblijne: nauki o prawie i Ewangelię. Bóg stworzył ludzi na swój wzór i podobieństwo. Każdy człowiek ma swoją wartość, ale wszyscy jesteśmy także grzesznikami. Grzech nie ujmuje nic człowiekowi z jego przyrodzonej godności. Bóg w dalszym ciągu kocha człowieka, ale brzydzi się grzechem. Grzech jest koncepcją teologiczną opisującą relację człowieka z Bogiem i to Bóg jest tym, który określa, czym jest grzech. Bóg tak kocha ludzi, że zesłał swojego jednorodzonego Syna, by przeszedł przez drzewo krzyża za nasze grzechy. Jezus potępiał grzech, ale tak czy owak kochał grzeszników. Świat powinien o tym wiedzieć, a my, chrześcijanie, powinniśmy korzystać z naszego elementarnego prawa i głosić to publicznie.

Co dla pani oznacza bycie świadkiem Jezusa Chrystusa?

Kiedy byłam małą dziewczynką, otrzymałam kiedyś radę, by każdy dzień zaczynać od Bożego Słowa. Czytam regularnie Biblię, od kiedy skończyłam 16 lat. Wiara nadaje życiu znaczenie i satysfakcję. Wyjątkowym przesłaniem chrześcijaństwa jest to, że Jezus, umierając na krzyżu za nasze grzechy i następnie zmartwychwstając, utorował nam drogę do zbawienia. Tym, co mnie motywuje do obrony chrześcijańskich wartości, jest Biblia. Wiara jest podstawą mojego życia. Jestem chrześcijańską lekarką, matką, babcią, żoną, prawodawcą i wierzę, że to część mojego powołania.

Jestem członkiem parlamentu od 27 lat. Zawsze mówiłam otwarcie o swojej wierze. Byłam bardzo zaskoczona, wręcz zszokowana tym, że prokurator generalny zdecydował się wnieść przeciw mnie zarzuty. Nie ugnę się w moich przekonaniach, które wywodzę z Biblii, i jestem gotowa bronić wolności słowa i religii przed dowolnym sądem. Wcześni chrześcijanie nie wyrzekali się wiary na arenach z lwami, czemu więc ja miałabym się jej wyrzec na sali sądowej? Jestem dumna z tego, że mogę bronić wiary.

Jeśli zanegujemy nasze prawo do wypowiedzi i przyznawania się do wiary, to z czasem będziemy mieli na to jeszcze mniej miejsca. Bóg wzywa nas, byśmy powoływali się zwłaszcza na te fragmenty Pisma, które mówią, by przeciwstawiać się duchowi czasów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

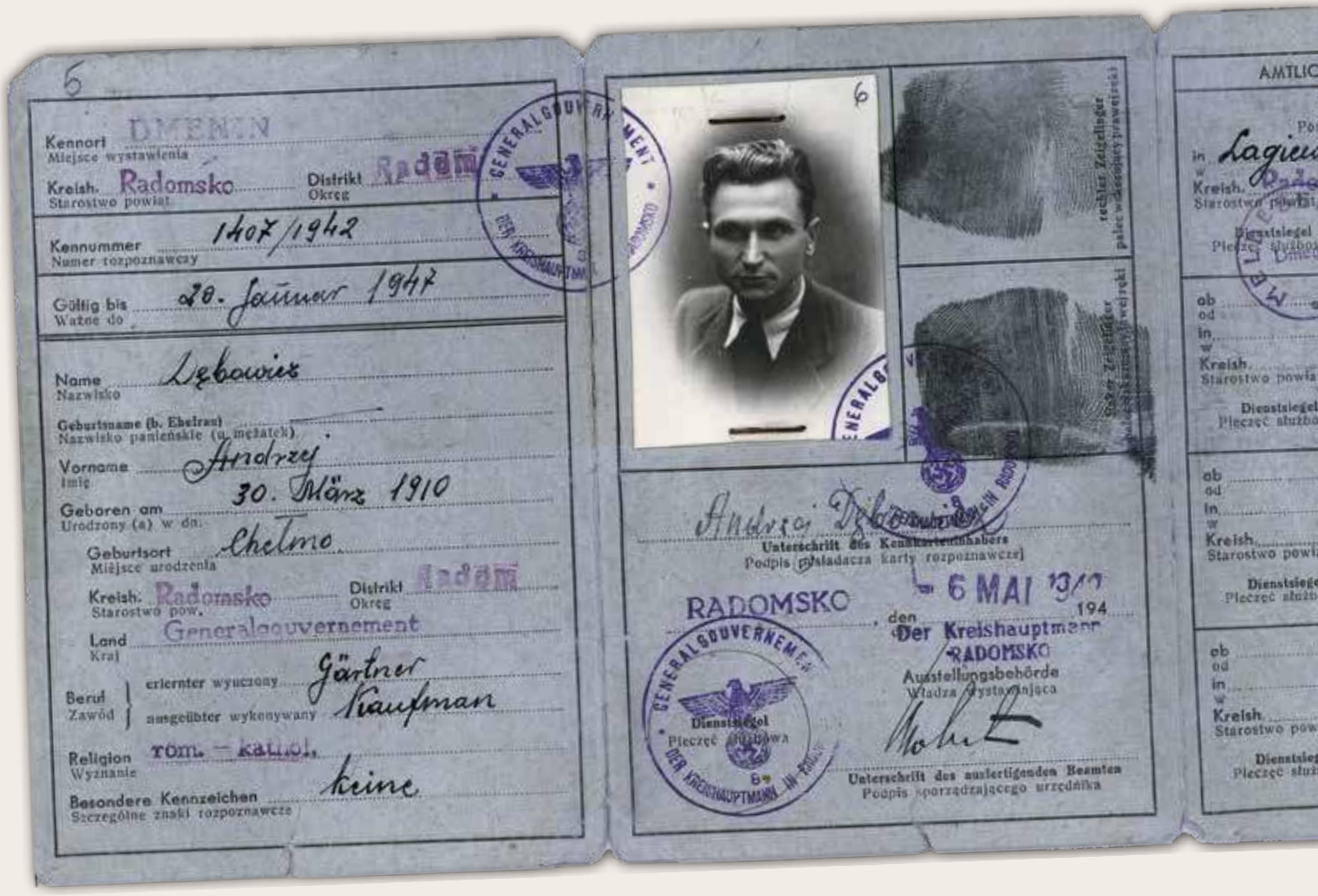

„Warszyc" i jego legenda

Tomasz Lenczewski

Kiedy w 1945 r. zabrakło w niepodległościowym podziemiu dowódców wysokiej rangi, ich miejsce zajęli w konspiracji młodsi oficerowie. Do nich należał „Warszyc"

O Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu" napisano już kilkanaście książek i setki artykułów, a nawet nakręcono film fabularny w PRL. Jego postać fascynowała wielu, choć był tylko przywódcą lokalnej organizacji zbrojnej. Była to jednak najsilniejsza poakowska organizacja podziemna w centralnej Polsce. Obejmowała ona zasadniczo województwo łódzkie i częściowo województwa poznańskie i śląskie.

Ten przedwojenny absolwent sanacyjnego Seminarium Nauczycielskiego, oficer rezerwy oraz ojciec wielodzietnej rodziny łączył w sobie elementy patriotyczne z tradycją ruchu ludowego. Z chwilą powrotu do rodzinnego domu po klęsce wrześniowej 1939 r. stał się postacią numer jeden w powiecie Radomsko. Bardzo szybko ujawnił niespożyty talent organizacyjny połączony ze znajomością ludzi i terenu. Pełen energii i oddania konspiracji, cieszył się mimo swej skrytości i ponurego usposobienia dużym autorytetem, zwłaszcza wśród żołnierzy. Był surowy, ale dbał o podwładnych. Przygarnął pod swoje skrzydła poetę Tadeusza Różewicza, o lewicowych poglądach, i starał się go chronić. Nie wahał się wejść z innymi dowódcami w konflikt, kiedy kazał wychłostać bykowcem ziemianina Stanisława Potockiego z Maluszyna za wygłaszanie negatywnych opinii o Armii Krajowej. Ściągnęło to zresztą na niego komisję z Warszawy, bo „hrabia" poskarżył się, że „Warszyc" był gorszy od AL-owców.

Sojczyński miał negatywny stosunek do NSZ. Ostro zwalczał bandytyzm na swoim terenie, również ten, który miał miejsce w jego własnych szeregach. Z tego powodu podobno nawet skazał na śmierć własnego wuja. Nade wszystko był odważnym dowódcą, kiedy latem w 1943 r., jako zastępca dowódcy obwodu AK Radomsko, wsławił

eprasa.pl 4e28c29d7b

Fałszywa kenkarta „Warszyca" z czasów okupacji FOT. ARCH. IPN W ŁODZI

się akcją uwolnienia aresztowanych mieszkańców i żołnierzy z miejscowego więzienia. Podległe mu oddziały partyzanckie zadały Niemcom duże straty. Ukoronowaniem jego wojennych zasług, jako byłego dowódcy baonu 27. Pułku Piechoty AK podczas akcji „Burza", był awans na kapitana i odznaczenie krzyżem Virtuti Militari w styczniu 1945 r. Zdecydował o tym ostatni komendant AK gen. Leopold Okulicki.

DOWÓDCA POWOJENNEJ KONSPIRACJI

Motywy pozostania kpt. Sojczyńskiego w powojennej konspiracji były dość złożone. Jedną z przyczyn było aresztowanie kilkunastu jego podkomendnych przez NKWD, których wywieziono do ZSRS (powrócili po kilku latach). Do końca nawiązywał do tej sprawy podczas rozmów z władzą ludową chcącą skłonić go do wyjścia z podziemia. Komuniści stanowili dla niego element wrogi i obcy, choć w czasie wojny jego stosunki z AL oraz radzieckimi oddziałami partyzanckimi były na ogół poprawne.

Rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej, dość ogólnikowy, był dla niego i wielu mu podobnych niezrozumiały. Nawołującego do ujawnienia się płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" w liście otwartym nazwał zdrajcą. Obserwował bankructwo akcji ujawnieniowej, kiedy ppłk Janusz Prawdzic-Szlaski „Prawdzic", działający w imieniu „Radosława" na terenie Częstochowy, po ukaraniu chłostą zdecydował się na opuszczenie kraju. Jednocześnie „Warszyc" zdawał sobie sprawę, że sam zostałby postawiony przed sądem za rozstrzelanie przez jego pododdział kilku AL-owców. Ludzie ci zostali schwytani na bandytyzmie jesienią 1944 r. Do sprawy tej powrócono zresztą później, podczas jego procesu. Ponadto „Warszyc" był człowiekiem ambitnym, wychowanym w kulcie wojska i jego dyscypliny, a nowa władza ludowa nie miała mu niczego do zaoferowania. Czuł się odpowiedzialny za swoich ludzi, których od wiosny 1945 r. stopniowo utrzymywał w stanie gotowości, a później rozkazał im ruszyć do walki w imię wzrastającego bezprawia i terroru organów NKWD, PPR i UB. Stąd powziął decyzję o powołaniu nowej, zrazu kadrowej organizacji, która od września 1945 r. przybrała nazwę Konspiracyjne Wojsko Polskie.

Szybko rozrastające się KWP w 1946 r. swoim zasięgiem i rozmachem przerosło możliwości jego twórcy. Słabością okazał się brak odpowiedniej kadry dowódczej. Jej trzon stanowili młodsi oficerowie rezerwy, dawni partyzanci AK i inteligenci będący nierzadko nauczycielami. „Warszyc" górował nad nimi szerokością horyzontów i doświadczeniem. Przyszło mu jednak kierować masową organizacją wykraczającą daleko poza granice powiatu. Musiał nie tylko być naczelnym dowódcą, decydującym o działaniach bojowych i bieżącej polityce, lecz także zajmować się kwatermistrzostwem i redagować prasę. Sądził komunistów i funkcjonariuszy UB, a nierzadko wydawał na nich wyroki śmierci, które podpisywał własnoręcznie. Był dobrym organizatorem, kierowane przez niego podziemie rozwijało się prężnie, a jego wywiad działał sprawnie w odległych miejscach kraju. Jego poglądy polityczne były zbliżone do nurtu ludowego, ale nie negował wielu powojennych reform narzuconych przez władzę. Usiłował nawet dotrzeć do Stanisława Mikołajczyka, o czym świadczy niewysłany list, w którym pouczał przywódcę PSL.

Jako dowódca KWP popełnił jednak znamienny błąd, również w ocenie bliskich mu współpracowników, wiążąc się odwzajemnionym uczuciem ze swoją łączniczką Haliną Pikulską „Ewunią". Miłość w warunkach konspiracji, i to jeszcze z własną podwładną, nieuchronnie prowadziła do braku ostrożności. Tuż przed aresztowaniem jako dowódca znajdował się w trudnej sytuacji nie tylko wskutek narastającej ofensywy sił bezpieczeństwa, lecz także wskutek narastającego poczucia politycznego osamotnienia. W tym właśnie czasie był zresztą umówiony na spotkanie ze swoim byłym dowódcą płk. Franciszkiem Polkowskim, który chciał go nakłonić do podporządkowania się organizacji Wolność i Niezawisłość, czego „Warszyc" mimo wcześniejszego negatywnego stosunku do niej ostatecznie nie wykluczał.

LEGENDA GENERAŁA „WARSZYCA"

Już za życia „Warszyca" mówiono o nim, że jest generałem. Trudno dziś dociec, kto bardziej przyczynił się do budowania tej legendy: opowieści ludowe czy propaganda komunistyczna? Faktem jest, że panował kult jego osoby – po wsiach podobno śpiewano o nim pieśni i układano wiersze. Nie znamy dziś ich treści, ale z dokumentów wynika, że znajdowano takie utwory przy ludziach aresztowanych. Zatrzymany przez PUBP w Radomsku adiutant „Warszyca" miał przy sobie właśnie taki wiersz. Po rozbiciu sztabu KWP gazety w nagłówkach pisały „generał Warszyc". Ta kwestia pojawiła się na sali sądowej. „Warszyc" oświadczył, że podkomendni chcieli mu nadać taki stopień, ale on odmówił. Sprawa odżyła dopiero na emigracji, kiedy samozwańczy prezydent Juliusz Nowina-Sokolnicki wystawił w 1988 r. dyplom generalski nie tylko „Warszycowi", lecz także Józefowi Kurasiowi „Ogniowi"... Stało się to z inicjatywy Władysława Stanilewicza z Łodzi, byłego żołnierza konspiracji poakowskiej. Sam pomysłodawca stopnia generała dywizji (!) dla „Warszyca" lansował przy okazji swój własny mit kombatancki i „załatwił" sobie dyplom generała broni...

Po 1992 r. grono kombatantów ze środowiska KWP zaczęło domagać się od władz MON awansów. Realia były

eprasa.pl 4e28c29d7b

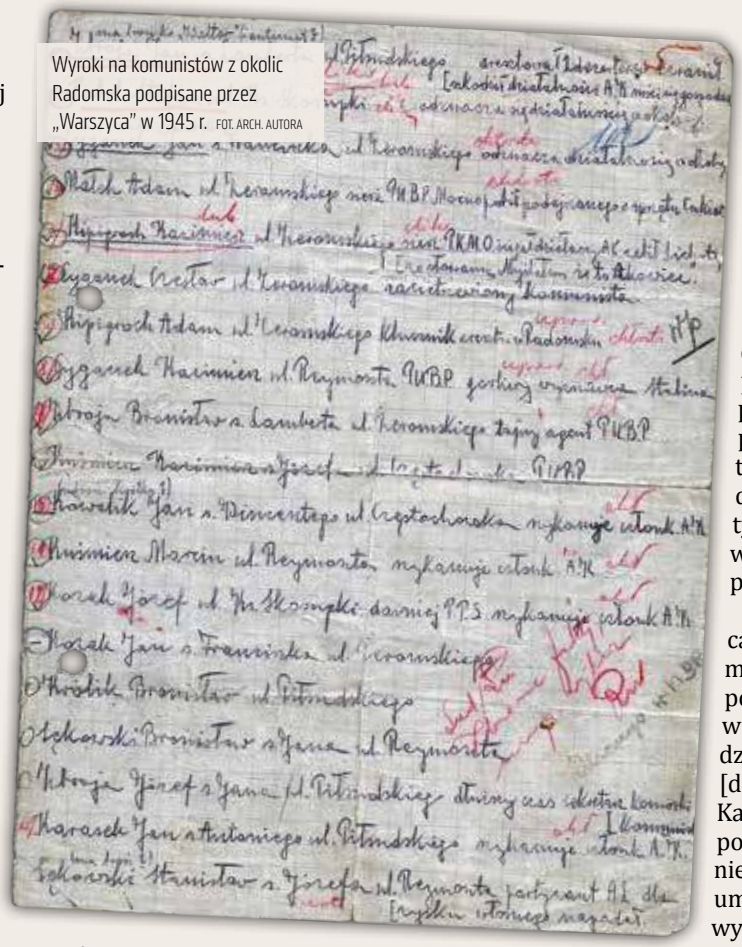

Wyroki na komunistów z okolic Radomska podpisane przez „Warszyca" w 1945 r. FOT. ARCH. AUTORA

takie, że w KWP „Warszyc" awansował najwyżej swoich podwładnych na stopnie podoficerskie, a w kilku zaledwie przypadkach na oficerskie. Początkowo MON było negatywnie ustosunkowane do tych awansów, aż w końcu uległo naciskom. Ostatecznie też prezydent Lech Kaczyński na wniosek ówczesnego szefa MON Bogdana Klicha mianował w 2009 r. kpt. Stanisława Sojczyńskiego pośmiertnie generałem brygady w 2009 r. Zdaniem Andrzeja Wielowieyskiego, dawnego podkomendnego „Warszyca" w Armii Krajowej, była to decyzja bezsensowna, niemądra i niesprawiedliwa. Taka ocena byłego marszałka Senatu była podyktowana oceną działalności powojennej „Warszyca", który jego zdaniem dla własnych iluzji naraził na śmierć i nieszczęścia tysiące ludzi. Dwaj najbardziej znani podkomendni „Warszyca" z czasów AK – por. Bronisław Skura-Skoczyński „Robotnik" oraz por. Józef Kasza-Kowalski „Alm" – uznali realia nowej rzeczywistości. Ten ostatni, mimo początkowej w 1945 r. współpracy z „Warszycem", nazywał go wręcz „małym głupim Napoleonkiem z chorobliwą manią wielkości, bez poczucia żadnej odpowiedzialności za trzymanie uzbrojonych ludzi gdzieś w lasach". Z kolei dwaj znani partyzanci z tego terenu – mjr Władysław Kołaciński „Żbik" (NSZ) i późniejszy generał Stanisław Burza-Karliński (AK) – zakończyli latem 1945 r. swą walkę z UB i NKWD w chwili, kiedy ją „Warszyc" dopiero rozpoczynał. Obaj oświadczyli mi, że szybko doszli do przekonania o niemożliwości pokonania komunistów i rozwiązali swoje oddziały. „Warszyc" postanowił natomiast trwać i walczyć.

PROCES, WYROK I ŚMIERĆ

Konspiracyjne Wojsko Polskie walczyło ze zmiennym szczęściem. Jego wiosenna ofensywa w 1946 r., podczas której doszło do zajęcia Radomska, rozbijania całych grup KBW i przechodzenia żołnierzy tej formacji na stronę KWP, spowodowała silny kontratak władz bezpieczeństwa. Jednak nie tyle poniesione straty i konieczność zmniejszenia oddziałów stały się przyczyną jego upadku. Masowa organizacja zbrojna w warunkach nowej rzeczywistości nie miała szans działania. KWP miała bardzo dobry wywiad, o zasięgu przekraczającym rejon jej działania, ale nie miała praktycznie żadnego kontrwywiadu. Schwytany w kotle Henryk Brzózka, łącznik i członek redakcji KWP, dał się przekonać przeszkolonemu przez NKWD kpt. Mikołajowi Krupskiemu do współpracy. Szybko dotarł do „Warszyca". Ten ostatni wiedział o aresztowaniu i zwolnieniu, ale nie wierzył w jego zdradę. Zresztą jego orędowniczką była nieświadoma niczego „Ewunia". To wystarczyło, aby w ciągu miesiąca specjalna grupa operacyjna z WUBP w Łodzi rozszyfrowała miejsce pobytu „Warszyca" i go aresztowała. Przechwycone zaś czy raczej ujawnione przez adiutanta Archiwum KWP pozwoliło całkowicie rozszyfrować organizację i doprowadziło do masowych aresztowań jej członków. Proces był tylko formalnością, na którym „Warszyc", zresztą torturowany w śledztwie, na pytania o poszczególne zarzuty odpowiadał zasadniczo: „Jeżeli coś jest w aktach, to tak". Chyba żadna organizacja nie wytworzyła takiej liczby dokumentów jak KWP, co było pośrednio zasługą dowódcy, posiadającego biurokratyczne przyzwyczajenia. Stanowiło to również duże ułatwienie dla śledczych. Wyrok mógł być tylko jeden, choć w toku odwołania upadł zarzut obalenia przemocą władzy ludowej.

Jan Kaleta, dawny wykonawca chłosty na Potockim, wspominał po latach, że kiedy wracali po rozprawie sądowej karetką więzienną, „Warszyc" powiedział mu: „Panie Mieczysławie [dawny pseudonim AK-owski Kalety – przyp. red.] musimy się pożegnać, bo na pewno już się nie zobaczymy, zresztą za kilka lat umarłoby się w łóżku". Ogłoszony wyrok śmierci przyjął spokojnie. Nie chciał prosić o łaskę, w jego imieniu pisali adwokat i najbliżsi. Jeszcze nastąpiło ostatnie spotkanie z żoną, jej trudne pytanie o „Ewunię" i w trybie przyspieszonym, dwa dni przed ogłoszoną amnestią, „Warszyc" stanął przed lufami plutonu egzekucyjnego na podłódzkim Brusie. Tadeusz Telma, autor pierwszej pracy o KWP w warunkach PRL, wspominał mi, że dowódca plutonu egzekucyjnego „Warszyca" zwierzył mu się z niespotykanej postawy Sojczyńskiego. Skazany, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, nie chciał zasłaniać oczu, patrzył na nich dumnie i zarazem z pogardą, tak jakby wierzył, że przezwycięży własną śmierć.

Grobu „Warszyca" nie udało się odszukać. Jedyny jeszcze żyjący w 1993 r., który brał udział w egzekucji, prokurator Henryk Szwed wskazał wprawdzie w przybliżeniu jej miejsce, ale poszukiwania w tym i oddalonych od niego okolicach od wielu lat nie przyniosły rezultatu. Jeśli kiedyś uda się znaleźć miejsce pochówku jego i najbliższych mu żołnierzy, to domknięty zostanie ostatni rozdział Konspiracyjnego Wojska Polskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

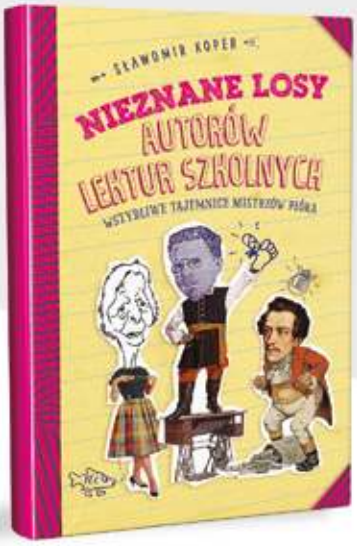

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER „NIEZNANE LOSY AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~557 ZŁ~~

231,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 326 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4e28c29d7b

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Niemcy w Bytomiu

Reprezentacja Niemiec tylko raz grała na Górnym Śląsku w roli gospodarza. Było to w Bytomiu 6 sierpnia 1942 r. Niemcy rozegrali wówczas „derby państw Osi". Ich przeciwniczką była drużyna Rumunii, kraju rządzonego przez marszałka Antonescu, bliskiego sojusznika Hitlera.

Mecz wywołał kolosalne zainteresowanie. Stadion im. Hindenburga (obecnie im. Edwarda Szymkowiaka) pękał w szwach. Zgromadziło się na nim 55 tys. kibiców. Magnesem, który przyciągnął tylu śląskich fanów piłki nożnej, był występ w barwach Niemiec Ernesta Wilimowskiego.

Wilimowski był najlepszym przedwojennym polskim piłkarzem. W reprezentacji narodowej strzelił 21 goli w 22 meczach. Po przyjęciu volkslisty zaczął grać w reprezentacji Niemiec. Strzelił w niej 15 bramek.

Wilimowski nie zawiódł również w meczu w Bytomiu. Wbił Rumunom gola, a drużyna Niemiec wygrała 7:0. Spory wpływ na to miała słaba dyspozycja Rumunów, którzy przed meczem spędzili dwa dni w pociągu.

Mecz Niemcy – Rumunia na trybunach obserwował młody Gerard Cieślik. Uważał on Wilimowskiego za najlepszego piłkarza, jakiego widział w życiu…

Opisana przez Pawła Czadę historia meczu w Bytomiu jest jednym z tematów nowego numeru „CzasyPisma". To kapitalny, wydawany przez IPN magazyn poświęcony historii Górnego Śląska.

Historia Wilimowskiego doskonale obrazuje skomplikowane śląskie losy. Losy ludzi pogranicza. Generał Władysław Sikorski zaapelował przez radio do Ślązaków, żeby przyjmowali volkslistę. Chodziło o ratowanie substancji biologicznej narodu. To jednak miało swoją cenę. Dziesiątki tysięcy młodych Ślązaków w mundurach feldgrau pomaszerowały na front wschodni.

Wilimowski kontynuował zaś swoją karierę w niemieckich klubach. Władze komunistyczne po wojnie uznały go za zdrajcę i wymazały z historii polskiej piłki. Nigdy nie zdecydował się na powrót do kraju. Zmarł w Karlsruhe w 1997 r. Do dzisiaj jego wojenna postawa wywołuje wśród Ślązaków namiętne dyskusje. ©℗

★★★★★★

ADAM DZIUROK (RED.)
„CZASYPISMO" 2/2021
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Plan wojny z Niemcami

Wiosną 1939 r. polskie władze miały dwie drogi postępowania wobec nadchodzącego konfliktu z III Rzeszą. Pierwszą z nich było przyjęcie niemieckiej propozycji sojuszu, zgoda na aneksję Gdańska i przeprowadzenie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze. Drugą – dalsze opieranie się na przymierzu z Francją, co musiało doprowadzić do wojny z Hitlerem. Dlatego po zajęciu Kłajpedy przez Niemców prezydent Mościcki zwołał naradę, w której poza marszałkiem Śmigłym-Rydzem i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem wziął jeszcze udział premier Felicjan Sławoj Składkowski. Wspólnie uznano, że niemieckie żądania są nie do przyjęcia, gdyż oznaczają sprowadzenie Polski do roli państwa wasalnego. Nikt nie miał złudzeń: zbliżała się wojna z Niemcami, zmieniono zatem priorytety i wszystko podporządkowano spodziewanej agresji z zachodu.

Uczciwie trzeba przyznać, że „Śmigły" i jego sztabowcy stanęli na wysokości zadania. Plan zaczęto opracowywać już 4 marca 1939 r. (czyli jeszcze przed aneksją Kłajpedy), Polacy mieli przetrwać niemieckie uderzenie, po czym powinna nastąpić francuska ofensywa planowana na 15. dzień wojny. Zapasy uznawano za wystarczające, gdyż według standardów z czasów poprzedniego konfliktu zapewniały możliwość samodzielnej walki przez pół roku. Oczywiście spodziewano się dostaw, zarówno z wytwórni krajowych, jak i od sojuszników. „Śmigły" zresztą doskonale wiedział, że Polska nie ma szans na wygranie wojny samotnie, zatem zadaniem polskiej armii było tylko związanie Wehrmachtu walką.

Po latach pojawił się jednak zarzut, że niepotrzebnie zdecydowano się na obronę: Górnego Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Krytycy uważali, że należało okopać się dopiero na linii Wisły i Narwi, gdyż to gwarantowało skuteczność działań defensywnych. Przed 1939 r. nikt jednak takich propozycji nie traktował poważnie. Jednym z haseł Hitlera był przecież „powrót do granic z 1914 r." – gdyby zatem bez walki oddano ziemie zachodnie i północne, Niemcy mogliby się zatrzymać i poprosić o arbitraż międzynarodowy. Poza tym Wehrmacht planował „wojnę błyskawiczną", o czym nikt wcześniej nigdy nie słyszał. Atak na Polskę miał być przeprowadzony w takim tempie, by Francja i Wielka Brytania nie zdążyły stanąć po polskiej stronie. Gdyby jednak do tego doszło, kampania w Polsce miała trwać nie dłużej niż 14 dni, gdyż wówczas oddziały Wehrmachtu można było przerzucić na front zachodni.

Niemcom nie udało się zrealizować swoich celów, gdyż zrobili to za nich Sowieci. Ale to już temat na inny felieton. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl 4e28c29d7b

Z prof. Paulem Kengorem, amerykańskim politologiem i historykiem
rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. CAROLINE KOOPMAN/SIMON & SCHUSTER

Biden stał się kulturowym radykałem

PIOTR WŁOCZYK: Za nami pierwszy rok prezydentury Joe Bidena. Widzi pan w nim polityka, który chciałby utrzymać amerykańskie przywództwo na świecie, czy może jednak administracja Bidena gotowa jest zrezygnować z tego statusu?

PROF. PAUL KENGOR: Mimo że Joe Biden przez kilka dekad zasiadał w senackiej Komisji Spraw Zagranicznych, widać, że nasz prezydent bardzo niepewnie prowadzi politykę zagraniczną. Najgorszą do tej pory oznaką tej słabości było to, co się stało w lipcu zeszłego roku w Afganistanie, kiedy przedwcześnie i bardzo nieumiejętnie wycofał amerykańskich żołnierzy. Nie sposób przecenić znaczenia tamtych wydarzeń. To była fatalnie przeprowadzona operacja i nasi przeciwnicy mogli to odebrać jako słabość.

Biden był powszechnie krytykowany za tak przeprowadzone wyjście z Afganistanu. Wśród jego krytyków znaleźli się także liberalni stronnicy z Partii Demokratycznej. To była katastrofa amerykańskiej polityki zagranicznej, która jeszcze długo będzie miała negatywne konsekwencje. Jeżeli chodzi o sam Afganistan, to cofamy się do 2001 r. Afganistan znów może się stać rozsadnikiem terroryzmu wymierzonego w Amerykę.

Czy widzi pan w Bidenie determinację, by powstrzymywać Rosję i Chiny?

Już w czasie ucieczki z Afganistanu wielu analityków ostrzegało, że Władimir Putin i Xi Jinping wykorzystają ten nieprawdopodobny pokaz słabości i niekompetencji w wykonaniu Bidena. Tragiczna postawa Bidena mogła zostać odebrana na Kremlu jako sygnał, że dalsza agresja na Ukrainę nie spotka się z wystarczająco stanowczą reakcją. Ucieczka z Afganistanu mogła też dać do myślenia Xi: być może siłowe przyłączenie Tajwanu i dalsze miażdżenie Hongkongu nie będzie dla słabego Waszyngtonu żadną czerwoną linią.

eprasa.pl 4e28c29d7b

Wygląda jednak na to, że w ostatnich tygodniach Biden dosyć stanowczo organizuje opór przeciw agresji Putina na Ukrainę.

Od niedawna widać tu pewną zmianę. W rzeczywistości jednak to bałagan, do którego Biden doprowadził w Afganistanie, sprawił, że Putin odważył się tak bezczelnie zagrozić Ukrainie.

Dodałbym jeszcze, że fatalna polityka energetyczna Bidena przyczyniła się do pogorszenia naszej pozycji negocjacyjnej. Donald Trump robił wszystko, by Ameryka produkowała jak najwięcej ropy i gazu. Biden tymczasem wstrzymuje produkcję amerykańskich paliw kopalnych, by zaspokoić żądania radykalnych ekoaktywistów z Partii Demokratycznej. Jego polityka energetyczna sprawia, że inne kraje stają się bardziej zależne od takich dyktatur jak np. Rosja.

W czasie wyborów demokraci reklamowali go jako umiarkowanego polityka. Co dziś możemy o nim powiedzieć?

Joe Biden rzeczywiście startował w wyborach jako umiarkowany kandydat. W czasie swojej bardzo długiej kariery w amerykańskim senacie (zaczął ją już w latach 70.) głosował jak polityk „środka". I faktycznie był takim senatorem. To jednak zaczęło się zmieniać, gdy w 2009 r. został wiceprezydentem u boku Baracka Obamy. Od tego momentu coraz bardziej zaczął się przechylać na lewo.

Tę zmianę widać u niego najlepiej w tematach kulturowo-społecznych, takich jak aborcja czy agenda LGBTQ. Biden zrobił bardzo wiele dla przemysłu aborcyjnego, czym sprawił ogromny zawód społeczności amerykańskich katolików, natomiast z punktu widzenia Kościoła rzymskokatolickiego dokonał wręcz potwornej zdrady. Dodajmy do tego jeszcze jego żarliwe, trudne do wytłumaczenia wsparcie dla ruchu transpłciowego. Niestety, Biden stał się totalnym kulturowym radykałem.

Który aspekt jego prezydentury jest najbardziej niepokojący z pańskiego punktu widzenia?

Poza tematami, które wymieniłem, jestem bardzo zawiedziony polityką Bidena względem pandemii COVID-19. Biden postanowił na siłę zaszczepić tych Amerykanów, którzy z różnych powodów nie życzą sobie tego. Wliczając w to również tych, którzy nabyli odporność przeciw koronawirusowi w sposób naturalny i mają już we krwi przeciwciała. Biden sięgnął po niejasne przepisy dotyczące organizacji miejsc pracy, wydane przez federalną agencję OSHA (The Occupational Safety and Health Administration). Narzędzie to dawałoby Bidenowi możliwość przymuszenia wszystkich pracodawców zatrudniających ponad 100 osób do nałożenia obowiązku szczepienia na każdego pracownika. Dotyczyłoby to również tych pracowników, którzy już przeszli COVID! Biden na szczęście został powstrzymany przez nasz Sąd Najwyższy, który uznał, że amerykański prezydent nie ma prawa narzucać takich przepisów.

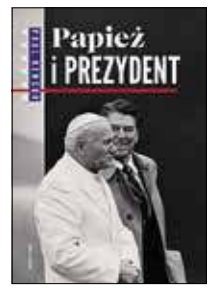

Kamala Harris miała być gwiazdą demokratycznej administracji i pewniaczką do zastąpienia Bidena w Gabinecie Owalnym. Czy po tym, co pokazała w ostatnim roku, demokraci wciąż wiążą z nią nadzieje na przyszłość?

Sondaże pokazują, że Amerykanie nie przepadają za Kamalą Harris. Biden wybrał ją tylko dlatego, że wcześniej ogłosił, iż postawi na czarnoskórą kobietę. To był zdumiewający wybór, ponieważ Harris jest bardzo wybuchowa, niegrzeczna i po prostu nie wzbudza w ludziach sympatii. Chociaż Joe Biden ma bardzo niskie wskaźniki poparcia, to jednak trzeba się modlić, by nie zastąpiła go – w przypadku jego śmierci – Kamala Harris. Ta kobieta jest jeszcze większym politycznym radykałem i jej ewentualne rządy to dla wielu Amerykanów najbardziej koszmarny scenariusz.

Czy jest pan w stanie wyobrazić sobie wielki powrót Donalda Trumpa w wyborach w 2024 r.? I czy w ogóle Biden będzie się ubiegał o drugą kadencję?

Wygląda na to, że Donald Trump już wystartował. Co ciekawe, Biden i Trump mają obecnie bardzo podobne poparcie społeczne. Ciężko dziś powiedzieć, czy Trump będzie w stanie wygrać z Bidenem w 2024 r. Wiele też wskazuje na to, że obecny prezydent w ogóle nie wystartuje w najbliższych wyborach. Wszyscy widzą, że jest on już zbyt wiekowy, by sprawować tak wymagający urząd. Coraz więcej pytań budzi stan jego świadomości... Najprawdopodobniej w 2024 r. demokraci wystawią kogoś innego. Obawiam się, że mimo wszystko mogą postawić na Harris.

Wygląda na to, że aborcja będzie w tym roku bardzo ważnym tematem. Sąd Najwyższy wyda niedługo decyzję, która może się okazać wielkim zwycięstwem pro-liferów. Czy Amerykę czeka w tej kwestii kontrrewolucja?

Ta kontrrewolucja już ma miejsce. Pro-liferzy w wielu stanach Ameryki osiągnęli spore sukcesy, uchwalając na poziomie lokalnym prawa, które chronią dzieci na wczesnym etapie ciąży. Kontrrewolucja w obronie życia rozpędza się i widoki na przyszłość są dosyć optymistyczne, ale niestety nasz „katolicki" prezydent całym sercem wspiera stronę rewolucyjną. Joe Biden obiecał, że rzuci na obrońców życia „wszystko, co rząd federalny ma do dyspozycji". Nie ma takiej rzeczy, której Joe Biden nie zrobi dla przemysłu aborcyjnego.

Amerykańscy katolicy apelowali do naszych biskupów, by uniemożliwić Bidenowi przystępowanie do Eucharystii z powodu jego zaangażowania w promowanie aborcji. Jesienią zeszłego roku amerykański prezydent wybrał się do Watykanu na spotkanie z Franciszkiem. Biden twierdzi, że sam papież powiedział mu, że nie ma przeszkód, by przyjmował on Komunię Świętą. Brak stanowczości po stronie Kościoła był wielkim błędem. Biden uwierzył, że ma w tej sprawie „błogosławieństwo" Watykanu i tym bardziej jest gotów popierać przemysł aborcyjny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa została przeprowadzona 10 lutego.

__Profesor Paul Kengor__ jest amerykańskim politologiem i historykiem, wykładowcą Grove City College w Pensylwanii, autorem wielu bestsellerowych książek, m.in. „Ronald Reagan i obalenie komunizmu" oraz „Papież i prezydent".

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MUZYKĄ W PROTESTUJĄCYCH

W Nowej Zelandii demonstrują ludzie, którym nie podoba się obowiązek szczepień przeciw COVID-19. „Konwój wolności" zablokował niektóre ulice i dotarł do parlamentu. Żeby zniechęcić demonstrantów, władze puszczają im przez głośniki z parlamentu irytującą muzykę – grano w kółko największe hity Barry'ego Manilowa oraz utwór „Macarena". Brytyjski piosenkarz James Blunt (na zdjęciu) zaoferował na Twitterze, że może pomóc. Jego oferta została przyjęta i demonstranci zaczęli być denerwowani także jego przebojami, m.in. „You're Beautiful".

ZAMIAST RABUSIÓW ŁAPALI POKEMONY

Dwóch policjantów z Los Angeles zostało zwolnionych z pracy za zaniedbania podczas patrolu. Właśnie przegrali apelację w sądzie. Nagranie z ich radiowozu okazało się mocnym dowodem na to, że zamiast zająć się zgłoszeniem rabunku, jeździli samochodem po ulicach, łapiąc… pokemony w grze na smartfony.

POLITYKA NA TYŁKU BULDOGA

Ambasador USA promuje w Polsce swojego psa w sieciach społecznościowych, a w Stanach gubernator Wirginii Zachodniej także używa psa w celach politycznych. Jim Justice podczas swojego przemówienia transmitowanego przez telewizję podniósł swojego buldoga, odwrócił go ogonem do kamery i kazał znanej aktorce Bette Midler pocałować go właśnie z tej strony. W ten sposób gubernator odpowiedział na zarzut, że nawet psi zadek zarządzałby stanem lepiej od niego.

KURCZAKOWY WŁAM DO PENTAGONU

W strefie bezpieczeństwa w Pentagonie złapano… kurczaka. Biegał w pobliżu kwatery głównej departamentu obrony. Nie wiadomo, jak ptak się tam dostał. Wiadomo natomiast, że po złapaniu otrzymał pseudonim Henny Penny (nawiązujący do ludowej opowieści) i że został „adoptowany" przez jednego z pracowników Pentagonu, który ma małą farmę.

AUSTRALIA WRESZCIE OTWARTA

Piąta fala pandemii opada, wiele krajów zniosło już wszystkie obostrzenia. Jest więc i przełom w państwie, które wprowadzało największe restrykcje. Po prawie dwóch latach Australia otworzyła granice dla podróżnych. Oczywiście nie każdy turysta będzie mógł tam od razu przyjechać. Granice otwarte są bowiem wyłącznie dla w pełni zaszczepionych. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowa forma terroru

Niemcy mierzą się z nową formą terroru. Jak poinformował niemiecki „Die Welt", tylko w ubiegłym roku w Niemczech aż 49 osób zostało wepchniętych na tory tuż pod nadjeżdżający pociąg. Podobnych incydentów szybko przybywa. Rok wcześniej było ich 29.

Jednym z najgłośniejszych przykładów działania imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu jest incydent z lipca 2019 r., do którego doszło na dworcu głównym we Frankfurcie nad Menem. Morderca z Erytrei w biały dzień wepchnął pod pociąg InterCity matkę z dzieckiem. W ostatniej sekundzie kobiecie udało się przetoczyć na tor obok. Nie zdążyła jednak uratować ośmioletniego syna. Napastnik próbował zepchnąć na tory jeszcze jedną osobę. Ta na szczęście zdołała się jednak obronić. Sprawca był doskonale znany policji, bo wcześniej Afrykańczyk od miesięcy terroryzował lokalną społeczność.

Według „Die Welt" niepokojące jest to, że w ponad połowie przypadków sprawcami spychania osób pod pociąg byli cudzoziemcy. Niektórzy imigranci, jak choćby 28-letni Serb, który wepchnął pod pociąg 34-latkę, wyjaśniają policji, że „po prostu chcieli kogoś zabić".

Autorzy artykułu wskazują, że za nową falą terroru tkwią przyczyny społeczne i kulturowe, jak obawy dotyczące perspektyw na przyszłość czy strach przed nieudaną integracją. Jeden z cytowanych przez dziennik kryminologów zauważył zaś, że wielu migrantów przyjętych od 2015 r. cierpi na problemy psychologiczne, a nie otrzymuje od państwa wystarczającej pomocy. Na razie Niemcy chcą wzmocnić ochronę dworców. Władze rozważają także nakaz zmniejszenia prędkości pociągów oraz zalecają, aby czekać na pociąg co najmniej dwa metry od krawędzi peronu. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

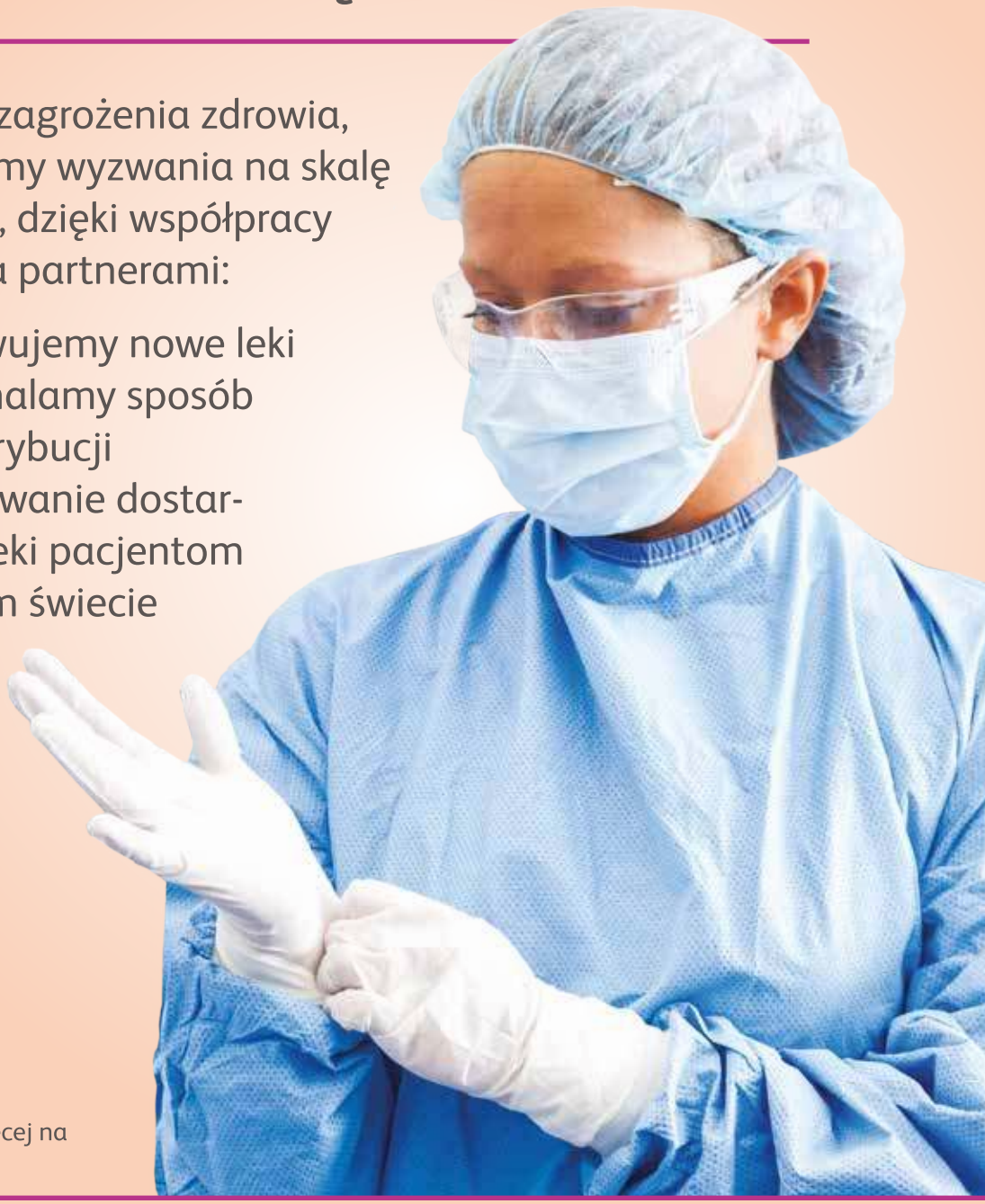

Dowiedz się więcej na
bms.com

ONCPL2011661-01,12.2020

Bristol Myers Squibb™

eprasa.pl 4e28c29d7b

FOT. ADOBE STOCK

Najpierw frankowicze, teraz złotówkowicze

Łukasz Warzecha

Problemy klientów z kredytami denominowanymi we frankach szwajcarskich ciągną się od dekady. Dołączyły do nich kłopoty tych, którzy mają kredyty złotówkowe o zmiennej stopie procentowej. Te grupy jednak więcej różni, niż łączy

W przypadku kredytów popularnie zwanych frankowymi – choć tak naprawdę żaden z kredytobiorców ani jednego franka na oczy nie widział, chyba że spłacając zobowiązania w tej właśnie walucie – mieliśmy do czynienia z, jak się dzisiaj okazuje, niedozwolonymi praktykami banków. Potwierdzają to od paru już lat sądy, wydając coraz więcej wyroków unieważniających umowy kredytowe.

Kiedy w drugiej połowie pierwszej dekady tego wieku nastał największy popyt na kredyty frankowe, nie istniała jeszcze Komisja Nadzoru Finansowego. Jej rolę w odniesieniu do banków pełniła Komisja Nadzoru Bankowego. KNB stworzyła wprawdzie rekomendację, która nakazywała informować o ryzyku kursowym, ale ta rekomendacja nie dotyczyła instytucji doradztwa finansowego, takich jak Open Finance (w upadłości), a to za ich pośrednictwem zaciągnięto ogromną część takich właśnie kredytów. Nawet gdy o ryzyku informowano, czyniono to na marginesie i w taki sposób, żeby kredytobiorca, który zwykle nie miał przecież doświadczenia w finansach (trzeba pamiętać, że mówimy o czasach sprzed ponad 15 lat – Polacy wiele się od tego momentu nauczyli), odnosił wrażenie, że to jakiś nieistotny szczegół całej operacji. Ostatecznym argumentem była często zdolność kredytowa, której albo w złotówkach nie było, albo była o wiele mniejsza niż wówczas we frankach.

NIEDOZWOLONE ZAPISY W UMOWACH

Źródłem problemów kredytobiorców frankowych nie stało się oprocentowanie, wyznaczane do niedawna według wskaźnika LIBOR (zlikwidowanego z końcem 2021 r. i zastąpionego wskaźnikiem SARON), ale właśnie kurs CHF do złotówki. I tu zaczęła się brzydka gra polityczna. W 2015 r. Andrzej Duda deklarował przyjście frankowiczom z pomocą, ale szybko o tych obietnicach zapomniał, gdy znalazł się w Pałacu Prezydenckim. To, co później środowisko prezydenta na odczepnego przygotowało i co zresztą nie miało szans w Sejmie, nie miało się nijak do wcześniejszych zapowiedzi, w których wprost była mowa o przewalutowaniu kredytów po kursie z dnia ich zaciągnięcia. Andrzej Duda zaś, podobnie jak bankowcy i większość polityków, udawał, że nie rozumie, na czym polega główny kłopot. Nie było nim bowiem samo spłacanie bieżących rat – tu nawet w momentach najbardziej niekorzystnego kursu nie było źle – ale fakt, że kredytobiorcy frankowi zostali do swoich kredytów uwiązani. Spłacając je rzetelnie przez pół całego okresu kredytowania, stwierdzali, że pozostało im do zapłacenia dużo więcej, niż początkowo dostali od banku. Tymczasem politycy skupiali się obłudnie na tych, którzy mogli mieć problemy ze spłatą – a była to garstka.

Argumentując w sądach, do których frankowicze ruszali coraz liczniej, wskazywano głównie na obecność w umowach kredytowych niedozwolonych klauzul. Przy braku systemowego rozwiązania ze strony państwa masowo już zapadające wyroki korzystne dla kredytobiorców zmusiły w końcu część banków do jakiegoś ustosunkowania się do problemu. Tu możliwe były dwie drogi. Jedną wskazywał państwowy PKO BP, który jako jeden z pierwszych zaczął do frankowiczów wyciągać rękę, a w końcu w ubiegłym roku uruchomił program ugód. Do jego szczegółów było wiele uwag, ale bankowi chodziło o to, żeby w wyniku obustronnego kompro-

eprasa.pl 4e28c29d7b

misu stracić mniej, niż gdyby większość kredytobiorców wybrała drogę sądową. Zwłaszcza że taka perspektywa wymusza na bankach tworzenie kosztownych rezerw na ten cel.

Całkiem przeciwny kurs wybrał Cezary Stypułkowski, prezes mBanku, znany z wyjątkowo radykalnych, wręcz aroganckich wypowiedzi w sprawie kredytów frankowych. Stypułkowski uznawał, że bardziej opłaca mu się proces wymuszonego przez sądy porozumiewania się z kredytobiorcami przeciągać, jak się da. Ale zdaje się, że nawet mBank zmierza ku jakiemuś pakietowemu rozwiązaniu. W grudniu rozpoczął bowiem pilotaż ugód, którym przyświeca hasło: „Spotkajmy się w połowie drogi". Od powodzenia tego programu bank uzależnia dalsze kroki.

W ciągu lat dyskusji o tym, co począć z frankowiczami, pojawiło się wiele mitów i nadużyć. Ci kredytobiorcy nie chcieli nigdy żadnej pomocy od państwa. Wskazywali również, że to państwo nie wywiązało się ze swoich obowiązków, bo poza ogólną rekomendacją w szczycie powodzenia kredytów CHF nie zrobiło nic. Państwo powinno było zatem stworzony przez siebie problem rozwiązać. Mało kto pamięta, że gdy pojawiały się pomysły, aby dostęp do kredytów frankowych ograniczyć, PiS gardłował, że chce się w ten sposób pozbawić ludzi możliwości kupienia własnego mieszkania.

PROBLEM ZMIENNYCH STÓP

Historia, która zaczęła się od momentu, kiedy Rada Polityki Pieniężnej zaczęła windować stopy procentowe w obliczu rosnącej lawinowo od marca 2021 r. inflacji, jest natomiast całkiem inna. W kłopocie znaleźli się ci kredytobiorcy, którzy zdecydowali się na wzięcie pożyczek o zmiennej stopie procentowej. Tyle że – inaczej niż w przypadku tych indeksowanych do CHF – nie ma tutaj mowy o jakichś klauzulach niedozwolonych. Jeśli zaś w przypadku frankowiczów argumentowano, że powinni byli rozumieć ryzyko kursowe, to dokładnie tak samo można argumentować w przypadku obecnie przyciśniętej do muru grupy.

Decyzja o wzięciu kredytu ze zmienną stopą procentową opiera się na założeniu, że stopy pozostaną niskie lub nawet spadną, na czym się skorzysta. Trzeba było jednak brać również pod uwagę, że mogą wzrosnąć. To się teraz dzieje, ponieważ RPP musi reagować – niestety z opóźnieniem – na inflację, która w styczniu wyniosła 8,7 proc. według Eurostatu, a aż 9,3 proc. według GUS. Podwyżki stóp powodują zaś wzrost indeksu WIBOR. WIBOR to Warsaw Interbank Offered Rate – krajowy odpowiednik skasowanego już LIBOR (London Interbank Offered Rate).

Wyższe oprocentowanie kredytów złotówkowych to nawet kilkaset złotych miesięcznie więcej do spłacenia. Referencyjna stopa NBP to obecnie 2,75 proc., ale jej dalszy wzrost jest tylko kwestią czasu. Biuro Informacji Kredytowej ocenia, że kiedy ten wskaźnik sięgnie 3,5–4 proc., pojawią się w dużej liczbie problemy ze spłatą kredytów w złotych o zmiennej stopie. Wiele osób wzięło takie pożyczki, gdy były rekordowo tanie, ponieważ stopa oprocentowania była praktycznie zerowa, a więc mniej więcej od połowy 2020 do połowy 2021 r. To właśnie dla nich zmiana jest największym szokiem, a chodzi o pół miliona klientów banków. To bomba z opóźnionym zapłonem.

500 tys.

TYLU OSÓB DOTYCZY PROBLEM KREDYTÓW ZE ZMIENNYM OPROCENTOWANIEM

Różnica pomiędzy nimi a frankowiczami polega również na tym, że w przypadku tych pierwszych problemem może być bieżące spłacanie rat. W przypadku tych drugich jest nim niezmniejszanie się pozostałej do spłacenia sumy w złotówkach nawet po latach regulowania zobowiązań.

Radykalnie odmienny jest stosunek polityków do dwóch tych grup, które znalazły się w kłopotach z powodu kredytów. Frankowiczów praktycznie całkowicie zlekceważono, mimo że w ich przypadku mamy do czynienia z klauzulami uznanymi za niedozwolone. Niektórzy politycy mówili o tym, że „cwaniaki" dostali, na co zasłużyli, wielu stwierdzało, że trzeba ponosić konsekwencje własnych wyborów – choć sfera bankowości jest objęta ścisłą kontrolą państwa, która wtedy zawiodła. Nawet politycy obozu rządzącego przyjmowali narrację bankowców, mówiących o tym, że za ulżenie tej grupie zapłacą wszyscy. Było to widoczne szczególnie od momentu, gdy na fotelu premiera zasiadł były prezes Santandera Mateusz Morawiecki.

Tymczasem choć identyczną, a nawet o wiele mocniejszą argumentację można by zastosować wobec kredytobiorców złotówkowych, politycy na wyprzódki zaczęli proponować szczodre rozwiązania. Opisując je, błędnie mówi się o zamrożeniu WIBOR. To jest oczywiście niemożliwe, bo ten wskaźnik ma wiele innych funkcji i jego sztuczne zatrzymanie skierowałoby cały system finansowy na ścianę. Propozycje sprowadzają się zatem po prostu do zamrażania oprocentowania kredytów albo publicznej pomocy dla kredytobiorców, co idzie już o krok dalej. Tę ostatnią koncepcję przedstawiła Lewica, która chciałaby dopłat do oprocentowania kredytów dla mających największe problemy klientów. Ta propozycja zakłada zatem coś, czego nigdy nie proponowano w przypadku frankowiczów i czego oni sami nie chcieli: dopłacanie do kredytów z publicznych pieniędzy.

Z kolei o zamrożeniu stopy procentowej również u najbardziej obciążonych kredytobiorców mówi projekt Koalicji Obywatelskiej. To rozwiązanie nie angażuje już publicznych pieniędzy, ale stanowiłoby obciążenie dla banków.

Skąd tak rażąca rozbieżność w traktowaniu dwóch grup klientów banków? Wszak daleko idące oferty polityczne dla kredytobiorców złotówkowych pojawiły się praktycznie od razu, podczas gdy frankowiczami – poza krótkim momentem kampanii w 2015 r. – nikt się nie interesował.

Przyczyn jest kilka. Po pierwsze – liczba ludzi, których dotyczy problem. Około 500 tys. nowych kredytów złotówkowych, wziętych zaledwie w okresie około roku obowiązywania bardzo niskich stóp kontra szacowana na 600–700 tys. liczba kredytobiorców frankowych. Minus ci, którzy rozwiązanie znaleźli już w sądach. 90 proc. spraw zakończyło się wygraną powodów. Po drugie – kredytów indeksowanych w CHF już się nie udziela, pod tym względem to sprawa zamknięta. Kredytobiorcy złotówkowi zaś to sprawa otwarta. Po trzecie – zbliżają się wybory, warto więc populistycznymi pomysłami powalczyć o nową grupę zwolenników. Z frankowiczami to się już raczej nie uda – oni przywykli do myśli, że pozostawiono ich samym sobie. Walczą i wygrywają w sądach. Ale złotówkowiczów można jeszcze omamić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e28c29d7b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Samobójcze samooszustwo

Jak bardzo samobójcze może być samookłamywanie, samooszukiwanie? Cóż, pierwszy z brzegu i to, niestety, całkiem świeży przykład. Samookłamywanie przez wiecznie z siebie zadowolonych rządzących polityków – w sprawie rzekomo znakomitego stanu naszego systemu ochrony zdrowia, a co najmniej niedopuszczanie przez nich do siebie myśli (w każdym razie nic o tym nie wiadomo), że stan naszego systemu ochrony zdrowia jest wprost fatalny, być może najgorszy w całej UE – kosztowało w ciągu dwóch ostatnich lat życie dodatkowo (w porównaniu z wcześniejszymi latami) niemal 200 tys. Polaków. Kosztowało życie niemal 200 tys. Polaków, którzy – gdyby nasz system ochrony zdrowia choć w połowie był w tak dobrym stanie, jak rządzący politycy do dziś się samookłamują – jeszcze pewnie by żyli, a może nawet cieszyli się dobrym zdrowiem.

W przypadku stanu naszej armii jest, obawiam się, jeszcze gorzej, popełniamy bowiem ten sam błąd samookłamywania nie po raz pierwszy, lecz – z uporem maniaka samobójcy – już po raz drugi. Jakby nie pomni klęski we wrześniu 1939 r., kiedy to rządzący do upadłego zaklinali rzeczywistość i samookłamywali siebie (a przy okazji okłamywali obywateli), że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi" i w dodatku „nie oddamy ani guzika", a potem w ciągu miesiąca było po Polsce – znowu jesteśmy zapewniani przez rządzących, że nasza armia jest w doskonałym stanie. A wszelkie raporty, które to podważają – a takich przecież niemało – z całą bezwzględnością są dezawuowane, ich autorów zaś i piszących o nich dziennikarzy pomawia się bez mała o zdradę główną.

A przecież dziś nie trzeba posiadać żadnej tajnej wiedzy, wystarczy zajrzeć choćby na portal globalfirepower.com i przyjrzeć się danym na temat stanu polskiej armii, aby wyrobić sobie zdanie na temat faktycznego potencjału naszych sił zbrojnych i ich szans w starciu z tym czy owym ewentualnym przeciwnikiem. Pomaga w tym porównywarka tego portalu, umożliwiająca konfrontowanie państw pod względem potencjału ich sił zbrojnych. Aby popaść we frustrację, a może i w przestrach, nie trzeba nawet porównywać potencjałów militarnych Polski i Rosji – wystarczy porównać potencjały Polski i innych krajów, np. Niemiec.

To prawda, samookłamywanie jest wygodne, bo nie trzeba nic robić – planować zmian, wchodzić w konflikty, kiedy już się je forsuje, ani być rozliczanym z tego, czy reforma się powiodła. Tyle tylko że samookłamywanie zazwyczaj w prostej linii prowadzi do samobójstwa – na przykład państwa. I nie da się tego samobójstwa uniknąć bez „stanięcia w prawdzie". Albowiem bez ujawnienia, jak jest naprawdę – a więc także jak źle jest naprawdę – jeśli jest źle, nie ma – uczy tego doświadczenie – najmniejszych szans na naprawienie tego, co nie działa. Zróbmy to więc, póki jeszcze jest czas – jeśli jeszcze jest czas! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czas skończyć z bzdurami

Wojna powinna zmienić perspektywę Europy na wiele kwestii. W tym na te, które są wyrazem ideologicznych szaleństw, a na które nie ma po prostu miejsca w świecie, gdzie następuje twarde wybudzenie ze złudzeń, kiedy tuż przy polskiej granicy przejeżdżają rosyjskie czołgi.

Pierwsza rzecz, z którą trzeba się natychmiast pożegnać, to jakiekolwiek covidowe bzdury: paszporty, restrykcje, ograniczenia. A już szczególnie tam, gdzie wchodzą w konflikt z zapewnieniem naszemu państwu bezpieczeństwa – a tak jest niestety w wojsku, gdzie zaczęło się zwalnianie niezaszczepionych żołnierzy. To szaleństwo – a mówiąc wprost: sabotaż – rząd powinien zakończyć natychmiast. Komisja Europejska powinna też porzucić plan przedłużenia obowiązywania covidowych paszportów o rok.

Pakiet „Fit for 55" powinien wylądować w koszu – Europa nie może sobie teraz pozwolić na realizację tego kosztownego planu

Lecz znacznie ważniejsze jest, żeby UE pożegnała się z absurdalnymi, szkodliwymi pomysłami, uderzającymi w jej, a szczególnie w polski, potencjał, wynikającymi z klimatystycznych obsesji. Pakiet „Fit for 55" powinien wylądować w koszu – Europa nie może sobie teraz pozwolić (o ile mogła kiedykolwiek) na realizację absurdalnie kosztownego, drenującego z zasobów, ideologicznie uzasadnianego planu. Zawieszony powinien zostać również system handlu emisjami. Polska musi teraz inwestować pieniądze we własne bezpieczeństwo, a nie w wymysły Fransa Timmermansa lub tym bardziej uprawnienia do emisji, którymi handluje się na giełdach.

Nie miejmy złudzeń – gaz za moment zdrożeje radykalnie, także dlatego, że jest Europie potrzebny jako przejściowe paliwo w drodze do Zielonego Ładu. Dlatego to właśnie jest moment, aby zwiększyć nacisk na głęboką rewizję tej polityki. Niemcy powinny wycofać się z planu zamknięcia dwóch ostatnich swoich elektrowni jądrowych. To właśnie wycofanie się z atomu, motywowane czysto ideologicznie, pozwoliło Rosji zbudować dominację energetyczną wobec Niemiec i w dużej części wobec całej Europy. My zaś mamy dość własnych zasobów węgla, które można teraz traktować jako strategiczne, aby w dużej mierze oprzeć się problemom. To jednak wymaga błyskawicznej zmiany priorytetów. I to jest najlepszy, a właściwie jedyny moment. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

Grupa Inwest®

SQ DEVELOPMENT

MIESZKANIA
W HISZPANII
COSTA DORADA

Vilanova i la Geltrú

30 min. od Barcelony

mieszkania POD KLUCZ

cena:

od 145.000 euro

CASERNES

OASIS VILANOVA

www.grupainwest.pl

www.sqd-vng.es

eprasa.pl 4e28c29d7b

Nadal będziemy walczyć o dostęp do terapii genowej w Polsce

FOT. ADOBE STOCK

Z Kacprem Rucińskim, członkiem Rady Strategicznej Fundacji SMA
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: 28 lutego to Dzień Chorób Rzadkich – w ostatnim czasie dużo dobrego wydarzyło się w sprawie leczenia chorób rzadkich: pojawił się Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich, powstał Fundusz Medyczny, są dostępne nowe leki dla pacjentów, m.in. z mukowiscydozą. Pewnym cieniem kładzie się niedawna decyzja o negatywnym zakończeniu negocjacji w sprawie terapii genowej SMA. Jak oceniacie tę decyzję jako fundacja?

KACPER RUCIŃSKI: To duże rozczarowanie; terapia genowa staje się nowym złotym standardem leczenia SMA na świecie. W wielu krajach jest to terapia pierwszego wyboru w leczeniu nowo diagnozowanych niemowląt. Są bardzo dobre wyniki badań klinicznych jej stosowania, zwłaszcza na wczesnym etapie choroby. Dlatego decyzja Ministerstwa Zdrowia, że polskie dzieci nie będą miały do niej dostępu, jest rozczarowująca.

Czym właściwie jest SMA?

Rdzeniowy zanik mięśni jest rzadką, uwarunkowaną genetycznie chorobą, prowadzącą do stopniowego nieodwracalnego uszkodzenia motoneuronów (neuronów ruchowych), a w konsekwencji – do niedowładu i zaniku mięśni. Do czasu wprowadzenia nowoczesnych metod leczenia SMA było najczęstszą genetyczną przyczyną śmierci dzieci do drugiego roku życia. W Polsce rodzi się rocznie ok. 50 dzieci, u których w pewnym momencie życia rozwinie się SMA. W ponad 70 proc. przypadków pierwsze objawy SMA pojawiają się w niemowlęctwie lub we wczesnym dzieciństwie. Co ważne, choroba nie ma wpływu na rozwój emocjonalny, społeczny, intelektualny. Dzieci rozwijają się bardzo dobrze, są bardzo inteligentne.

Choroba zaczyna się od degeneracji motoneuronów, czyli neuronów sterujących mięśniami, które nie są w stanie przewodzić sygnałów do mięśni, przez co nie są one pobudzane, słabną i zanikają. Leczenie trzeba wprowadzić jak najszybciej, zanim motoneurony stracą swoją funkcję. Terapia genowa ma tę korzyść, że działa błyskawicznie, podnosi poziom brakującego białka w ciągu kilkudziesięciu godzin po podaniu i natychmiast zatrzymuje postęp choroby; w przypadku pozostałych leków trwa to sporo dłużej.

W wielu krajach udało się już wprowadzić terapię genową, również w krajach o podobnym PKB jak Polska. Czemu w Polsce do tej pory to się nie udało?

Z Ministerstwa Zdrowia odbieraliśmy sygnały, że problemem jest cena, zwłaszcza że ministerstwo już wydaje pieniądze na leczenie tej choroby innym lekiem. Rozumiem, że przy ograniczonym budżecie można podnosić taki argument, jednak inne kraje Europy również wydają pieniądze na leczenie SMA różnymi lekami, mimo to terapia genowa jest również u nich dostępna. W niektórych krajach już trzy terapie są refundowane.

Można jednak powiedzieć, że dzieci w Polsce nie są pozbawione leczenia, otrzymują nowoczesny i skuteczny lek. W dodatku Polska jest jednym z pierwszych krajów, które wprowadzają badania przesiewowe noworodków w kierunku SMA.

To prawda, bardzo się cieszymy z wprowadzania badań przesiewowych, dzięki temu będzie można rozpocząć leczenie na etapie przedobjawowym, co daje szansę na prawidłowy rozwój dziecka. To bardzo dobrze, że mamy dostępny chociaż jeden lek. Dzięki temu SMA nie jest chorobą, z powodu której dzieci umierają, zwłaszcza gdy rozpoczną leczenie wcześnie. Rozwój medycyny polega

eprasa.pl 4e28c29d7b

jednak na tym, że do leczenia wprowadza się coraz nowsze, lepsze leki.

Jaka jest przewaga terapii genowej nad innymi sposobami leczenia?

To jest lek podawany jednokrotnie. Dzieci, które dostaną go we wczesnym dzieciństwie, szczególnie jeszcze zanim pojawią się objawy choroby, z dużą dozą prawdopodobieństwa będą rozwijały się tak jak zdrowe dzieci. Nie będą nawet musiały wiedzieć, że chorują na SMA.

Jak dużo osób przyjęło już na świecie terapię genową? Czy ona jest skuteczna? Faktycznie wystarczy jednokrotne podanie leku? A jeśli tak, to na jak długo?

Jak informuje producent, terapię genową przyjęło już na świecie ok. 1,8 tys. dzieci; to dużo, jak na chorobę ultrarzadką. Efekty długotrwałe są znakomite. Widzimy, że lek ten nie przestaje działać u dzieci, które otrzymały terapię genową nawet pięć–sześć lat temu w ramach badań klinicznych. Jeśli za pomocą terapii genowej udaje nam się „naprawić" neurony, to jest bardzo prawdopodobne, że będą one funkcjonowały do końca życia tak jak zdrowe motoneurony. Oczywiście stuprocentową pewność co do czasu działania terapii genowych będziemy mieli za kilkadziesiąt lat, jednak już dziś możemy z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że jest ona skuteczna, lek wystarczy podać raz i nie będzie konieczne wprowadzanie dodatkowego leczenia.

Znam wiele dzieci, które otrzymały terapię genową; części z nich jako fundacja pomagaliśmy dostać się do badań klinicznych. Cały czas utrzymujemy kontakt z ich rodzicami. Jeśli dzieci dostały terapię genową na etapie przedobjawowym lub wczesnoobjawowym, to rozwijają się rewelacyjnie, nie widać, żeby miały jakiekolwiek problemy zdrowotne. Te, które otrzymały terapię genową na etapie objawowym, też rozwijają się dobrze, choć wiadomo, że objawy nie znikną.

Dla jakich dzieci terapia genowa byłaby najbardziej skuteczna?

Największe efekty są widoczne u dzieci zdiagnozowanych w badaniach przesiewowych, które otrzymają leczenie, zanim pojawią się objawy. Większość z nich rozwija się bez żadnych objawów choroby. U niewielkiego odsetka, mającego specyficzną kombinację genetyczną, mogą pojawić się bardzo łagodne objawy, zwykle niezauważalne w codziennym funkcjonowaniu. Z punktu widzenia organizacji pacjentów powiem, że nie tylko dzieci przedobjawowe mogą uzyskać korzyści z terapii; mogą je uzyskać również dzieci, u których objawy już wystąpiły. Obecnie w Europie mamy konsensus lekarzy, by terapię podawać dzieciom z wagą do 13,5 kg. W pojedynczych przypadkach była podawana dzieciom o wyższej wadze, nawet do 21 kg, bez poważniejszych komplikacji. Oczywiście za każdym razem ostateczną decyzję na temat optymalnej terapii powinien podjąć zespół lekarski wspólnie z rodziną dziecka. Kluczowe dla powodzenia leczenia jest dobranie odpowiedniej terapii do dziecka.

Obecnie w Polsce jest refundowany nusinersen, pierwszy przełomowy lek w SMA. To dzięki niemu dzieci z SMA1, u których wcześniej postęp zaniku mięśni był tak szybki, że już w pierwszym roku życia musiały być wspomagane respiratorowo, dziś w większości przypadków normalnie funkcjonują. Ponadto część rodziców z nowo zdiagnozowanym SMA zbiera pieniądze na terapię genową.

Uważam, że indywidualne zbiórki pieniędzy nie tylko nie zbliżają nas do udostępnienia terapii genowej w Polsce, lecz także wręcz oddalają. U niektórych dzieci terapia genowa może nie być wskazana, jednak rodzice zwykle nie konsultują się z lekarzami. Po prostu padają ofiarą nacisków ze strony różnej maści „pomagaczy", którzy namawiają na zbieranie pieniędzy na terapię genową i przekonują, że to jest „najlepszy lek". Same opisy zbiórek często opierają się na przekłamaniach, wprowadzają darczyńców w błąd, sugerują, że bez tego leku dziecko umrze. To wszystko zakłamuje obraz choroby i zatruwa publiczną dyskusję na temat konieczności wprowadzenia terapii genowych w Polsce.

Problemem też jest to, że często po diagnozie lekarze nie mają wystarczająco dużo czasu, żeby spokojnie porozmawiać z rodzicami dziecka o chorobie, obiektywnie przedstawić dostępne terapie, wyjaśnić plusy i minusy każdej z nich, przygotować i objaśnić długofalowy plan leczenia. Mamy kilka dobrych szpitali i świetnych zespołów medycznych, które to robią, ale niestety nie wszędzie takie profesjonalne podejście jest standardem. Zresztą, patrząc szerzej, nie sprzyja mu organizacja polskiego systemu ochrony zdrowia, zasadniczo płacącego za procedury medyczne.

Choć zbiórki nie są optymalnym wyjściem, to jednak dostęp do terapii jest ważny?

Wręcz konieczny. Rodziny, które zwracają się do fundacji o pomoc, często poważnie biorą pod uwagę możliwość emigracji. Obecnie terapia genowa jest bez problemu stosowana w większości państw UE, w tym w Czechach, na Słowacji, Węgrzech, w Niemczech, we Francji, w Holandii, we Włoszech.

Rodzice decydują się na emigrację?

Tak. Nawet obecnie rozmawiam z jedną z rodzin na ten temat, staramy się pomóc. Rodzice postrzegają tę terapię jako bardziej optymalną. Oczywiście nawet jeśli wyjadą za granicę, to tam lekarz od nowa zastanowi się, jakie leczenie będzie najlepsze dla danego dziecka. W Polsce, niestety, po pierwsze, lekarze nie mają żadnego wyboru terapii, a po drugie, tak jak wspomniałem, brakuje „porządnego" przygotowania długofalowego planu leczenia dziecka – nie tylko dotyczącego kwestii farmakologicznej, lecz także wszystkich innych badań i zabiegów niezbędnych w SMA – w ścisłym dialogu z rodzicami.

Pojawienie się pierwszego leku przyczynowego w Polsce w leczeniu SMA (nusinersenu) udało się w dużej mierze dzięki działaniom Fundacji SMA, współpracy ze specjalistami i z ministerstwem. Jako fundacja nadal będziecie starać się, żeby terapia genowa była dostępna?

Tak. Wydaje się, że Fundusz Medyczny został utworzony przez pana prezydenta właśnie po to, żeby umożliwiać pacjentom w Polsce dostęp do takich terapii. Mówił o tym też pan premier Mateusz Morawiecki. AOTMiT umieścił terapię genową na liście innowacyjnych leków do zrefundowania w ramach Funduszu Medycznego. Bardzo zależy nam na tym, żeby rzetelnie informować o tej opcji terapeutycznej, o tym, czego można się od niej spodziewać, co ona oferuje pacjentom, o tym, jak fundamentalnie zmienia paradygmat długofalowej opieki medycznej w SMA. Jak bardzo jest niezbędna w Polsce. Naciskamy na producenta, by złożył powtórnie wniosek o refundację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kacper Ruciński jest członkiem Rady Strategicznej Fundacji SMA.

eprasa.pl 4e28c29d7b

NASZ TEST: SŁUCHAWKI SENNHEISER HD 560S

Neutralne, precyzyjne brzmienie, komfort użytkowania i bardzo dobry stosunek ceny do jakości dźwięku – to największe zalety przewodowych wokółusznych słuchawek z dolnej półki dla audiofilów niemieckiej firmy Sennheiser.

Testowany model na pierwszy rzut oka nie wygląda na produkt klasy premium. Design jest prosty. Nic nie kusi, nic nie rozprasza. Pałąk ważących zaledwie 240 g klasycznych słuchawek wykonany jest z twardego, półmatowego plastiku, który sprawia wrażenie nieco topornego i zbyt taniego. Na szczęście wentylowane nauszniki długo pozostają chłodne, a welurowe poduszki zapewniają dużą wygodę. Mimo mocnego docisku do głowy słuchawki HD 560S są więc komfortowe przy wielogodzinnym odsłuchu i to nawet dla osób, które jednocześnie noszą okulary.

Widać, że projektanci skupili się na tym, co najważniejsze, a więc na brzmieniu. To zaś zasługuje na pochwałę. Dźwięk jest neutralny, czysty i precyzyjny, a scena dźwiękowa wyrazista i pełna detali, chociaż ze zbyt małą głębią. Momentami można więc odnieść wrażenie, że wokalista stoi zbyt blisko, a cała orkiestra została upchnięta do zbyt małego pomieszczenia. HD 560S brzmią pod tym względem wyraźnie lepiej (są też jednak ponad dwa razy droższe). Mimo tej wady testowane słuchawki nieźle sprawdzają się jednak praktycznie w każdym gatunku: od jazzu poprzez rock aż do popu.

Nie jest to jednak gadżet dla tych, którzy uwielbiają sztucznie podbity bas w każdym utworze. HD 560S to model dla osób szukających słuchawek odtwarzających dźwięk najbliższy oryginałowi, bez zbędnych upiększeń. Bas jest tu bardzo dynamiczny, wyraźnie zaznaczony i dobrze brzmiący, choć zejście basu jest już tylko przeciętne. Dzięki temu, że niskie tony nie dominują w tych słuchawkach, można z radością słuchać sopranów i z przyjemnością śledzić brzmienie kolejnych instrumentów. Testowany model powinien więc dać też sporo satysfakcji miłośnikom muzyki klasycznej. Jednocześnie warto zadbać o bardzo dobrą jakość źródła.

Wady? Jakość wykonania jak na słuchawki tego producenta jest na mocno przeciętnym poziomie. W zestawie brakuje też choćby najtańszego futerału na słuchawki, choć akurat HD 560S są ewidentnie przeznaczone do użytku domowego. Testowany model nie nadaje się bowiem ani do biura, ani do transportu miejskiego. Po pierwsze, HD 560S słabo wyciszają dźwięki z zewnątrz, a po drugie, otwarte nauszniki sprawiają, że współpracownicy oraz inni pasażerowie będą doskonale wiedzieli, czego akurat słuchamy.

Dla niektórych audiofilów słuchawki mogą okazać się zbyt liniowe i za bardzo „analityczne".

Sennheiser HD 560S to jednak dobra propozycja dla tych audiofilów, którzy szukają niezłego, neutralnego brzmienia, ale nie chcą lub nie mogą wydać na słuchawki kilku tysięcy czy kilkunastu tysięcy złotych. Testowany model to jeden z najlepszych na rynku w cenie do 1 tys. zł. HD 560S kosztują obecnie 799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

MINIKOMPUTER O WADZE 250 G

Ningmei Mini Computer CR80 to najnowszy model komputera firmy Xiaomi, który liczy zaledwie 12 cm długości, 12 cm szerokości i mniej niż 2,5 grubości. Urządzenie waży zaledwie 250 g, dzięki czemu ma szansę stać się naprawdę komputerem osobistym – można je bowiem zabrać ze sobą w plecaku, aktówce czy torebce. Sercem minikomputera jest czterordzeniowy, czterowątkowy procesor Intel Celeron N5105 z trybem turbo do 2,9 GHz, wspierany przez 6 lub 8 GB pamięci RAM. Szału nie ma, ale do oglądania filmów, przeglądania Internetu, uzupełniania arkuszy kalkulacyjnych czy pisania tekstów wystarczy. Wbudowany dysk SSD może mieć pojemność 128 lub 256 GB. Urządzenie ma wbudowany moduł wi-fi oraz Bluetooth, a także dwa porty USB-A oraz jeden HDMI, dzięki czemu komputerek można podłączyć do monitora, telewizora lub projektora. Cena w zależności od wersji wynosi równowartość 696 zł oraz 822 zł.

SMARTWATCH DLA BOGATYCH

Connected Calibre E4. Tak nazywa się nowy luksusowy model szwajcarskiej firmy Tag Heuer, który ma zadbać nie tylko o kondycję, lecz także o stylowy wygląd „nosiciela". Urządzenie bazujące na systemie Wear OS 2 wyposażone jest w procesor Snapdragon 4100+. Do wyboru są dwie wielkości koperty. Tańsza i mniejsza ma 42 mm, większa i droższa 45 mm. Mniejszy zegarek na jednym ładowaniu ma działać mniej więcej dobę, a większy kilka godzin dłużej. Ekran OLED (o wielkości 1,28 lub 1,39 cala) jest chroniony szafirowym szkłem. Drogi gadżet potrafi monitorować puls, sen oraz ruch. Ma także wbudowany kompas oraz wysokościomierz. Można nim też płacić zbliżeniowo przy użyciu Google Pay. Zegarek w najtańszej wersji kosztuje 7,2 tys. zł. Za tytanową edycję ze stalową bransoletką trzeba już zapłacić równowartość 2550 dol., czyli 10,2 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4e28c29d7b

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NUMER SPECJALNY NA 80. ROCZNICĘ POWSTANIA ARMII KRAJOWEJ!

Wojciech Königsberg – **Śmierć wrogom AK!**
Tomasz Stańczyk – **Zdrada Kalksteina**
Piotr Włoczyk – **Brawurowa likwidacja Kutschery**
Krzysztof Masłoń – **Wyrok na Józefa Mackiewicza**
Marzena Ożarek-Szilke – **Mumia z embrionem**
Jacek Bartosiak – **Klęska w Afganistanie**
Piotr Zychowicz – **Marynarze U.S. Navy pożarci przez rekiny**
Arkadiusz Karbowiak – **Czeskie zbrodnie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4e28c29d7b

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Na koniec karnawału

Zapustny wtorek, u nas zwany „śledzikiem", to już ostatni moment, aby przed rozpoczęciem Wielkiego Postu najeść się do syta. W ten pożegnalny dzień karnawału jeszcze nie tak dawno spotykano się na domówkach i spędzano czas na zabawie. Była to kontynuacja dawnej szlacheckiej tradycji żegnania karnawału, gdy właśnie we wtorek przed Środą Popielcową spotykano się na zabawach i tańcach, jadano – jakby na zapas – dużo mięsiwa, jajek oraz słodkości, zajadano się pierogami, podawano tzw. maćki, czyli żołądki wieprzowe nadziewane kaszą.

W tę ostatnią noc bawiono się tak długo, aż wszystkiego nie zjedzono, ale nie dłużej niż do północy. O północy bowiem na salę bawialną wkraczał uroczyście mężczyzna niosący tacę ze śledziem na znak, że od tego momentu przez 40 dni obowiązywać będzie ścisły post. Podawano wówczas tradycyjne danie zwane podkurkiem, które składało się z mleka, śledzi i jajek – na znak, że od jutra, czyli od Popielca do Niedzieli Wielkanocnej, nie będzie w menu mięsa ani tłustych posiłków. Chęć wykorzystania karnawału do ostatniej minuty była tak silna, że powstało na ten temat powiedzenie: „Powiedzcie wstępnej środzie, niech czeka w ogrodzie".

Dziś dania serwowane w naszych domach na ostatki wyglądają nieco inaczej, są z założenia lżejsze, jemy więcej zielonych sałat z różnymi dodatkami – serami, orzechami i pysznymi sosami, podajemy pieczyste, czyli mięsa wcześniej zamarynowane i upieczone. Oczywiście na stole tego dnia króluje śledź w śmietanie lub w oleju, najlepiej lnianym. Na deser podajemy nasze ulubione pączki, faworki-chrusty i oponki. Korzystajmy, póki czas!

My podajemy wam dzisiaj przepis na śledzie na dwa sposoby.

FOT. ADOBE STOCK

Śledzie w oleju i soku z cytryny

Składniki:

• 6 sztuk wcześniej namoczonych w mleku płatów śledziowych • sok z 1 cytryny + połówka cytryny pokrojona na plasterki • sól, pieprz, szczypta czosnku granulowanego • 1/2 szklanki oliwy lub oleju rzepakowego • świeży koperek

Przygotowanie:

Śledzie kroimy na małe kawałki, skrapiamy sokiem z cytryny, dodajemy plasterki i świeży koperek. Wszystko zalewamy oliwą. Pozostawiamy pod przykryciem na minimum 2 godz. przed podaniem.

Śledzik po krakowsku

Składniki:

• 5 płatów śledzi moczonych w mleku • 1 cebula • 1 jabłko • kwaśna dobra śmietana • łyżka majonezu

Przygotowanie:

Śledzie kroimy na niezbyt drobne kawałki, cebulę siekamy drobniutko, jabłko ścieramy na tarce. Mieszamy jabłko, cebulę, śmietanę, majonez i w takim sosie zanurzamy śledzie. Podajemy z kromkami świeżego białego chleba.

Udanego śledzika!

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Serce kobiece. I żołądek

Książka Zofii Skąpskiej „Dziwne jest serce kobiece" nie jest może wybitnym dziełem literackim, a jednak dwa bardzo grube tomy pochłonęłam w ciągu miesiąca. A dla kogoś, kto interesuje się kulturą życia codziennego, jest to wręcz lektura bezcenna. I nie mamy tu do czynienia z opowieścią o jednej z magnackich siedzib II Rzeczypospolitej – z tym, do czego lubimy wzdychać, wspominając utraconą świetność (rzekomą). Jest to opis życia rodzinnego na przełomie XIX i XX w., przy czym chodzi o rodzinę zubożałego ziemiaństwa, które gospodaruje na administrowanej, nie własnej ziemi. Najpierw w Małopolsce, potem na Pomorzu, w okolicach Działdowa. Jest to więc opis kultury materialnej tej licznej wtedy warstwy, w społeczeństwie na dorobku, przed odzyskaniem niepodległości i cieszącej się nią już po roku 1918.

Mamy więc młodą parę, potem przychodzące na świat dzieci – siedmioro. Mamy dzień powszedni, pracę, wychowanie, chrzty, wesela, przyjęcia. Skąpska szczegółowo opisuje życie swojej rodziny, życie dworu, nie własnego, ale tylko dzierżawionego – w II RP od państwa i spłacanego rok po roku. Kiedy miał przejść na własność, wybuchła wojna… Ironia losu.

Budzi podziw rozmach, z jakim prowadziła dom ta duża kobieta mająca wokół siebie wielkie stado dzieci, synowych, wnuków, ciotek, szwagierek i przyjaciół. W czasach nie tylko sprzed cateringu, diet pudełkowych, lecz także mrożonek, lodówek, a długi czas również elektryczności.

ZOFIA SKĄPSKA „DZIWNE JEST SERCE KOBIECE" CZYTELNIK

Jesienią szła produkcja weków (słoiki Wecka, zamykane hermetycznie). Przy czym konserwowano nie tylko owoce i kompoty, lecz także mięsa, letnie warzywa, wędliny, desery. Niektóre produkty zamykano pod tzw. pechem – dziś, w dobie słoików twist, to zapomniana już masa z kalafonii i oleju parafinowego. Cały ten arsenał przetworów był opisany, skatalogowany, zamknięty w chłodnej spiżarni. Na drzwiach wisiała lista. Gdy ktoś chciał coś pobrać ze skarbca, musiał skreślić słoik z listy. Jajka miały datowanie – używało się tych najstarszych.

Pani Skąpska nie tylko zaopatrywała rodzinę, lecz także udzielała się społecznie, działała w kołach gospodyń, uczyła młode dziewczyny. Napisała kilka broszur o przetworach.

„Z Myszką i Halszką przygotowujemy kompoty, cudne konfitury (agrest nadziewany różą), dżemy, pasztety, torciki jabłeczne, marmolady, przeróżne sałatki. Weki z mięsem różnego rodzaju, z jarzynami, rakami, wędlinami, a przy tym dobór win, gdyż wyrabiam pyszny tokaj na figach z głogu i czerwone wino na drożdżach burgundzkich z czarnych jagód i soków, galaretek".

Ach, zjadłoby się to i owo. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

DZIEŃ Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA

Rozmowy na żywo, ciekawi goście,
komentarze dnia, konferencje
i najważniejsze wydarzenia dnia

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl 4e28c29d7b

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zwierzyniec

Zwierzyniec to kolejny obiekt, którego już nie zobaczymy. Dziś prawie ich nie ma, wyjąwszy nieliczne prywatne hodowle dzikich zwierząt, tu i ówdzie napotkamy daniele czy sarny stłoczone za siatką. Czterysta lat temu biegały po ogromnych przestrzeniach leśnych, niestety pozostały po nich tylko nazwy miejscowości i wsi, czasem lasy, jak w gminie Krzeszowice, gdzie Potoccy mieli tereny łowieckie. Najsławniejsze jest miasto Zwierzyniec pod Zamościem, w Roztoczańskim Parku Narodowym, pozostałość po ordynacji, gdzie pod koniec XVI w. powstały letnia rezydencja Jana Zamoyskiego i przynależny do niej ogromny, ogrodzony teren, na którym trzymano zwierzynę.

Dawne zwierzyńce bowiem służyły przede wszystkim łowiectwu. Pielęgnowano tam zwierza, czasem nawet wielkiego, którego w razie potrzeby wypuszczano w teren dla zabawy myśliwych. Wspomniany Zwierzyniec w Ordynacji Zamoyskich nie był jednak pierwszym, moda przyszła pod koniec średniowiecza z Europy i już pod koniec XVI w. każdy szanujący się magnat musiał posiadać przynajmniej kawałek ogrodzonego terenu przeznaczonego dla zwierzyny. Zygmunt Gloger podaje, że jednym z najsłynniejszych był zwierzyniec Radziwiłłów pod Białą Podlaską, gdzie żywiono 600 danieli, a ponadto były tam stada zajęcy, dzików, wilków i niedźwiedzie. Pierwszy jednak, biorąc rzecz historycznie, był zwierzyniec króla Władysława Jagiełły w Niepołomicach działający w latach 1388–1420. Kolejne znamy już z XVI stulecia, na przykład Ujazdów, letnia rezydencja Anny Jagiellonki, gdzie znajdował się ogród dla zwierząt, istniejący ok. 1575 r. Wcześniej swój własny utrzymywał w Knyszynie jej brat – król Zygmunt August; zmarł zresztą w pobliskim dworze myśliwskim.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W XVII i XVIII w. zwierzyńce stały się powszechne i budziły podziw, gdyż znajdowały się tam rzadkie gatunki zwierząt. U Zamoyskich na początku XVIII w. miały przebywać dzikie koniki polskie. W Białymstoku ogród przy pałacu Branickich łączył się z rozległym zwierzyńcem urządzonym w świerkowym lesie. Zygmunt III Waza w zwierzyńcu, odległym od Warszawy o dwie mile – być może przy Zamku Ujazdowskim – miał trzymać żubry i tury. Król Jan III Sobieski miał kilka zwierzyńców – jeden z nich w Wilanowie, gdzie hodowano zające, wilki i niedźwiedzie, a także ogromne stado danieli. Zwierzęta służyły nie tylko do polowania, lecz także jako rozrywka. Sobieski z Marysieńką wielokrotnie przyjeżdżali tutaj, aby je podziwiać. Drugi mieścił się w Żółkwi; ten zwierzyniec założył Sobieski jeszcze w latach 60. XVII w. i hodował daniele.

W XVIII w. na Litwie szeroko słynął zwierzyniec Radziwiłłowski w Nieświeżu – Alba, założona przez Michała Kazimierza „Rybeńkę", która miała nowoczesną formę gwiazdy – parku, popularnego wówczas w Europie i mającego formę centralnej rezydencji, od której rozchodziły się alejki i ścieżki. W tym przypadku głównym obiektem była altana znajdująca się pośrodku zwierzyńca, a raczej już właściwie parku, który rozbudowywany był przez kolejnego Radziwiłła – znanego moczygębę Karola Stanisława „Panie Kochanku". Przebywało tutaj ponad 100 gatunków zwierząt.

Zwierzyńce często przez historyków mylone są z menażeriami. Niesłusznie, gdyż trzymano w nich zwierzęta przeznaczone do polowania. Natomiast właśnie menażeria była odpowiednikiem dzisiejszych ogrodów zoologicznych. Hodowano tutaj zwierzęta egzotyczne, nie przeznaczone do myślistwa, ale oglądania i wzbudzania podziwu u gości.

Pierwsza z nich powstała na Wawelu, w roku 1406, kiedy król Jagiełło otrzymał z Florencji dwa lwy. Wybieg dla nich urządzony był w Krakowie, w pobliżu baszty Lubranki, a później w osobnej budowli nazywanej Rabsztynem. Sto lat później menażeria zajmowała już fragment ogrodów na zboczach wawelskiego wzgórza. Poza lwami przebywały tam lamparty. Królowa Bona miała własną papugarnię, z kolei jej syn Zygmunt August założył menażerię w Wilnie, gdzie trzymał lwy, papugi, ptaki i wielbłądy. Książę Dominik Zasławski miał na dworze kota morskiego, papugę i ptaki egzotyczne. Później jego menażeria wzbogaciła się o wielbłąda. Królewicz Jakub Sobieski przywiózł z zagranicznych podróży „papichę, małpę i salamandrę".

Bardzo wiele dworów szlacheckich miało własne malutkie zwierzyńce, gdzie trzymało oswojone zwierzęta z pól i lasów. Jan Chryzostom Pasek miał wydrę, którą podarował królowi Janowi Sobieskiemu, a poza nią lisa, kunę, borsuka, a nawet oswojonego zająca, który na polowania wybiegał… razem z psami. Jeszcze osobliwszą menażerię miał Jerzy Krasicki, trzymał bowiem w lochach pod zamkiem w Dubiecku prawdziwego behemota: infamisa Mikołaja Białoskórskiego, do którego miał jakąś urazę, oraz niedźwiedzia brandenburskiego, czyli gdańskiego kupca Dytrycha Schulemberga, który miał nieszczęście upomnieć się o swój dług. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Windows of opportunity

Takie to czasy, że pandemię odwołuje sprzedawca software'u. Nie jakaś nagła, wyczekiwana i pozytywna diagnoza, wynik szerokich badań naukowych czy analiz statystycznych. Kurczę, nawet nie zrobili tego rządzący, nawet WHO. Wiele to pokazuje, jeśli chodzi o tę pandemię.

Cóż powiedział nasz software'owo-szczepionkowy guru, Bill Gates, bo to o nim mowa? Otóż wyłączył on prąd światowego sanitaryzmu. Ale czy do końca? Czy rozpędzeni i nagle opuszczeni jego harcownicy rzeczywiście stoją na czele armii, która już zatrąbiła do odwrotu? Czy jest to tylko przegrupowanie?

Gates powiedział trzy ważne rzeczy. Pierwsza – tu sobie schlebię – to moja teza, od kiedy pojawił się omikron. Chodzi o to, że z punktu widzenia epidemiologicznego to wspaniała… naturalna szczepionka. Pobudza system immunologiczny szybciej, szerzej i NA DŁUŻEJ, niż robią to szczepionki mRNA. W dodatku nie trzeba kupować losu na loterii genetycznych powikłań, jakie mogą być spowodowane przez preparat o niespotykanym działaniu, a niespotykanie słabym przebadaniu.

Po drugie, stwierdził, że czasy pandemiczne dały nam doświadczenie w szybkim konstruowaniu szczepionek i w przyszłości nie trzeba będzie czekać latami, tylko wystarczą miesiąc–dwa i zwyciężymy w przegranym do tej pory wyścigu: nowe warianty wirusa kontra stare szczepionki. A to łączy się z trzecią sprawą – Bill Gates stwierdził, żeby się tak za bardzo nie cieszyć. Tak, COVID odchodzi, ale musimy być gotowi na nowe warianty. A więc mamy w sumie tylko pieredyszkę, bo wszystko (nie wiadomo kiedy?) może wrócić do pandemicznej normy.

No, jeśli to jest takie proste, że wystarczy tylko podmienić przedmiot paniki na inny, a cały mechanizm przetrenowany za COVID zafunkcjonuje jak dobrze naoliwiona maszynka, to będzie już koniec. Ludzkość wejdzie w powtarzalny schemat strachu, wzmożenia i paniki i będzie można go powtarzać bez końca. A czy to będzie kolejny wirus taki czy owaki, czy katastrofa klimatyczna, to już będzie bez znaczenia.

Niejaki Fauci, główny, światowy zarządca pandemii, jasno stwierdził, że tworzono i tworzy się dalej w laboratoriach (w tym w Wuhan) nowe, nieistniejące w naturze warianty wirusów. Po co? No, słuchajcie, słuchajcie, by się przygotować na wypadek, gdyby te sztucznie symulowane wirusy pojawiły się na świecie. Pomijam, że coraz więcej mówi się, że ten nasz koronowy to był właśnie ten sztuczny, ale wystarczy jedno pytanie. To jak, przygotowaliśmy się na te nowe warianty? Jako świat, jako ludzkość. Wychodzi na to, że na pewno na to się przygotowała Big Pharma, która ustami programisty już ogłosiła, że jest gotowa na przyjście nieistniejących wirusów ze szczepieniami zmienianymi w rytmie ich pojawiania się, oczywiście w naturze. Nawet co dwa miesiące. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

TSUE jak Putin

W niedzielę 27 lutego przypada 35. rocznica tajemniczej, nagłej śmierci ks. Franciszka Blachnickiego. W marcu 2020 r. wznowiono śledztwo IPN w sprawie zbrodni komunistycznej, którą mogło być zabójstwo wybitnego duszpasterza emigracji. W tym kontekście odżyła sprawa działalności agentów SB „Yon" i „Panna", czyli Jolanty i Andrzeja Gontarczyków w ośrodku Marianum w Carlsbergu. Fakt, że nie doszło do umorzenia śledztwa, można interpretować z nadzieją, że prokuratura ma nad czym pracować, czyli wszystko posuwa się do przodu.

Przypominam postać wybitnego duchownego, ponieważ wydarzenia ostatnich dni pokazują, jak zaskakująco trafny był program twórcy Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów. Po pierwsze, Blachnicki na przymusowej emigracji w Niemczech, konstruując program „Postsovieticum", twierdził, że tylko odnowa duchowa i zgodne współdziałanie państw Europy Środkowo-Wschodniej mogą zmienić porządek pojałtański. Warunkiem zmiany było przyjęcie także przez kraje Zachodu zobowiązania, by skutki Jałty odwrócić. Przewidując upadek sowieckiej Rosji, zapowiadał, że kolejnym warunkiem trwałej zmiany winno być rozliczenie, przed międzynarodowym trybunałem, zbrodni sowieckiego komunizmu.

Czy naprawdę wierzył w taki obrót wydarzeń? Sam przecież przyznał, jakim wstrząsem były dla niego wydarzenia związane ze śmiercią dyktatora imperium sowieckiego – Breżniewa – w 1982 r. Widział, jak różni przedstawiciele świata Zachodu prześcigali się w oddawaniu czci i wyliczaniu zasług „tego wielkiego męża stanu" i „budowniczego odprężenia i pokoju". Dziś Putin, wychowanek i spadkobierca tego „wielkiego budowniczego pokoju", na oczach elit Zachodu odtwarza nierozliczone ze zbrodni imperium, rekonstruując pojałtański stan posiadania. Ale czy tylko Putin zagraża suwerenności krajów Europy Środkowo-Wschodniej?

Gdy rosyjskie czołgi wjeżdżają do Donbasu, TSUE orzeka w sprawie Rumunii (sprawa pośrednio dotyczy też Polski), że prawo przyjęte przez Unię na podstawie traktatów ma pierwszeństwo przed prawem państw członkowskich, także w stosunku do ich prawa konstytucyjnego. To nie tylko nadinterpretacja traktatów, lecz także tworzenie przez TSUE nowego prawa, depczącego zasadę poszanowania struktur konstytucyjnych państw członkowskich. To nic innego jak pozbawienie suwerenności państw w celu federalizacji UE. Czym, w swej istocie, różni się metoda faktów dokonanych (którą za pomocą czołgów stosuje Putin, „bo może") od tego, czego dopuszczają się sędziowie Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości? Sługo Boży, Franciszku Blachnicki, wstawiaj się za nami! ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Warto pamiętać

Wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę" – takiego tweeta wysłałby zapewne w 2008 r. prezydent Lech Kaczyński, gdyby wówczas korzystał z Twittera. Historyczne już słowa prezydent Polski wypowiedział na wiecu w Tbilisi do 200-tysięcznego tłumu w czasie, kiedy Rosja bombardowała Gruzję. Wszyscy wolelibyśmy, żeby się wtedy mylił. Niestety, zbyt dobrze znał myślenie i mentalność Rosjan, ich ból, upokorzenie po rozpadzie Związku Sowieckiego, kiełkującą w głowach KGB-istów chęć odwetu, rewanżu, wzięcia pod but państw, które odzyskały niepodległość.

Już sam wyjazd do ogarniętej walkami, niebezpiecznej Gruzji w tamtych dniach był aktem odwagi. W Polsce przez część opozycji Lech Kaczyński został wtedy wyśmiany, wyszydzony… Kiedy ostrzelano konwój, z ust marszałka Sejmu, późniejszego prezydenta Bronisława Komorowskiego, padły słowa: „Jaka wizyta, taki zamach, bo z 30 metrów nie trafić w samochód, to trzeba ślepego snajpera". Szkoda, że te słowa padły, wielka szkoda. Wtedy w ogóle panowała atmosfera brutalnego flekowania naszego prezydenta i przyzwolenia na to przez tzw. oświeconych, europejskich, nowoczesnych, sycących się swoją rzekomą lepszością. Warto pamiętać.

Ja wiem, że ta moja kolumna w „Do Rzeczy" ma w zasadzie charakter lekko żartobliwy, satyryczny i przeważnie chciałbym, żeby na Państwa twarzach przy kilku przemyconych dość poważnych kwestiach zagościł uśmiech. Ale piszę te słowa w dniu, kiedy rosyjskie bomby spadają i zabijają cywilów na Ukrainie, nie jest mi więc do śmiechu. Państwu pewnie też nie…

Cóż, oświeceni, europejscy, nowocześni i ich strategia głaskania bandyty Putina zawiodła. Bandyci zawsze rozumieli i będą rozumieć tylko język siły niezależnie od tego, w jakie garnitury się ubiorą i jakie założą zegarki. Zawodzą ci wszyscy, którzy w przestrzeni publicznej, w mediach społecznościowych szargają naszą wspólnotę, nasz patriotyzm, polski mundur, plują na polskie wojsko. Nawet nie chce mi się przytaczać tych „ślachetnych" ludzi. Pod tym pojęciem rozumiem tych, którym dobroć serca nie dość, że zakłóca instynkt samozachowawczy, bo z tym pół biedy, jak chcą sobie robić krzywdę, niech robią, ale problem w tym, że są niebezpieczni dla innych. Kierowani rzekomo dobrym sercem i współczuciem pożyteczni idioci chcą paraliżować zdolności obronne naszych służb mundurowych. Warto pamiętać. Ukraińcy mają na swoim terytorium piątą kolumnę. My też mamy. Warto pamiętać, czytając wiele wpisów w mediach społecznościowych… ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

„Nie ma dla NAS innych miejsc"

Małgośka – mówią mi – my, Polacy, w ogóle nie umiemy już rozmawiać ze sobą, my się ze sobą już tylko komunikujemy. To prawda, każdy w swoich okopach, jedni w okopach Polski, a inni w okopach sfederalizowanej UE. Ale wyjrzał odwieczny Dziadek Mróz i powiało zimną wojną. I nagle okazało się, że ci, którzy chcieli być takimi prawie Niemcami, prawie Francuzami, zrozumieli, iż furtka ich posesji nie otwiera się na Lazurowe Wybrzeże, tylko na wiatry ze stepów Azji. Wot siurpryza! Przecież miało być tak tęczowo i poliamorycznie, a tu lufy czołgów jak na zdjęciach z podręcznika historii. I świat miał być światem bez granic i bez murów, a tu wraca pytanie jak bumerang w czoło: „Wejdą czy nie wejdą?". I Putin miał być taki fajniuchny demokrata, a polska sekta smoleńska straszna jak polska sekta bogoojczyźniana.

No patrzcie, jak nagle fajnopolacy zmarkotnieli, a takie mieli w głowach sielankowe widoki na przyszłość! I jaki mimiczny spektakl bólu na ich twarzach, że już jakoś nikt nie chce rozmawiać o klimatycznym końcu świata i tragedii topniejących lodowców. Choć oczywiście „Wyborcza" jeszcze fason trzyma, jeszcze nadaje o tym, że to już ostatni moment, aby wymienić rząd, który bliżej Putina niż Europy, na co koronnym dowodem jest zdjęcie Morawieckiego z Orbánem. Bo publicystom „Wyborczej" wyobraźnia spiskowa małego puczysty pracuje nawet, gdy wróg u bram.

Poza tym są promyki nadziei w ich świecie na opak, bo w takiej Kolumbii na przykład będzie wreszcie aborcja do 24. tygodnia. No to po co się smucić agresją Putina, skoro gdzieś w dalekim świecie zatrzymana została agresja katolików na prawa kobiet?

Ale miejmy nadzieję, że czytelnicy trujących tekstów fabryki z ul. Czerskiej któregoś dnia odstawią te grzybki i zmierzą się z rzeczywistością – taką, jaka ona jest, a nie jaka jest im suflowana w nienawistnym zwidzie. Można nienawidzić własnego kraju. Na to stety/niestety paragrafu z kodeksu wykroczeń nie ma. Nawet małego mandatu. Pamiętam, że jeszcze będąc zupełnie mała i patrząc przez okno fiacika po przekroczeniu pierwszej granicy w kierunku Balatonu, myślałam: „To już nie nasza trawa, to już nie nasze drzewa", bo poczucie przynależności wkorzeniało się w dziewczęce serce, choć przecież rzeczywistość PRL nie nastrajała najczulej wobec ojczyzny. I sprawdziłam tysiące razy, że choćbym była na najbardziej rajskim kawałku Hiszpanii, to nie zostałabym tam na resztę życia. Bo coś mi w głowie zawsze śpiewa: „Nie pytaj mnie, dlaczego myślę, że / Że nie ma dla mnie innych miejsc". ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wyszczuty? Wygnany? Skrzywdzony?

Arnold Słucki, kiepski poeta, zdaniem Aleksandra Wata, miał zostać rabinem, ale wyrzucono go z seminarium za akces do Komunistycznego Związku Młodzieży. „To nie religia, ale komunizm zbawi świat" – tłumaczył. Oddał mu się więc z całą żarliwością. W 1939 r., po wybuchu wojny, uciekł do Związku Sowieckiego, ojczyzny komunistów, ratując się tym samym przed Holokaustem. Wstąpił do Komsomołu, a potem na ochotnika do Armii Czerwonej, Armii Berlinga, gdzie nauczył się polskiego. Wcześniej mówił tylko w jidysz. Redagował gazetkę „Do Boju!" i pisał już po polsku pierwsze, koślawe jeszcze wiersze. Po wojnie studiował filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, ale nie skończył jej, pasjonując się bardziej walką ze starą, przedwojenną profesurą, razem z kilkoma studentami, m.in. Leszkiem Kołakowskim, Bronisławem Baczką, Henrykiem Hollandem, Ireną Rybczyńską, napisał donos na wrogiego socjalizmowi wybitnego humanistę, Władysława Tatarkiewicza, domagając się usunięcia go z uniwersytetu, co też się stało.

Już na studiach wstąpił do ZMP, ZWM, PPR, PZPR, a w 1950 r., dzięki swoim wierszom z wojskowej gazetki oraz przełożonej na polski broszurze o nauce Lenina i Stalina, do Związku Literatów, gdzie zrobił oszałamiającą karierę. Jako przedstawiciel młodych został członkiem jego najwyższych władz: Zarządu Głównego (obok takich tuzów jak Kruczkowski, Iwaszkiewicz, Nałkowska, Brandys), a także Komisji Młodzieżowej, kierownikiem literackiej poradni dla debiutantów, opiekunem Koła Młodych.

Polska była wtedy krajem za żelazną kurtyną, on jednak reprezentował młodych polskich literatów nie tylko w tzw. demoludach – NRD, Czechosłowacji, Bułgarii, Albanii, lecz także w krajach zachodnich – Belgii, NRF, Grecji. W latach najgorszej stalinowskiej nocy wydawał kolejne tomiki socrealistycznej, „pryszczatej" politgramoty pod wieloma mówiącymi tytułami: „Słońce nasz »towarzysz«", „Życie w pieśni", sławiące „naszą Krasną Armię, Kraj Rad, gdzie dumnie brzmi słowo towarzysz", piętnujące imperialistów, „plantatorów bijących czarnych nahajkami", „dezertera Miłosza, któremu obca była nasza Wisła", bandy z lasu, walczące o „powrót Polski ekonomów, plebanów i dziedziców". Był współautorem antologii ku czci funkcjonariuszy bezpieki, gdzie zamieścił „Tatrzańską pieśń bojową" o prostym Ubowcu (dużą literą), „co w boju padł".

Obiektem zazdrości było jego mieszkanie, przyznane mu w odbudowanym Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. W zniszczonej nadal Warszawie luksus niesamowity – dwa pokoje z kuchnią, łazienką, widokiem na kolumnę Zygmunta i Starówkę, z kawiarnią na parterze, gdzie całymi dniami grał w szachy. Przeżył bardzo Październik 1956, nie wierzył w zbrodnie Stalina. „To sprawki Berii!" – wykrzykiwał na zebraniach partyjnych i w kawiarni ZLP. Jak wspominał Ryszard Matuszewski, gdy jego żona, Irena Szymańska, redaktorka „Czytelnika", przygotowująca kolejny tomik Słuckiego radziła mu wyrzucić panegiryki o Stalinie, nie zgodził się. „To pani jest Berią!" – rzucił.

Kompromitował partię, wyrzuciła go więc ze swoich szeregów, ale przeszedł nerwowe załamanie i tak błagał, prosił, że przyjęła go z powrotem. Zaczął już pisać inaczej, głównie wiersze z motywami judaistycznymi, chasydzkimi. W marcu 1968 r. działy się oczywiście rzeczy okropne, ale Słuckiego ani jego żony Inki, redaktorki telewizji, nie dotknęły żadne represje, mimo to opuścili Polskę. „Zostałem do tego zmuszony" – mówił, nie wyjaśniając jednak dlaczego. Wyjechali do Izraela, potem Berlina Zachodniego i bardzo szybko skarżył się w listach, że na emigracji się nie odnalazł. Prosił o pomoc w powrocie do kraju, co okazało się niemożliwe. Wkrótce zresztą, w 1972 r., zmarł.

Został niemalże kanonizowany, pisano o nim wyłącznie jako o wyszczutej, wygnanej, skrzywdzonej ofierze Marca 1968: „suchego pogromu". Nie próbowano nawet badać, dlaczego zmuszono go do wyjazdu, nie zajrzano do jego teczki w IPN, która wiele wyjaśnia. Według znajdujących się w niej materiałów w 1952 r. swoje mieszkanie w Domu Literatury oddał do dyspozycji bezpieki na tzw. lokal kontaktowy. To był rodzaj współpracy, zarówno on, jak i jego żona podpisali więc na to zgodę oraz obietnicę zachowania sprawy w tajemnicy. Bezpieka była bardzo z lokalu zadowolona – jego właściciele byli, jak pisała, pewnymi towarzyszami partii, znajdowało się nad ważnymi dla niej obiektami: biurem ZLP i kawiarnią, co umożliwiało np. założenie podsłuchu. Korzystała z lokalu do roku 1956, a materiały oddała do archiwum, bo „mogą być w przyszłości potrzebne". Czy wyciągnęła je w 1968 r., zmuszając Słuckich do wyjazdu? Dlaczego nigdy o tym nie wspomniał? Grał do końca skrzywdzoną ofiarę? Wstydził się przyznać, że sam, swoim fanatycznym oddaniem systemowi, zniszczył sobie życie? ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

BROŃ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Od lat mówię: narodowi należy rozdać broń, bo gdyby nadeszła wojna... Teraz nadeszła. Rząd zarządził mobilizację. Należy więc rozdać broń! Każdemu, kto zechce wziąć. Żadnych zezwoleń, lecz powszechne prawo do posiadania. Bo czym mamy się bronić – siekierami?

Powszechne prawo do posiadania broni powinno wynikać z wieku i urodzenia. Masz prawa wyborcze, to masz prawo nosić broń. Odebrali ci prawa wyborcze (sądownie), to tracisz prawo do broni, bo coś z tobą nie tak. Kto nie chce korzystać z broni, ten nie musi.

Broń w domach to zagrożenie, że się ludzie zaczną zabijać? Bzdury! W domach są noże, siekiery, młotki oraz narzędzia tapicerskie, które strzelają gwoździami. Gdyby takie coś przystawić komuś do piersi lub czoła – zabijesz.

***

W Polsce broń w domu mają mój wujek leśniczy, kuzyn myśliwy, ja i kilku kolegów, bo sobie załatwiliśmy zezwolenie, ale wymagało to sporo zachodu. Jest nas zbyt niewielu, by myśleć o skutecznej obronie czegoś więcej niż własna posesja.

Broń powinna być powszechnie dostępna bez zezwolenia. Chodzi o podstawowe prawa człowieka: mam prawo do życia, muszę mieć prawo i narzędzia do obrony życia. A nam się proponuje do obrony telefon komórkowy – mam dzwonić na policję i czekać na interwencję. Niesmaczne żarty! Komórką nawet oka nie wybiję napastnikowi, dlatego chcę mieć pistolet. A propozycje w rodzaju „proszę trenować judo" nie dla wszystkich. Moja Mama ma ponad 80 lat, więc judo nie dla niej, natomiast radzi sobie z pistoletem.

***

Zrobiłem kilka odcinków „Boso przez świat" dotyczących broni w prywatnych rękach. Widzieli mnie Państwo, jak w normalnym sklepie żelaznym gdzieś w Amazonii kupuję strzelby i amunicję na wyprawy. I nie cała ta broń była myśliwska – większość była na bandytów i piratów. Podobnie w odcinkach z Afryki.

Gdy Mama odwiedza mnie w USA, wjeżdża tam jako zagraniczna turystka. Może kupić legalnie pistolet, rewolwer, karabin, amunicję. W samochodzie i w domu może trzymać nabite pistolety w dowolnej liczbie i asortymencie. Są też takie stany, gdzie panuje zasada open carry, czyli broń można nosić na wierzchu, jak na westernach. To bardzo poprawia bezpieczeństwo.

W Oklahomie zasada „broń na widoku" obowiązuje od dawna, a nauczyciele trenują strzelanie i mają przy sobie broń na terenie szkoły. Bo rolą nauczyciela jest uczyć, wychowywać i CHRONIĆ powierzone im dzieci. Do takiej szkoły nie wpadnie wariat z karabinem, bo wie, że spotka tam ludzi przygotowanych do obrony.

W Europie broń mogą nosić tylko policjanci, dlatego terroryści wielokrotnie strzelali do ludzi jak do kaczek, a ludzie nie mieli się czym bronić. Pamiętają Państwo tego Polaka z Londynu, który w desperacji zdjął ze ściany w knajpie duży kieł narwala i tym pogonił napastnika? W USA miałby pod ladą karabin.

W Polsce, gdyby nas Ruscy napadli i ktoś znalazłby na ulicy kałacha lub osobiście wyrwał ruskiemu z rąk, nie będzie umiał go obsłużyć. Mamy się posługiwać telefonami komórkowymi i czekać na wojsko.

***

Jak żyć bez broni w kraju, który właśnie ogłosił mobilizację? Co robić? Udawać przed samym sobą, że „nic nie będzie" w sytuacji, gdy właśnie wszedł w życie kolejny pakt Ribbentrop-Mołotow? Udawać, że się nie słyszało, jak Putin od lat mówił jasno, że celem Rosji jest odbudowanie potęgi i zasięgu terytorialnego Związku Sowieckiego? Mówił to bez owijania w bawełnę, a myśmy słuchali, ale uważaliśmy, że to tylko gadanie. Właśnie przeszedł do czynu i… Dlaczego miałby zatrzymać się na Ukrainie, skoro jedyne, co Zachód na niego ma, to jakieś tam sankcje banksterskie? Są tak łatwe do ominięcia, że ja potrafię.

Chiny się do tych sankcji bankowych nie przyłączą, bo są z Putinem w sojuszu, którego naocznym świadkiem był prezydent Duda, gdy gościł się na igrzyskach w Pekinie. A skoro Chiny nie przyłączą się do sankcji, to Putin będzie handlował swobodnie poprzez banki chińskie, z którymi Zachód nie zerwie stosunków, bo Zachód już nawet własnej aspiryny nie produkuje, lecz wszystko kupuje z Chin.

***

W sieci znajdą Państwo mój stary filmik z otwarcia konferencji ROMB, gdzie wygłosiłem krótkie, a jasne stanowisko (krąży w sieci pod nazwą „Żółta siekiera").

Siekiera jest prymitywnym narzędziem do obrony osobistej, ale wciąż wolno ją kupić bez zezwolenia, wozić w samochodzie i trzymać w domu. Kij bejsbolowy zakazany, z nożami bywa kłopot, pistolet – wiadomo. Zostaje Państwu siekiera (lub pistolet tapicerski na gwoździe).

Mój kumpel ma trzech synów i śliczną żonę, za którą oglądają się inni faceci. Ta rodzina lubi wycieczki krajoznawcze, więc jeżdżą bocznymi drogami na biwaki, do lasu, do głuszy – na pustkowia. Bywali w sytuacjach, w których ja w USA wyciągam pistolet. Oni wożą w samochodzie dużą żółtą siekierę, bo tylko tyle im wolno.

Kumpel kupił ją w sklepie ogrodniczym, a żółta jest celowo – żeby ją było dobrze widać z daleka. Pytam, czy umie walczyć siekierą? On mi na to, że nie umie, ale to lepiej, bo człowiek, który umie walczyć, jest przewidywalny, a z kompletnym amatorem, który w obronie trzech synków i ślicznej żony zaczyna nieumiejętnie wywijać dużą siekierą i nigdy nie wiadomo, w co ostatecznie walnie... Z takim lepiej nie zaczynać.

***

W obecnej sytuacji międzynarodowej trzeba walczyć o natychmiastowe przywrócenie tych praw obywatelskich, które mieliśmy w Rzeczypospolitej przez wieki – obywatel miał prawo posiadania i UŻYWANIA broni palnej do obrony siebie, swoich bliskich, swego majątku oraz Ojczyzny. ©℗

eprasa.pl 4e28c29d7b

SILNI
RAZEM
#TEAMPOLSKA
PEKIN2022
KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE
SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ
POLSKA

eprasa.pl 4e28c29d7b

NARODOWY BANK POLSKI

WIELCY POLACY
WAŻNE WYDARZENIA Z HISTORII POLSKI

NA SREBRNYCH I ZŁOTYCH MONETACH KOLEKCJONERSKICH NARODOWEGO BANKU POLSKIEGO

Emisja wartości kolekcjonerskich NBP stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Narodowy Bank Polski zaprasza kolekcjonerów i numizmatyków do szesnastu Oddziałów Okręgowych NBP zlokalizowanych we wszystkich miastach wojewódzkich oraz do sklepu internetowego NBP.

kolekcjoner.nbp.pl

eprasa.pl 4e28c29d7b